



**KAREN JOY FOWLER**



*KŁUB MIŁOŚNIKÓW  
JANE AUSTEN*

*Rzadko, bardzo rzadko w jakichkolwiek wyjaśnieniach pomiędzy ludźmi wyłania się całkowita prawda, rzadko zdarza się, by coś nie było choć trochę zatajone lub trochę mylnie zrozumiane.*

Jane Austen, *Emma* (przekład Jadwigi Dmochowskiej)

## *Prolog*

Każde z nas ma własną Austen.

Austen Jocelyn pisała przepiękne powieści o miłości i konkurach, lecz nigdy nie wyszła za mąż. To Jocelyn wpadła na pomysł klubu, to ona dobrała członków. Miewała więcej pomysłów jednego ranka niż reszta z nas przez cały tydzień; miała też więcej energii. W życiu należy systematycznie odnajdować Austen na nowo, to podstawa, oświadczyła, już ona o to zadba. Owszem, wietrzyliśmy ukryty zamysł, ale czy sięganiu po Jane Austen mogą przyświecać złe intencje?

Austen Bernadette była geniuszem komizmu. Postaci Austen i jej dialogi wciąż autentycznie bawią, w przeciwieństwie do dowcipów Szekspira, śmieszących tylko dlatego, że im się to, jako Szekspirowskim, należy.

Bernadette była naszą najstarszą członkinią, brała właśnie zakręt numer sześćdziesiąt siedem. Niedawno oświadczyła publicznie, że zamierza odpuścić.

- Już nigdy nie spojrzę w lustro - zapowiedziała. - Powinam na to wpaść już dawno temu... Jak wampirzyca - dodała, my zaś zastanawialiśmy się nad wampirzycami: dlaczego zawsze zdobywają się na tyle elegancji. Przecież powinny wyglądać jak Bernadette.

Kiedys Prudie przyłapała ją w supermarkecie: na nogach kapcie, nad czołem strąki, najpewniej nie tknięte grzebieniem. Bernadette kupowała zamrożony ser edamski, kapary i jakieś inne artykuły niepilnej potrzeby.

Ulubioną książką Bernadette była *Duma i uprzedzenie*; Bernadette przekonywała Jocelyn, że to zapewne ulubiona książka wszystkich. Namawiała, żeby zacząć od niej. Jednak mąż Sylvii w trzydzieści dwa lata po ślubie zażądał właśnie rozwodu i Jocelyn - w nowej, delikatnej sytuacji - nie chciała narażać Sylvii na obcowanie z ognistym panem Darcy.

- Zaczniemy od *Emmy* - odrzekła Jocelyn - bo po przeczytaniu tej powieści odechciewa się małżeństwa.

Jocelyn i Sylvia były rówieśnicami, poznały się, kiedy miały po jedenaście lat, niedawno zaś stuknęła im pięćdziesiątka. Austen Sylvii była córką, siostrą, ciotką. Austen Sylvii pisała książki w rojnym saloniku, czytała je na głos rodzinie, pozostając wszakże bystrą a bezstronną obserwatorką ludzi. Austen Sylvii mogła kochać i być kochana, lecz nigdy kosztem zaćmienia wzroku ani stopienia ocen.

Niewykluczone, że Jocelyn powołała klub tylko ze względu na Sylwię, żeby czymś ją zająć w trudnym okresie. Pasowałyby to do Jocelyn. Z nikim nie przyjaźniła się tak długo i blisko jak z Sylwią.

Czy to nie Kipling powiedział: „Na kłopoty nie ma jak Jane”? Lub jakoś podobnie?

- Właściwie powinniśmy się ograniczyć do kobiet - przekonywała dalej Bernadette. - Mężczyźni przeinaczają dynamikę. Raczej wieszczą, niż komunikują. Nie znają miary w gadaniu. Jocelyn otworzyła usta.

- Nie sposób wtrącić ani słowa - ostrzegła Bernadette. - A kobiety są zbyt nieśmiałe, żeby przerywać, kiedy ktoś się zagalopuje.

Jocelyn chrząknęła.

- Zresztą kluby czytelnicze to nie dla nich - zapewniała Bernadette. - Zdaniem mężczyzn czytanie to przyjemność, którą uprawia się na osobności. Jeżeli mężczyzna w ogóle czyta.

Jocelyn zamknęła usta.

Niemniej następną doproszoną przez Jocelyn osobą był właśnie Grigg, którego żadna z nas nie знаła. Schludny brunet, tuż po czterdziestce. Przede wszystkim zwracały uwagę jego rzęsy, bardzo długie, bardzo gęste. Wyobrażałyśmy sobie te ciotki, wiecznie ubolewające, że na chłopięcej twarzy marnują się takie rzęsy.

Znałyśmy Jocelyn na tyle długo, żeby zachodzić w głowę, komu ma być pisany Grigg. Dla paru z nas był za młody, dla reszty za stary. Włączenie go do klubu zdumiewało.

Te z nas, które Jocelyn znały jeszcze dłużej, wydostały się z różnorodnych pułapek. Jeszcze w liceum Jocelyn przedstawiła Sylvii chłopaka, który potem ożenił się z Sylwią; w trzy lata po studiach Jocelyn była druzną na ich ślubu. Ten wczesny sukces zasmakował Jocelyn na zawsze. Sylvia i Daniel. Daniel i Sylvia. Trzydzieści z hakiem lat satysfakcji, chociaż teraz, rzecz jasna, było o nią trudniej.

Jocelyn nigdy nie wyszła za mąż, więc na przeróżne pasje miała czasu pod dostatkiem.

Kiedy córka Sylvii, Allegra, skończyła dziewiętnaście lat, Jocelyn przez pełnych sześć miesięcy nie ustawała w przedstawianiu odpowiednich młodych mężczyzn. Teraz Allegra miała już trzydziestkę i była piątą osobą zaproszoną do klubu. Austen Allegry pisała o wpływie potrzeb finansowych na intymne życie kobiet. Gdyby Allegra pracowała w księgarni, ulokowałaby Austen na półce z horrorami.

Allegra strzygła się krótko u drogich fryzjerów i nosiła tanie, seksowne buty; żadnym z tych faktów nie zwracałybyśmy sobie głowy, gdyby nie to, że Allegra bez końca napomykała o sobie jako lesbijce. Niezdolność Jocelyn do dostrzeżenia czegoś, czego nigdy nie ukrywano, stała się już obraźliwa; w końcu Sylvia wzięła Jocelyn na stronę i zapytała, dlaczego Jocelyn tak gorliwie się wtrąca. Jocelyn zwijała się ze wstydu.

Zwróciła się ku odpowiednim młodym kobietom. Miała hodowlę psów, rodezyjskich ridgebacków. Okazało się, na szczęście, że świat kynologiczny nie cierpi na brak

odpowiednich młodych kobiet.

Dwudziestośmiolatka Prudie była wśród nas najmłodsza. Najbardziej lubiła *Perswazje*, ostatnią ukończoną powieść Austen, najposępniejszą. Austen Prudie pisała książki, które zmieniały się w miarę kolejnych lektur; pewnego roku były jedynie romansami, w następnym można było w nich nagle dostrzec prozę zimną i pełną ironii. Austen Prudie była kobietą, która zmarła - zapewne na ziarnicę złośliwą - w wieku zaledwie czterdziestu jeden lat.

Prudie byłaby pewnie zadowolona, gdybyśmy od czasu do czasu przyznawali, że zaproszenie do klubu otrzymała jako prawdziwa miłośniczka Austen, w przeciwieństwie do Allegry, która tak naprawdę znalazła się w tym klubie ze względu na matkę. Oczywiście, to nie tak, rzecz jasna, że Allegra nie wnosi żadnych cennych spostrzeżeń. Przeciwnie, Prudie pilnie jej słucha. Zawsze warto wiedzieć, co myślą lesbijki o miłości i małżeństwie.

Prudie miała twarz dramatyczną: głęboko osadzone oczy, bladą, bardzo bladą cerę i cienie na policzkach. Uśmiech niemal wchłaniał maleńkie usta i wargi, czym przewrotnie przypominała kota z Cheshire. Uczyła francuskiego w liceum i jako jedyna z nas żyła w małżeństwie, jeśli nie liczyć Sylvii, mającej wkrótce rozstać się z mężem. I jeśli nie liczyć, być może, Grigga, bo o nim nic nie wiedziałyśmy; lecz niby po co Jocelyn by go zapraszała, gdyby był żonaty?

Żadna z nas nic nie wiedziała o Austen Grigga.

W sześcioro - Jocelyn, Bernadette, Sylvia, Allegra, Prudie i Grigg - ustaliliśmy pełny plan zajęć klubu nieustających czytelników dzieł wszystkich Jane Austen w River City w Dolinie Kalifornijskiej. Pierwsze zebranie odbyło się u Jocelyn.

# Marzec

## Rozdział pierwszy

w którym spotykamy się u Jocelyn, żeby podyskutować o *Emmie*

O zmierzchu siedzieliśmy w krąg na werandzie, zanurzeni w woniach świeżo skoszonego dwunastoakrowego kalifornijskiego trawnika Jocelyn, i popijaliśmy zimną herbatę pomarańczową. Widok robił wrażenie. Na zachodzie dramatyczną plamę purpury przekrawał ciemny zarys gór Berryessa. Na południe płynął wiosenny strumień, wysychający latem.

- A posłuchajcie tych żab - zachęcała Jocelyn. Nastawiliśmy ucha. Rzeczywiście, przez wrzawę i ujadanie psiarni przebijał się czasem żabi chór.

Jocelyn przedstawiła nam Grigga. Uzbroił się w wydanie zbiorowe, Gramercy, co wskazywało, że powieści Austen stanowią najświeższą zachciankę i tyle. Naprawdę trudno było zaakceptować kogoś obnoszącego się z książką jawnie nową, kładącego na kolanach wszystkie powieści naraz, mimo że dyskusja ma dotyczyć tylko *Emmy*. Bez względu na to, kiedy ten pan się odezwie i co powie, któraś z nas musi go na początek usadzić.

Na pewno nie Bernadette. Wprawdzie to ona domagała się klubu wyłącznie żeńskiego, lecz miała zbyt dobre serce i nie zdziwiło nas, że życzliwie wita Grigga:

- Jak miło spotkać mężczyznę zainteresowanego panną Austen - powiedziała. Zachwycające będzie poznanie męskiego punktu widzenia. Tak się cieszymy, że jesteś z nami. - Bernadette nigdy nie mówiła czegoś raz, jeśli mogła powiedzieć trzy razy. Bywało to czasem męczące, ale na ogół koło. Kiedy przyszła, zdawało się, że u ucha uwiesił jej się wielki nietoperz. Był to po prostu liść i Jocelyn zdjęła go, kiedy się obejmowały.

Wcześniej Jocelyn włączyła dwa przenośne grzejniki, werandę wypełniał miły szum. Czerwień indiańskich chodników i hiszpańskiej terakoty odwracała uwagę od psich kłaków, nieuniknionych w pobliżu hodowli. W okrągłych, orientalnych porcelanowych lampach w kształcie dzbanów na imbir, ani jeden pyłek kurzu nie kalał żarówek; bo to dom Jocelyn. Lampy sprzężone były z wyłącznikami czasowymi. Kiedy na dworze ciemniało, włączały się w starannie dobranej chwili, wszystkie naraz, z chóralnym trzaśnięciem. Ten moment jeszcze nie nadszedł, ale wyczekiwaliśmy go. Może przy okazji ktoś powie coś błyskotliwego.

Jedyną ścianę zdobił rząd fotografii - portrety całej dynastii ridgebacków Jocelyn, wśród wstęp, rodowodów i drzew genealogicznych. Ridgebacki to rasa matriarchalna; co jest jednym z jej wielu powabów. Przypiszmy Jocelyn pozycję alfa, a otrzymamy zadatek rozwiniętej cywilizacji.

Z góry spoglądała na nas Królowna Serengeti o sarnich oczach i fraszobliwym, inteligentnym czole. Trudno na fotografii uchwycić osobowość psa; w spłaszczeniu psy tracą więcej niż ludzie, ba, więcej niż koty. Ptaki wypadają nieźle dzięki powściągliwości w objawianiu nastroju, zresztą na ogół tematem zdjęcia jest drzewo. A jednak portret Serengeti był tyleż pochlebny, ile wierny. Zdjęcie zrobiła Jocelyn.

U naszych stóp, pod fotografią Królowny, spoczywała we własnej osobie jej córka, Świt nad Saharą. Usadowiła się nareszcie, wpięrow spędziwszy pół godziny na wierceniu się, kręceniu między nami, słaniu nam w twarz gorącego oddechu o woni zatęchłego stawu i na zostawianiu sierści na spodniach. Ulubienica Jocelyn, jako jedyna miała prawo wchodzić do domu, chociaż nie była szczególnie cenna, cierpiała bowiem na nadczynność tarczycy; już dawno należało ją wysterylizować. To wstyd, powiedziała Jocelyn, że obdarzona tak słodką naturą, nie może mieć szczeniąt.

Na rachunki weterynaryjne Sahary Jocelyn wydała właśnie ponad dwa tysiące dolarów. Nowinę przyjęliśmy z przyjemnością, bo nasłuchaliśmy się, że hodowanie psów może uczynić człowieka okrutnym i wyrachowanym. Jocelyn zamierzała nadal zgłaszać Saharę na wystawy, mimo że hodowli to już nic nie przyniesie; rzecz w tym, że Sahara rwie się do wystaw. Gdyby jeszcze wyrównała chód - bo u ridgebacków wszystko polega na chodzie - mogłaby się nadal pokazywać, nawet bez widoków na zwycięstwa. (Sahara jednak wiedziała, kiedy przegrywa, pokorniała wtedy, popadała w zamyślenie. Tak to jest, że czasem ktoś sobie śpi z sędzią, na to nie można poradzić.) Sahara startowała w kategorii „suki odmienne seksualnie”.

Na zewnątrz narastało ujadanie, coraz bardziej histeryczne. Sahara podniosła się i podeszła na sztywnych łapach do przesłoniętych siatką drzwi; szczecina na jej grzbiecie przypominała szczoteczkę do zębów.

- Dlaczego Knightley jest niepociągający? - zaczęła Jocelyn. - Ma tyle dobrych cech. Dlaczego nie budzi we mnie sympatii?

Ledwie ją dosłyszeliśmy; musiała powtarzać. Prawdę mówiąc, w tych warunkach należało raczej podyskutować o Jacku Londonie.

Większość naszej wiedzy o Jocelyn zaczerpnęliśmy od Sylvii. Mała Jocelyn Morgan i mała Sylvia Sanchez poznały się jako jedenastoletki na obozie skautowskim; teraz miały pięćdziesiątkę z hakiem. Wówczas mieszkały w czipewejskiej chatce i pilnie pracowały na odznakę sobieradka leśnego. Musiały rozpalić ognisko z kupki chrustu, potem gotować na nim, wreszcie zjeść, co ugotowały: regulamin skautek wymagał ponadto umycia naczyń. Musiały rozpoznawać liście, ptaki oraz trujące grzyby. Jakby potem któraś miała jadać grzyby, trujące lub nie.

Ostatnie zadanie czteroosobowych drużyn polegało na zwinięciu biwaku w dziesięć minut i odnalezieniu drogi powrotnej. Nic trudnego, skoro wyposażono je w kompas i wskazówkę: do stołówki - na południowy zachód.

Turnus trwał cztery tygodnie, a co niedzielę z miasta przyjeżdżali do Jocelyn rodzice - trzy i pół godziny w trasie - z nowym magazynem rysunkowym.

- Mimo to wszyscy ją lubili - opowiadała Sylvia. Aż trudno było uwierzyć, nawet nam, chociaż przepadalіśmy za Jocelyn. - Była nęcąco niedoinformowana.

Rodzice tak uwielbiali Jocelyn, że nie zdołaliby znieść widoku smutnej córki. Zatem nigdy nie usłyszała historii, która się źle kończy. Nic nie wiedziała o DDT ani nazistach. Podczas kryzysu kubańskiego nie posyłali Jocelyn do szkoły, bo nie powinna się dowiedzieć, że mamy wrogów.

- Dopiero my, Czipewejowie, musieliśmy jej opowiedzieć o komunistach - wyjawiała Sylvia. - O molestowaniu dzieci. Holocauście. Seryjnych mordercach. Menstruacji. Zbiegłych wariatach z hakami zamiast rąk. Bombie. O tym, co się przydarzyło prawdziwym Czipewejom. Na ogół wiedziałyśmy, że coś dzwoni, ale nie zawsze, w którym kościele. Napakowałyśmy jej do głowy głupstw. Prawdziwszych jednak od tego, czym ją faszerowano w domu. Do wszystkiego była chętna, nie można było za nią nie przepadać. Aż wszystko walnęło się w dniu, w którym musiałyśmy znaleźć drogę powrotną. Naszło ją paranoiczne wyobrażenie, że my tu wędrujemy, sprawdzamy kompas, a oni tam pakują się i wynoszą. Że odnajdziemy nasze chatki, jadalnię i latryny, ale już nikogo nie będzie. Gorzej, zastaniemy tylko kurz, pajęczyny i zbutwiałe podłogi. Jakby obóz porzucono sto lat temu. Może opowiedziałyśmy jej za wiele wątków ze *Strefy mroku*. Tu jednak pojawia się trop niesamowity. Oto ostatniego dnia przyjechali po nią rodzice, a w samochodzie w drodze powrotnej opowiedzieli, że właśnie się rozwiedli. Właściwie z tego powodu wysłali ją na obóz. Więc co niedzielę wożą jej wspólnie te magazyny rysunkowe, a w rzeczywistości już nie mogą ze sobą wytrzymać. W San Francisco tato przeniósł się do hotelu, gdzie przemieszkał ten miesiąc. „Jadałem tylko w hotelowej restauracji”, zwierzył się córce. „Po prostu schodziłem i zamawiałem, co mi przyszło do głowy”. Tak to zabrzmiało, opowiadała Jocelyn, jakby ojciec tylko dlatego wyprowadził się z domu, że w hotelu jest pierwszorzędną restauracją. Miała wrażenie, że zamienił córkę na zapiekane jaja.

Któregoś dnia, w parę lat później, powiedział jej, że złapał lekką grypę. Nic takiego, słoneczko, nie ma się czym przejmować. Mają bilety na mecz bejsbola, ale on chyba nie da rady; trzeba było kupić te otwarte, z terminem do wyboru. No nic. Dajcie czadu, Giganty! Okazało się, że grypa to zawał. Zanim ojca dowieźli do szpitala, już nie żył.

- Trudno się dziwić, że podrastając, nabawiała się manijki górowania - Sylvia powiedziała to z miłością. Jocelyn i Sylvia były najlepszymi przyjaciółkami ponad czterdzieści lat.

- Panu Knightleyowi brak ognia - zapewniła Allegra. Miała bardzo wyrazistą twarz, jak Lilian Gish w niemych filmach. Argumentując, marszczyła czoło; miała to już od dziecka. - Frank Churchill i Jane Fairfax spotykali się ukradkiem, kłócili ze sobą, zmyślali, okłamywali kogo się dało. Można domyślać się seksu. Takiego wrażenia nigdy nie stwarza

pan Knightley. - Allegra miała głos kołysankowy, cichy, mimo to przenikliwy. Często ją denerwowaliśmy, lecz głos Allegry tak koił, że z jej zdenerwowania zdawaliśmy sobie sprawę dopiero później.

- To prawda - zgodziła się Bernadette. Za soczewkami okularków jej oczy przypominały okrągłutkie otoczaki. - Emma wciąż opowiada o powściągliwości Jane, to samo mówi nawet pan Knightley, zawsze bardzo spostrzegawczy. Mimo to w całej książce tylko Jane wydaje się - rozbłysły światła, Bernadette aż podskoczyła, ale ani słowem nie odstępowała od wyводу - beznadziejnie zakochana. Austen powiada, że Emma i pan Knightley to małżeństwo bez zarzutu. - Bernadette zrobiła znaczącą pauzę. - Bezspornie je pochwała. Podejrzewam, że zwrot „bez zarzutu” co innego znaczył w czasach Austen. Nie przynoszące żadnego wstydu. Nie wprawiające w ruch języków. Ani mierzące za wysoko, ani stanowiące upadek.

Jasność rozlała się po werandzie jak mleko. Jakieś duże skrzydlate owady runęły na siatki, prac gorączkowo ku światłu, ku jego źródłom. Owadzi rumor, urozmaicony głośniejszymi akcentami, sprowokował Saharę; zaczęła warczeć.

- Ani śladu zwierzęcej namiętności - powiedziała Allegra.

Sahara odwróciła się. Zwierzęca namiętność. Suka niejedno widziała w psiarni. Rzeczy, od których włos się jeży.

- Nie grzeszył namiętnością - Prudie wypowiedziała słowo z francuska.

Namiętność-*cia*. Uczyła francuskiego, więc wypadło to mniej strasznie, niż mogło.

Co nie znaczy, że się nam spodobało. Przed miesiącem wizażystka niemal do cna wyskubała Prudie brwi, przez co Prudie wciąż wydawała się zdziwiona. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy to minie.

- *Sans passion amour n'est rien\** - powiedziała Prudie.

- *Après moi, le deluge\*\** - odrzekła Bernadette, dzięki czemu słów Prudie nie skwitowała cisza, którą można by mylnie wziąć za chłód. Bernadette bywała czasem aż nadto uprzejma, fakt.

Z zewnątrz nie dobiegał żaden zapach. Sahara odeszła od siatki. Oparła się z westchnieniem o Jocelyn. Potem zrobiła trzy kółka, osunęła na podłogę i położyła kufę na wonnym szpicu buta Jocelyn. Spokojna, lecz czujna. Do Jocelyn dotrze tylko to, na co pozwoli Sahara.

\* *Miłość bez namiętności jest niczym (wszystkie przypisy od tłumacza).*

\*\* *Po mnie choćby potop (wariant powiedzenia przypisywanego markizie de Pompadour, kochance Ludwika XV).*

- Jeżeli można... - Grigg odchrząknął i podniósł rękę. - W *Emmie* dostrzegam coś takiego, jak poczucie zagrożenia. - Wyliczał na palcach. Wolnych od obrączki. - Agresywni



Cyganie. Nie wyjaśnione kradzieże. Wypadek Jane Fairfax na łodzi. Wszystkie zmartwienia pana Woodhouse'a. Tu się błąka po obrzeżach jakaś groźba. Rzuca cień.

- Ale w zamyśle Austen to wszystko jest nieprawdą. Prawdziwej groźby nie ma - odparła szybko i stanowczo Prudie.

- Obawiam się, że nie uchwyciłeś zamysłu - dodała Allegra.

Grigg nic więcej nie powiedział. Opuścił rzęsy na policzki, z twarzy trudno było coś wyczytać. To Jocelyn, jako gospodyni, wypadało zmienić temat.

- Czytałam kiedyś, że wątek Emmy, upokorzenie ładnej, zadowolonej z siebie dziewczyny, to najpopularniejszy wątek wszech czasów. Tak chyba powiedział Robertson Davies. Że to jedyna historia, która każdego ucieszy.

Kiedy Jocelyn miała piętnaście lat, poznała na korcie w country klubie dwóch chłopców. Jednego imieniem Mike, drugiego - Steven. Na pierwszy rzut oka obaj przeciętni. Mike wyższy i szczuplejszy, z wydatną grdyką, w okularach lśniących w słońcu jak reflektory. Steven, szerszy w barkach, miał miły uśmiech, ale i grubą dupę. Z Nowego Jorku przyjechała w odwiedziny Pauline, kuzynka Mike'a; sami przedstawili się Jocelyn, szukali bowiem czwartej do miksta. Jocelyn pod okiem trenera klubowego pracowała właśnie nad serwisem. Nosila tego lata koński ogon i grzywkę, jak Sandra Dee w *Bierz ją, jest moja*. Miała już piersi; do niedawna spiczaste, teraz okrągłe. Matka kupiła jej dwuczęściowy kostium kąpielowy z kielichowym stanikiem, w którym Jocelyn naprawdę czuła się nieswojo. Zawsze sądziła, że jej największym atutem jest serwis. Tego dnia uderzała pierwszorzędnie, z pełnego rozmachu, a w pole serwisowe słała podkręcane piłki. Zdawało się, że nie może chybić. Na skutek czego popadła w bojowy nastrój.

Mike ani Steven niczego nie psuli przesadną rywalizacją. Raz wygrywali na zmianę gemy, raz nie; w gruncie rzeczy nikt nie liczył punktów z wyjątkiem Jocelyn, która wynik zachowywała dla siebie. Zamienili partnerki. Pauline to była glista, która w towarzyskim meczu oskarża ludzi o przekraczanie linii podczas serwisu; na jej tle Jocelyn wypadała coraz lepiej. Mike zapewnił, że równa z niej zawodniczka, a Steven, że wcale nie ma przewrócone w głowie, w przeciwieństwie do większości dziewcząt.

Po wyjeździe Pauline nadal się spotykali, żeby pograć, chociaż troje to taki niewygodny skład. Czasem Mike lub Steven próbowali biegać z jednej strony siatki na drugą, żeby grać naraz w dwóch zespołach. Nigdy to się nie sprawdzało, lecz nie rezygnowali z prób. W końcu jakiś dorosły wytknął im niepoważne zachowanie i wyrzucił z kortu.

Po tenisie przebierali się w kostiumy kąpielowe i spotykali na basenie. Po zmianie stroju w Jocelyn zmieniało się wszystko. Wychodząc z damskiej szatni, ruszała się sztywno, skrepowana. Owinięta w talii ręcznikiem, ściągała go tylko przed wejściem do wody.

Lubiła jednak, że się na nią gapią; czuła tę przyjemność na całym ciele. Wchodzili za nią do basenu, dotykali pod wodą, kiedy nikt nie widział. I jeden, i drugi wkładali podczas nurkowania głowy między jej nogi i wynurzali się, wzięwszy ją pod wodą na barana; woda z

mokrego końskiego ogona spływała jej na piersi, wprost w miseczki stanika. Pewnego dnia któryś, nigdy nie dowiedziała się, który, rozwiązał jej węzeł na plecach. Złapała stanik, kiedy już opadał. Mogła to wszystko uciąć jednym słowem, lecz nie ucieła. Czuła, że jest niebezpieczna, bezwstydna. Czuła olśnienie.

Nie miała ochoty na nic więcej. W gruncie rzeczy nie lubiła aż tak bardzo Mike'a czy Stevena. W łóżku czy wannie, dotykając się intymnie i z lepszym skutkiem niż to się udawało chłopcom, wyobrażała sobie kogo innego, mianowicie Bryana, starszego brata Mike'a. Bryan chodził do college'u, latem zaś pracował na pływalni jako ratownik. I wyglądał na ratownika. Mike i Steven zwracali się do niego „szefie”, on do nich „leszcze”. Nigdy nie odezwał się do Jocelyn, może nawet nie znał jej imienia. Miał przyjaciółkę, która unikała wody, zadomowiła się na leżaku i czytała rosyjskie powieści, popijając coca-colę. Ile było tych coli, zdradzał rząderek koktajlowych wisienek ułożonych na serwetce.

Pod koniec lipca były tańce, na które dziewczęta zapraszają chłopaków. Jocelyn zaprosiła obu, Mike'a i Stevena. Myślała, że o tym wiedzą; przypuszczała, że pogadają sobie o tym. Są najlepszymi przyjaciółmi. Pomyślała, że zrani czyjeś uczucia, jeśli zaprosi tylko jednego; a nie chciała nikogo urazić. Miała na tańce letnią sukienkę bez ramiączek; wraz z matką poszły dokupić stanik bez ramiączek.

W domu Jocelyn najpierw pokazał się Mike, w białej koszuli i sportowej marynarce. Był niespokojny; oboje byli niespokojni; potrzebowali obecności Stevena. Lecz kiedy ten się zjawił, Mike był wstrząśnięty. Zraniony. Wściekły.

- Bawcie się dobrze - powiedział. - Mam co innego do roboty.

Matka Jocelyn zawiozła Stevena i Jocelyn do klubu, skąd miała ich zabrać po jedenastej. Jakoś trzeba było spędzić te trzy godziny. Drózkę do klubowego budynku rozjaśniały pochodnie w szklanych kloszach, sceneria mieniła się od świateł. Były różane wieńce i zwierzęta z bluszczu. Powietrze chłodne i łagodne, z nieba osuwał się księżyc. Jocelyn nie chciała być ze Stevenem. Teraz to zakrawało na randkę, na którą Jocelyn nie miała ochoty. Była niegrzeczna, nieszczęśliwa, nie chciała tańczyć, ledwie otwierała usta, nie chciała zdjąć sweterka. Bała się, że Steven nie wiadomo co pomyśli, zatem próbowała wyjaśnić sytuację. W końcu poprosił do tańca inną dziewczynę.

Jocelyn ruszyła nad basen i wyciągnęła się na jednym z leżaków. Wiedziała, że zachowała się wobec Stevena niewybaczalnie, podle; nie chciała go znać. Nie wzięła pończoch i marzły jej nogi. Czuła, jak zapach Wind Song, jej perfum, miesza się z zapachem chloru.

Nad basenem niosła się muzyka. *Duke of Earl. I Want to Hold Your Hand. There is a House in New Orleans.* Na brzegu leżaka przysiadł Bryan, serce Jocelyn waliło jak młotem. Widocznie była zakochana.

- Chyba o ciebie poszło? - zapytał. Padało na nich tylko niebieskie światło spod wody. Był odwrócony, więc Jocelyn nie mogła dostrzec twarzy, lecz w jego głosie brzmiała

pogarda. - Jest nazwa na takie dziewczyny.

Tego Jocelyn nie wiedziała; nie wiedziała nawet tego, że są dziewczyny podobne do niej. W każdym razie nazwa nie padła.

- Doprowadziłaś tych chłopaków do białej gorączki. Lubisz to, nie? Idę o zakład. Wiedziałaś, że to najlepsi kumple? Teraz się nienawidzą.

Zawstydziła się nie na żarty. Przez całe lato wyczuwała w swoim postępowaniu coś złego, tylko co? Lubiła to. Teraz pojęła, że złą przymieszką było to polubienie.

Bryan ujął jedną z jej kostek tak mocno, że nazajutrz rano zobaczyła siniaka, pamiątkę po jego kciuku. Drugą ręką przeciągnął jej po nodze.

- Prosiłaś się o to - powiedział. - Wiedziałaś, co robisz. - Dosięgnął palcami majtek i odsunął je. Poczula śliską powierzchnię jego paznokci. Nie zażądała, żeby przestał. Zbyt się wstydziła, żeby drgnąć. Palec odnalazł drogę do środka, w głąb. Bryan podsuwał się, aż wreszcie położył na niej. Spowijał go zapach tego samego płynu po goleniu, którego używał jej ojciec.

- Bryan? - spod klubowego budynku wołała dziewczyna Bryana. Wraz z wołaniem, pofrunęła z gramofonu nad basen melodia *True Love Ways* - Jocelyn już nigdy nie polubiła Buddy Holly'ego, mimo że, biedaczysko, umarł. - Bryan? Bryan! - Wysunął ten palec i puścił Jocelyn. Wstał, strzepnął marynarkę, przyczesał włosy. Patrząc na Jocelyn, włożył palec do ust, potem wyjął.

- Później to nadrobimy - powiedział.

Jocelyn szła wśród pochodni podmokłą ścieżką do drogi. Country club leżał na odludziu, na długim wzgórzu. Jechało się tutaj dwadzieścia minut. Pozbawione chodników, obsadzone drzewami drogi były kręte. Jocelyn ruszyła do domu.

Miała na nogach sandałki na trzycentymetrowym obcasie. W świetle księżyca polakierowane paznokcie u nóg wyglądały teraz, jakby Jocelyn unurzała palce we krwi.

Kawałek pięty otarła już do żywego ciała. Była przerażona, bo od czasów obozu skautowskiego żyła w świecie pełnym komunistów, gwałcicieli i seryjnych morderców. Ilekroć słyszała nadjeżdżający samochód, uciekała z drogi i przykucnąwszy, czekała, aż przejedzie. Reflektory wydawały się światłami tropicieli. Roiała sobie, że jest chodzącą niewinnością, kimś, kto o nic nie prosi. Roiała sobie, że jest łanią. Że Czipewejką. Że podąża Szlakiem Łez; Sylvia, opisując ten epizod tak szczegółowo i malowniczo, może koloryzowała.

Jocelyn myślała, że zdąży do domu, zanim matka wyjedzie po nią i Stevena. Wystarczy schodzić ze wzgórza, nic więcej. Lecz w strudze światła z przejeżdżającego auta Jocelyn nagle straciła rozeznanie. Na dole powinno być skrzyżowanie, do którego jednak nie doszła; podchodzi pod górę, chociaż ani przez chwile nie powinna. Nie widać żadnych znaków drogowych, żadnych zabudowań. Szła dalej tylko dlatego, że zbyt się wstydziła wracać. Mijały godziny. W końcu znalazła nieczynną stacyjkę benzynową z czynnym automatem

telefonicznym. Wykręcała numer pewna, że matka nie odbierze. Może jej nie ma, może w panice szuka córki. Może spakowała się, wykorzystwała, że Jocelyn poszła na tańce, wrzuciła wszystkie szmaty do auta i wyniosła się.

Była północ. Matka zrobiła straszną awanturę, Jocelyn przekonała ją jednak, że cała sprawa wzięła się po prostu z chętki na przechadzkę na świeżym powietrzu, pod gwiazdami.

- Zamiast beznamietności - dowodziła Prudie - trzeba się tu chyba dopatrywać sztuki trzymania namietności w ryzach. To jeden z ulubionych wątków Jane. - W uśmiechu skurczyła wargi.

Wymieniliśmy ukradkiem spojrzenia. Jane. Jakie to łatwe. Panna Austen na pewno nie życzyłaby sobie takiej poufałości. Nikt z nas, prócz Prudie, nie mówił o niej Jane, chociaż byliśmy starsi i te powieści czytaliśmy lata wcześniej niż ona.

Bernadette miała jednak zbyt dobre serce, żeby robić uwagi.

- Zgadza się - powiedziała. Zaplotła palce i kciukami kręciła młynka. - O tym jest cała *Rozważna i romantyczna*, pierwsza powieść Austen, a zagadnienie powraca w ostatniej, w *Perswazjach*. Uporczywy temat. Strzeliłaś w dziesiątkę, Prudie. W miłości Knightley jest gwałtowny, mam wrażenie, że właśnie padły te słowa, gwałtowny w miłości, ale jest do tego stopnia dżentelmenem, że nawet ów rys nie zmusi go do niewłaściwych zachowań. Dżentelmenem jest przede wszystkim, jest zawsze. Jocelyn, wyśmienita ta herbata. Co za aromat. Mogę przysiąc, że piję samo słońce.

- Jest napastliwy - powiedziała Allegra. - Nie widzę w tym wielkiej dżentelmenerii.

- Jedynie wobec Emmy. - Grigg ulokował stopę jednej nogi na kolanie drugiej. Ta pierwsza, zgięta, przypominała skrzydełko kurczaka. W ten sposób potrafi usiąść tylko mężczyzna. - Jedynie wobec ukochanej kobiety.

- To, oczywiście, wszystko wyjaśnia! - wykrzyknęła Prudie. - Ukochanej kobiecie mężczyzna może zrobić, co chce.

Tym razem temat zmieniała Sylvia, ale z poduszczenia Jocelyn; wcześniej dostrzegłyśmy dyskretne spojrzenie.

- Zostawmy Knightleya - powiedziała. - Emmę trudno wybronić. Zachwycająca; lecz także niepoprawna snobka.

- Niemniej, to jedyna bohaterka Austen, której imię posłużyło powieści za tytuł - powiedziała Jocelyn - więc zdaje mi się, że była ulubienicą Austen.

W psiarni miarowo poszczekiwał jakiś pies. Przerwa między poszczekiwaniami była tak długa, że zwodziła nas za każdym razem; budziła nadzieję, że na tym koniec. W ochryłym szczekaniu pobrzmiwało znużenie i na tym polegał chytry podstęp. Byliśmy garstką głupców, wyczekujących nad książkami na ciszę, która nigdy nie zapadnie.

- Na pewno wstanie mgła - w głosie Allegry brzmiała satysfakcja; na ładnej, żywej twarzy malowała się radość. Wciąż świecił księżyc, lecz i on zdążał na zachód. Już napływało powietrze z nad pól. Między poszczekiwaniami słychać było z oddali pociąg. - A

nie mówiłam, mamó? Nie mówiłam, że trzeba się było spotkać gdzieś w mieście, nie tutaj? Teraz będziemy miały szczęście, jeśli dojedziemy do domu. Nie ma nic groźniejszego od mgły na tych wiejskich drogach.

Grigg zerwał się na równe nogi.

- Chyba powinienem też jechać. Mój wóz był w lepszym stanie. I mało miałem do czynienia z mgłą.

Wstała też Bernadette.

- Proszę was, nie - powiedziała Jocelyn. - Nie teraz. Jesteśmy w kotlinie. Ale na drodze nie będzie żadnej mgły. Księżyc świeci tak jasno. Zrobiłam coś dobrego, więc proszę, zostańcie przynajmniej na przekąsce. Zaraz podaję. Nawet nie porozmawialiśmy o Harriet.

W przedostatniej klasie liceum Sylvia przeniosła się do szkoły Jocelyn. Nie widziały się od czasów obozu skautowskiego; napisały do siebie po dwa listy, wprawdzie bardzo długi, później znacznie krótszy, na czym korespondencję zakończyły. Zawiniły na równi obie, a teraz zelektryzowało je ponowne spotkanie; na lekcjach angielskiego pana Parkera siedziały o dwa rzędy od siebie, równie oszołomione, bo ileż jeszcze może być tego Ibsena. Wielką ulgę przyniosło Sylvii odkrycie, że w nowej szkole kogoś już zna.

Teraz to Jocelyn była przewodniczką, która wie, gdzie można zapalić, z kim się fajnie pokręcić, kto zaś - chociaż cichaczem wzdycha się do takich - może człowiekowi spaprać opinię. Miała chłopaka z samochodem, a Sylvii szybko zorganizowała innego, dzięki czemu mogli razem chodzić do kina czy centrów handlowych, a w pogodne weekendy na plażę. Kiedy byli we czwórkę, przeważnie rozmawiały ze sobą Sylvia i Jocelyn. Wóz prowadzili Daniel i Tony, oni też płacili za kino.

Sylvia chodziła z Tonym. Był pływakiem; w sezonie golił każdy włos na ciele, dzięki czemu wyglądało się jak plastik. Sylvia, która poderwała go właśnie w sezonie, uznała to za minus. Po kilku tygodniach randkowania Tony pozwolił włosom odrosnąć. Były ładne i miękkie. Tony okazał się przystojnym szatynem.

Jocelyn umawiała się z Danielem. Chłopak pracował po lekcjach w sklepie rowerowym Free Wheeling, musiał zaś sprostać obowiązkom dorosłego. Zapóźniony w rozwoju najmłodszy brat Daniela, cierpiący na mongolizm dzieciak z wielkimi uszami i lepkością afektywną, wytwarzał mimowiednie taką siłę ciężenia, że resztę rodziny uwięził na swej orbicie.

Zaraz po tamtych tańcach Jocelyn rozstała się z country clubem. Niemniej, w przedostatniej klasie wywalczyła czwarte miejsce w licealnej drużynie tenisistek. Dziewczyny z pierwszego i drugiego miejsca zajmowały w rankingu stanowym szóstą i jedenastą pozycję, więc była to nielicha drużyna. W szkole jednak mało kogo obchodziły konkurencje kobiece. Więcej ludzi przychodziło na mecze dużo słabszej drużyny chłopców, i nikomu się nie śniło, łącznie z dziewczętami, że może być inaczej.

Pewnego razu Jocelyn na meczu wyjazdowym zauważyła na trybunie Tony'ego.

Zbierało się na deszcz; mecz przerwano, potem wznowiono, potem przerwano na dobre.

- Przygnała mnie pogoda - powiedział Tony. - Daniel prosił, żebym cię odwiózł, gdyby się rozpadało.

Było to kłamstwo. W dziesięć minut po zejściu z kortu tak lunęło, że Tony nic nie widział. Zjechał na bok, żeby przeczekać nawałnicę. Jocelyn wciąż była mokra po meczu; Tony włączył ogrzewanie, żeby się nie zaziębiła. W aucie było jak w czajniku, przez zaparowane szyby nic nie było widać. Tony zaczął pisać palcem po szkle. Raz za razem pisał „kocham cię”. Zapisał całe okno po swojej stronie i przednią szybę nad kierownicą. Nie odezwał się ani słowem. Deszcz bębnił po dachu, chłostał maskę. Tony pobladł, jego oczy nienaturalnie zogromniały. W wozie cisza, na zewnątrz łomot.

- Sylvia nie mogła przyjechać? - spytała Jocelyn. Wciąż miała nadzieję, że napisy na szybie nie są adresowane do niej.

- Nie obchodzi mnie Sylvia - powiedział Tony. - I nie sędzę, że obchodzi cię Daniel.

- Owszem, obchodzi - śpiesznie zapewniła Jocelyn. - A Sylvia jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Myślę, że lubisz mnie - powiedział Tony.

Jocelyn osłupiała. Bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, co zrobiła, żeby sprawić takie wrażenie.

- Nie, nie lubię - powiedziała.

Pogoda wciąż była fatalna, szyby zupełnie zaparowane. Tony jednak ruszył; jechali bardzo wolno, on zaś próbował wypatrzeć drogę przez napisy „kocham” na przedniej szybie. Zappełniły już całą. Dodał gazu.

- Nie jedź, skoro nic nie widzisz - powiedziała Jocelyn. W strugach deszczu zalewających szybę w ogóle nie dostrzegła szosy. Tuż nad nimi zagrzmiało.

- Nie potrafię wysiedzieć z tobą bez całowania - oświadczył Tony. - Ale nie pozwalasz się całować, więc muszę prowadzić. - Znowu przyśpieszył. Samochód przechylił się, kiedy Tony zjechał z pobocza, potem wrócił do pionu, kiedy Tony odnalazł drogę. - Niewiele brakowało - zauważył. - Wprost przed nami było drzewo. - I dodał gazu.

Jocelyn wparta w drzwi po swojej stronie, zacisnęła obie ręce na uchwycie. Znowu miała na sobie niewiele; krótką, naprawdę krótką spódniczkę tenisową i bluzkę na ramiączkach. Dlaczego w podobnych sytuacjach jest zawsze tak pechowo ubrana? Tony zaczął śpiewać *Każda minuta mrozi i parzy, gdy tęsknię do twej...* Odbiło mu, był tak podenerwowany, że zapomniał melodii i słów. Ani szybkość samochodu, ani łoskot pioruna nie przstraszyły Jocelyn tak, jak ten śpiew.

Z trzaskiem włączyła radio, rozległ się perlisty świergot didżeja „...dla wyjątkowej, no po prostu wyjątkowej pani z South Bay”. Tony śpiewa, ogrzewanie szumi, deszcz bębni coraz mocniej. Grzmot.

- Di, di di da la da, di di di. - Tony jeszcze dodał gazu. - Diiii da dum.

- Dostyc. Natychmiast stań - powiedziała Jocelyn tym samym tonem, którym zwracała się do brata Daniela, kiedy trzeba go było zmusić do posłuchu. Tony nawet się nie odwrócił.

- Znasz moją cenę - odrzekł.

Okazywało się, że plan obmyślił starannie. Tony'ego czuć było miętówką na odświeżenie oddechu.

Jocelyn wręczyła każdemu po miseczce owsianki. Milutka porcyjka kleiku, powiedziała. Dowcip spodobał się, kiedy zrozumieliśmy, że to właśnie jest dowcip, a w kuchni czeka pokrojone kentuckiańskie ciasto maślane, kwadraciki z limoną i te z likierem miętowym, a także kruche rogaliki migdałowe. Zapewniliśmy Jocelyn, że w życiu nie jedliśmy takiego kleiku; ani za gęsty, ani za rzadki, nie za gorący, nie za zimny. Zaręczyliśmy, że kleik świetnie nam robi, chociaż zjadł go tylko Grigg. Teraz wybaczyliśmy Griggowi to, czym nas dotknął; prawdę mówiąc, już nie pamiętałyśmy czym.

- Tak mało opowiedziałeś - zachęcałyśmy. - Mów! Mów!

Tymczasem Grigg zmarszczył brwi i sięgnął po marynarke.

- Boję się, że z tą mgłą będzie coraz gorzej. Myślę, że pora jechać, naprawdę. - Na drogę wziął dwa kruche rogaliki.

Bernadette spojrzała na nas surowo. Nawet jej rozczochrane włosy stały się nagle surowo rozczochrane.

- Mam nadzieję, że się zjawi następnym razem. I mam nadzieję, że go nie przepłoszyłyśmy. Chyba mogłyśmy się okazać trochę miłsze. Niezręczna sytuacja, być jedynym mężczyzną.

Prudie nabrała pokazową, mikroskopijną porcję owsianki.

- Mnie te jego opinie na pewno zafrapowały. Ale potem, no cóż, ja zawsze lubię poprowokować. Każdy to powie, kto mnie zna.

Jocelyn wiedziała, że musi wyłożyć Danielowi i Sylvii, co się stało, lecz bała się. W tamtym momencie uważała, że do wyboru ma tylko dwie możliwości: raz po raz całować Tony'ego lub zginąć w katastrofie spowodowanej ulewą, jak dziewczyna w *Ostatnim pocałunku*. Mimo to nie miała pojęcia, jak opowie tę historię, żeby zabrzmiała w miarę jasno. Sama nie mogła w nią uwierzyć, mimo że była w tym wozie.

Tak minęły dwa dni bez wyjaśnień. Właśnie ubierała się do szkoły, kiedy u drzwi zadźwięczał dzwonek. Matka kąśliwym tonem zawołała Jocelyn. Ktoś, matka nie ma pojęcia kto, zostawił na progu pomarańczową skrzynkę przewiazaną wielką kokardą; w skrzynce siedzi szczeniak, na bilecie nawleczonym na wstążkę widnieją słowa: „To ja, pies Jocelyn”. Trudno było pomylić charakter pisma, skoro widziało się tyle próbek na zaparowanej szybie.

- Darować komuś szczenię? Pozwolić sobie na coś takiego? Jak można? - matka nie pojmowała. - Miałam Daniela za rozsądnego chłopaka. Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczona, i to nie *in plus*. - Matka nigdy nie pozwoliła Jocelyn trzymać psa. Pies, uważała, to historia, która się kończy nieszczęśliwie.

Szczeniak o wielce urozmaiconym rodowodzie, biały i kudłaty, tak się podniecił na ich widok, że stanął na tylnych łapach i nie tracąc równowagi, przednimi wiosłował w powietrzu. Jocelyn wzięła go na ręce, on zaś natychmiast oblizał jej twarz; ściślej, małeńki języczek wetknął jej prosto w nos. O oddaniu szczeniaka nie mogło być mowy. Jocelyn natychmiast straciła dla niego głowę.

Tego dnia Sylvia i Tony oraz Jocelyn i Daniel spotkali się jak zwykle na lunchu na trawniku po południowej stronie szkoły.

- Kto ci podarował szczeniaka? - wciąż wypytywał Tony, chociaż pozostali dawno już chcieli zmienić temat.

- To pewnie twoja matka - powiedział Daniel. - Nieważne, co mówi. Kto by się spodziewał?

Tony uśmiechnął się porozumiewawczo do Jocelyn; kolano oparł beztrzesko o jej nogę. Jocelyn wciąż pamiętała jego wargi i smak pocałunku. Teraz na przemian uśmiechał się swawolnie albo błagalnie w nią wpatrywał. Że też inni tego nie widzą? Jocelyn musi coś powiedzieć. Im to dłużej trwa, tym gorszy obrót przybierają sprawy.

Otworzywszy torbę, Sylvia przekonała się, że na lunch matka zapakowała jej dwie suche kromki chleba. Trudna sprawa, dzień w dzień wymyślać na lunch coś nowego. Matka załamała się pod tym ciężarem. Jocelyn dostała ciasto hostessa i jajko na twardo. Chciała oddać je Sylvii, lecz Sylvia nie chciała wziąć.

Wieczorem po pracy wpadł Daniel, zobaczyć szczeniaka.

- Hej tam, koleżko - zawołał i podsunął małemu palce do mamlania, wydawał się jednak raczej zakłopotany niż zauroczony. - Jest taka sprawa - zaczął, ale potem na długo zamilkł.

Siedzieli z Jocelyn w przeciwległych kątach kanapy, dzięki czemu szczeniak mógł między nimi harcować po kwiecistym obiciu. Odległość uniemożliwiała też Danielowi całowanie Jocelyn, która zresztą postanowiła, że nie będzie całowania, póki wszystkiego nie powie.

- Mam nadzieję, że pies nie wchodzi na meble! - zawołała z góry matka Jocelyn. Zbyt szanowała prywatność Jocelyn, żeby zejść, często jednak nasłuchiwała.

- Sprawa jest taka... - odezwał się Daniel.

Chyba próbował coś jej wyjawić. Jocelyn nie miała ochoty na wymianę sekretów. Opowiedziała, jak pan Parker usiłował wygłosić wykład na temat zagadnień klasowych w Ibsenowskim *Wrogu ludu*, lecz klasa zdołała go zmusić do zmiany tematu i w końcu rozgadał się o Smothers Brothers. Jocelyn obróciła to w dłuższą opowieść z puentą „To dopiero głupie gęsi!” Kiedy na ten temat nie mogła już nic więcej wymyślić, przeszła do lekcji matematyki. Po prostu musiała bez przerwy coś mówić przez jakieś dwadzieścia minut. Daniel nie będzie niepokoił swej matki, która już dość ma na głowie, nie przysporzy jej zmartwień i żadną miarą nie spóźni się na kolację.



Psy w końcu posnęły. Z rzadka dobiegało jeszcze jakieś szczeknięcie, lecz bez odzewu. Psy śniły w budach. A my, kobiety, krążyłyśmy po werandzie, po ciepłym i rozświetlonym bąblu, głęboko zanurzone we mgle. Sahara podpełzła do grzejnika i ułożyła łeb między łapami. Widać było, jak przedział na grzbiecie unosi się i opada w rytm oddechu. Szemranie strumyka, dolatujące z nieruchomego bawełnianego kłębu za szybami, przypominało przepłukiwanie ust. Jocelyn podała kawę w filiżankach w maleńkie fiołki.

- Mam wrażenie - Jocelyn kursowała między nami ze śmietanką, ale nie zatrzymała się przy Sylvii; wiedziała, jaką Sylvia lubi kawę, i jej porcję przyrządziła osobno - mam wrażenie, że Austen solidnie się napracowała, żeby nas przekonać, że zachowanie Franka Churchilla nie jest aż tak odpychające, jak jest. W tej książce zbyt wielu ludzi dobrych byłoby dotkniętych, gdyby Franka odbierało się tak źle, jak typowych, czarujących i przy stojnych łajdaków Austen. Byliby zranieni Westonowie. Jane Fairfax.

- Nie jest ani człowiekiem dobrym jak Knightley, ani złym jak Elton - powiedziała Bernadette. Kiwnięcie głową zawsze powodowało, że okulary leciutko, wręcz nie- dostrzegalnie zsuwały jej się z nosa. Co zauważyłyśmy tylko dlatego, że potem nasuwała je na miejsce. - Jest postacią złożoną. To w nim lubię. Powinien natychmiast stawić się przed panią Weston, czego nie robi, lecz kiedy już się stawia, to troskliwy i życzliwy. Nie powinien rozbudzać domysłów Emmy na temat Jane, które ją później zawstydzą, lecz nie ma ich Emmie za złe. Nie powinien tak flirtować z Emmą, ale jakimś cudem wie, że nie jest dla Emmy niebezpieczny. Pragnie się uciec do podstępu, ale potrafi dostrzec, że Emmy się zwieść nie da.

- Otóż tego nie może wiedzieć! - ton udręki w głosie Jocelyn poruszył Saharę; suka wstała i podeszła do pani, wywijając niepewnie ogonem. - I stąd się właśnie biorą te wieczne nieporozumienia - dodała mniej natarczywie, tytułem przeprosin.

Allegra, której Jocelyn podsunęła cukier, pokręciła głową, zmarszczyła brwi i powiedziała, wymachując łyżeczką:

- Harriet myśli, że Knightley ją lubi. Emma myśli, że Elton jej nie lubi. Książka jest pełna ludzi popełniających pomyłki.

- Elton nie lubi Emmy - powiedziała Prudie. - Obchodzą go tylko pieniądze i pozycja.

- A jednak - powiedziała Jocelyn, sadowiąc się z powrotem na sofie. - A jednak.

Pomyślałyśmy, jaką ulgą dla kobiety takiej jak Jocelyn - której leży na sercu najlepiej pojęte dobro każdego, przejawiającej żywą skłonność do porządku i swatania - musi być świat psów. Człowiek po prostu wybiera w psiarni takiego kawalera i taką damę, których potomstwo zapewne ulepszy ich rasę. Nie trzeba tej pary o nic prosić. Starannie wybiera się czas i zamyka oboje ze sobą, aż do załatwienia sprawy.

Po owym przerwany meczu tenisowym zapowiadała się taka ładna pogoda na weekend, że matka Jocelyn zaproponowała piknik. Mogą pojechać do parku ze szczeniakiem, który nazywał się już Pride, w zdrobnieniu Pridey; będzie sikał i sadył kupy, gdzie mu się

spodoba; nie trzeba będzie po nim sprzątać, a zwłaszcza nie spadnie to na kogoś, komu się nigdy nie zachciewało psa. Zaproś Sylvie, podsunęła matka, bo Sylvia jeszcze nie miała okazji pobawić się ze szczeniakiem.

W końcu wybrali się wszyscy, Pridey, Sylvia, Tony, Daniel i Jocelyn z matką. Siedzieli na trawie na szorstkim kraciatym kocu wyciągniętym z samochodu, jedli smażone kurze udka owijane pasemkami bekonu, a na koniec były świeże jagody ze śmietaną i brązowym cukrem. Jedzenie było smakowite, towarzystwo, niestety, ścięte. Każde słowo Jocelyn było naznaczone poczuciem winy.

Tony grał rozradowanie. Sylvia i Daniel właściwie milczeli. I po co jeszcze do tego, na litość boską, jej matka?

Uszczęśliwiony Pridey biegał jak oszalały. Pomknął na huśtawkę, tak lekki, że przeważył ją dopiero u szczytu. Przestraszony opadaniem, skoczył prosto w ramiona Jocelyn, ale już w dwie sekundy później, w najlepszym humorze, zataczał kręgi, umknął z jakimś liściem, a wreszcie upuścił go, kiedy natrafił w trawie na zdechłego drozda. Pridey sycił się chwilą z tym zdechłym drozdem, bo była czymś wspaniałym. Jocelyn musiała wziąć ptaka przez papierową serwetkę i wrzucić do kosza na śmieci, gdzie spoczął na niedojedzonej kanapce z szynką i spleśniałym jabłku. Jocelyn w ogóle go nie dotknęła, jednak ta grudka w ręku - cóż, zdechły drozd - była taka sztywna, lecz elastyczna, a czarne ślepki zamglone jak zaparowana szyba. Jocelyn poszukała toalety i umyła się. Na ścianie ktoś narysował niebieskim długopisem lokomotywę, na niej napisał imię Erica, obok numer telefonu i tekst „ładuj się w ten pociąg”. Mogło naprawdę chodzić o pociąg, lecz Jocelyn wiedziała, co o tym powiedziałyby Sylvia.

Kiedy wróciła, Pridey uszczęśliwiony jej widokiem obsikał się. Nawet to nie pocieszyło Jocelyn. Matka zapaliła papierosa i puszczała dym nosem, jakby zamierzała tkwić tu do końca, do upadłego. Czasem doprowadzała Jocelyn do szału. Po domu chodziła w kapciach; zdarzały się wieczory, w które Jocelyn już nie mogła wytrzymać tego szurania w holu.

- Zastanawiałam się - powiedziała Jocelyn - czy to nie śmieszne, że czuję się teraz taka skalana, bo podniosłam zdechłego ptaka, a przecież zjedliśmy właśnie na lunch zdechłego ptaka.

Matka strząsnęła popiół.

- Ależ moje dziecko! To były kurze udka!

- Do tego pyszne - powiedział Tony. - Lubię tak usmażone.

Debil, uznała Jocelyn. Sami debile.

- Nie masz czegoś do załatwienia? - zwróciła się do matki. - Jakichś zakupów? Z nikim się nie umówiłaś?

Zobaczyła poszarzałą twarz matki. Wcześniej nie pomyślała, jak zabrzmie to zdanie, chociaż właśnie takie miało być. Wyszła z tego obsuwa.

Matka zgasila papierosa.

- Rzeczywiście, mam coś do załatwienia. - Obróciła się w stronę Daniela i Sylvii. - Dzięki, moje dzieci, że wzięłyście mnie na doczepkę. Daniel, przywieziesz Jocelyn, tak? - Spakowała piknikowy ekwipunek i poszła.

- To jednak było podłe, Jocelyn - powiedział Daniel. - Przecież zrobiła tę wyzerkę i w ogóle.

- Kawałki zdechłego ptaka. Nogi zdechłego ptaka. Wkurzyło mnie, że nie chce tego przyznać. Wiesz, Sylvia, jaka ona jest. - Jocelyn obróciła się, lecz Sylvia unikała jej spojrzenia. - Zawsze musi wszystko dopucować. I myśli, że wciąż mam cztery lata.

Pridey przebaczył Jocelyn drozda. W goście przebaczenia przegryzał jej właśnie sznurówki; zabrał się do tego tak raźnie, że skończył, zanim Jocelyn cokolwiek zauważyła. W drodze do wozu Daniela powłóczyła nogą, żeby but nie spadł.

Nie jesteśmy tacy święci jak psy, ale oczekujemy od matek, że uplasują się tuż za psami.

- Miło było - Jocelyn tylko tyle usłyszała od matki tego popołudnia. - Masz takich ujmujących przyjaciół.

Daniel odwiózł Jocelyn; na jej kolanach stał na tylnych łapach Pridey, przednimi ledwie sięgał deski rozdzielczej; psi oddech skropił się na grzbiecie dłoni Jocelyn i zamienił w lepka plamkę. Teraz Jocelyn żałowała, że wyrządziła matce przykrość. Kocha matkę. Bardzo jej smakowały kurczaki smażone z pasemkami bekonu. Poczucie winy z powodu Tony'ego sięgało szczytu; teraz najłatwiej byłoby się rozplakać. Najtrudniej przestać.

- Sprawa jest taka - powiedział Daniel - że naprawdę lubię Sylvię. Przykro mi, Jocelyn. - Słowa dobiegały z daleka, jak coś wypowiedzianego przed paroma dniami, czego sens dociera dopiero teraz. - Sylvia fatalnie się z tym czuje. - Daniel zatrzymał wóz przed pustym skrzyżowaniem. Prowadzi tak uważnie, tak odpowiedzialnie. - Nie może ci spojrzeć w oczy. Oboje czujemy się fatalnie. Nie wiemy, co robić.

Nazajutrz w szkole Daniel już występował jako sympatia Sylvii, a Tony jako chłopak Jocelyn. Sporo o tym rozprawiano po korytarzach. Jocelyn nie protestowała; jej zgoda powoduje, że po raz pierwszy w dziejach taka zamiana dogadza na równi wszystkim stronom; ponadto Jocelyn nie kochała Daniela. Po namyśle dostrzegła, że Daniel to chłopak w sam raz dla Sylvii, która potrzebuje kogoś poważniejszego niż Tony. Kogoś, kto potrafi nieść ukojenie, kiedy Sylvia, jak już bywało, uzna świat za okropność, miejsce nie do życia. Kogoś, kto nie spędzi popołudnia na całowaniu się z najlepszą przyjaciółką Sylvii.

Poza tym Tony podarował jej Prideya. A całowanie się z Tonyem trudno uznać za przykrość. Nie byłoby pewnie tak dobrze, gdyby nie ten deszcz, te zaparowane szyby i poczucie winy. Jocelyn miała już dość pojęcia o świecie, żeby przynajmniej tyle wiedzieć.

- W *Emmie* najbardziej mi przeszkadzają te zagadnienia klasowe związane z jej przyjaciółką Harriet - powiedziała Allegra. - Pod koniec powieści Emma, ta nowa, lepsza,

oczyszczona, pojmuje, że Harriet mimo wszystko nie jest na tyle dobrą partią, żeby wyjść za koszmarnego Eltona. Kiedy przypuszczano, że prawdziwym ojcem Harriet jest dżentelmen, byłaby taką partią, ale kiedy wychodzi na jaw, że ów ojciec był kupcem, Harriet musi się zadowolić farmerem.

Było tak późno, że grzejniki pracowały już non stop. Szumiały i dmuchały bez wytchnienia. Tym z nas, które siedziały w pobliżu, było za gorąco, pozostałe marzły. Po kawie zostały tylko fusy na dnie filiżanek, po kawałkach ciasta z likierem miętowym tylko wspomnienie - czytelne sygnały wieściły koniec wieczoru. Niektórym z nas dokuczał ból głowy.

- Zagadnienia klasowe w *Emmie* nie są takie proste. - Pod sukienką Bernadette okrąglił się brzuch; siedziała na krześle, podkurczywszy po dziewczęcemu nogi. Jogę ćwiczyła od lat i potrafiła ulokować stopy w najdziwniejszych miejscach. - Fakt pierwszy: nieślubne pochodzenie Harriet, do czego Austen podchodzi chyba dość liberalnie.

Chociaż Bernadette nie skończyła, wtrąciła się Allegra:

- Powiada, że to plama, którą wywabiają tylko szlachectwo lub bogactwo.

Zaczęłyśmy podejrzewać, że Allegra może nie lubi Austen aż tak, jak reszta z nas. Na razie było to tylko podejrzenie; nie powiedziała nic zdroźnego. Ale czuwałyśmy i *honi soit qui mal y pense*\*.

\* **Hańba temu, kto o tym źle myśli (dewiza Orderu Podwiązki).**

- Przypuszczam, że to ironia - podsunęła Prudie. Siedziała tuż przy grzejniku. Błede, gładkie policzki zaróżowiły się. - Jane bywa ironiczna, czego chyba nie dostrzega wielu czytelników. Sama często bywam ironiczna, zwłaszcza w e-mailach. Przyjaciele czasami pytają: Czy to był dowcip?

- Czy to był dowcip? - spytała Allegra. Bernadette, niespieszona, ciągnęła:

- Potem mamy przykład Roberta Martina. Jasne, w sprawie Roberta Martina niby powinniśmy brać stronę pana Knightleya. Martin to tylko farmer, ale na końcu Emma powiada, że poznanie Martina sprawi jej wielką przyjemność.

- Wszyscy mamy wycucie pułapu - powiedziała Jocelyn. - Nie może już ono ściśle wynikać z klas, niemniej zachowujemy wycucie swoich uprawnień. Ludzie wybierają partnerów, którzy wydają się równi wyglądem. Ładny żeni się z ładną, brzydki z brzydką. - Zrobiła pauzę. - Ze szkodą dla rasy.

- Czy to był dowcip? - spytała Prudie.

Jocelyn martwiła się, że Sylvia przez cały wieczór tak mało mówi.

- Co mamy przeczytać na przyszły raz? Wybierasz - zwróciła się do niej..

- Jestem w nastroju na *Rozważną i romantyczną*.

- Uwielbiam *Rozważną i romantyczną* - powiedziała Bernadette. - Tę chyba lubię

najbardziej, jeśli nie liczyć *Dumy i uprzedzenia*. Chociaż przepadam za *Emmą*. Wystarczy, że ją wezmę do ręki, a zaraz sobie o tym przypominam. Mój ulubiony fragment to ten o truskawkach. Pani Elton w kapeluszu, z koszykiem...

Bernadette zaczęła przerzucać strony. Wcześniej zagięła róg w stosownym miejscu, lecz w książce było więcej takich pozaginanych rogów; pożytek z jeszcze jednego okazał się niewielki.

- O, wreszcie to mamy - powiedziała. - „...i pani Elton, uszczęśliwiona, w pełnym rynsztunku, w wielkim czepku i z koszykiem w ręku, stała gotowa... Truskawki i tylko truskawki, o tym jedynie myślano i mówiono ...przepyszne owoce, tylko trochę zanadto sytne, żeby można ich dużo zjeść, czereśnie są lepsze”\*. Bernadette przeczytała nam cały fragment. Przepiękny, chociaż dość długi, jeżeli czytać na głos.

Tony i Jocelyn chodzili ze sobą aż do ostatniej klasy liceum; związek skończył się w wyjątkowo pechowej chwili, bo przez to przepadł Jocelyn zimowy bal. Kupiła już sukienkę, wręcz zjawiskową, srebrzystą, z koronką, zakładkami, którą tak się zachwyciła, że gdyby mogła, przeciągnęłaby sprawy jeszcze o parę tygodni. Niestety, każde słowo Tony'ego przyprawiało ją o irytację, Tony'emu zaś nie zamykały się usta.

Sylvia i Daniel pobrali się trzy lata później; zawarli związek oficjalny, niezupełnie w ich stylu. Jocelyn zawsze jednak podejrzewała, że na to się zanoszą i że wreszcie się znajdzie okazja, by włożyć tamtą sukienkę. Przeprowadziła chłopaka, któregoś tam z kolej, z którym chodziła ani dłużej, ani krócej niż z innymi, i ten akurat został uwieczniony na zdjęciach weselnych - stoi z uniesionym kieliszkiem i obejmuje Jocelyn, ona zaś siedzi przy stole z matką, obie pochłonięte poważną rozmową.

#### \* Przekład Jadwigi Dmochowskiej

Jocelyn i Sylvia były już teraz w college'u, gdzie zapisały się obie do grupy pogłębiania świadomości, której zebrania odbywały się w kampusie na pierwszym piętrze International House. W trakcie trzeciego zebrania Jocelyn opowiedziała o lecie z Mike'em i Stevenem. Nie zamierzała się nad tym długo rozwodzić, niemniej o owej nocy z tańcami nigdy nikomu za wiele nie mówiła, nawet Sylvii. A teraz opowiadała, płacząc przez cały czas. Musiała wrócić do tamtych scen, żeby sobie przypomnieć, jak patrzył na nią Bryan, jak się upewniał, że Jocelyn go obserwuje, jak potem wsunął w usta palec i wyjął.

Oburzone kobiety stanęły po jej stronie. Jocelyn została zgwałcona, dowodziła członkini grupy. Wstyd, że nie wniesiono żadnego aktu oskarżenia.

Wstyd. Kiedy historia ujrzała już światło dzienne, to teraz, po chwilowej uldze, można ją było dokładniej rozważyć; Jocelyn przede wszystkim dostrzegła własną uderzającą uległość. Widziała, jak z lotu ptaka, swoje bierne ciało, w sukience bez ramiączek i cienkim sweterku, wyciągnięte na leżaku. Teraz dosłyszała oskarżenie w tej uwadze, że Bryan

powinien ponieść konsekwencje. Trzeba było coś zrobić. Dlaczego się nie broniła, nie walczyła? Otóż Jocelyn podczas tej macanki miała nadzieję, że dobrze wypadnie w oczach Bryana!

Nikt jej nie winił. Uznano to za bierność zaprogramowaną kulturowo. Za imperatyw księżniczki z baśni. Lecz Jocelyn czuła się coraz bardziej upokorzona. Dwie kobiety z tej grupy naprawdę zostały zgwałcone, jedna z nich wielokrotnie, przez własnego męża. Jocelyn wyczuwała, że robi wiele hałasu o nic. Własnym milczeniem wyposażyła Bryana we władzę, na którą nie zasługiwał. A teraz nie upoważni żadnego dupka z college'u do spoufaleń, nie pozwoli pisać ani słowa o sobie, orzekać, kim jest. A kim jest?

- Na czym polega mój feler? - spytała później Sylvię. To nie było pytanie przeznaczone do grupy. - Historia prosta jak drut. Zakochać się. Stracić głowę. Dlaczego tego nie potrafisz?

- Kochasz psy.

Jocelyn zbyła uwagę machnięciem ręki.

- To za łatwe. To się nie liczy. Hitler też kochał psy.

Na czwarte zebranie już nie poszła. Pogłębianie świadomości okazało się jeszcze jedną rzeczą przyprawiającą ją o wstyd, a Jocelyn miała wstydu po dziurki w nosie.

Daniel został lobbystą, działał w Sacramento na rzecz plemienia indiańskiego, na rzecz obrońców nieuregulowanych rzek i rządu japońskiego. Co pewien czas namawiano go, żeby wystartował w wyborach, ale bez trudu odrzucał pokusę. Polityk, powiedział, może się nabawić choroby wściekłych polityków. Sylvia pracowała w stanowej bibliotece, w dziale historii Kalifornii. Jocelyn prowadziła księgowość małej winnicy; własna hodowla psów wciąż była muzyką przyszłości, a i potem nigdy nie zagwarantowała pełni środków. Pridey dożył szesnastu lat; ostatniego dnia, który spędził na tym padole, Sylvia i Daniel zwolnili się z pracy i wraz z Jocelyn zawieźli go do weterynarza. Przysiedli z nią na spłachetku trawy przed przychodnią, a Jocelyn trzymała psa na rękach, kiedy umierał. Potem wsiedli razem do auta. Nie potrafili powstrzymać się od płaczu; w strugach łez nie mogli wypatrzyć drogi do domu.

- Co u ciebie? - Jocelyn spytała Sylvię. W kuchni miały dla siebie tylko minutę, a do opowiedzenia sto rzeczy nie przeznaczonych dla uszu Allegrę. Wprawdzie Allegra, oczko w głowie Daniela, jego jedynaczka, natychmiast i niezachwianie wzięła stronę matki, było to jednak nienaturalne i smuciło nas.

Oczywiście, Jocelyn obmyśliła kuchnię pięknie: białe i niebieskie płytki na blatach, mosiądze, staroświecki piec. Sahara przysiadła koło zlewu, bokiem, żeby popisać się pięknym afrykańskim profilem. Kiedy już wszyscy sobie pójda, Sahara będzie mogła wylizać talerze, była to jednak tajemnica, a Sahara umiała dochować tajemnic.

Jocelyn myła kieliszki. Woda w mieście była tak twarda, że rysowały się w zmywarce.

- Jakbym umarła za życia - odrzekła Sylvia. - Czy ty wiesz, jak szalałam za Danielem?

Okazuje się, że byłam bardzo szczęśliwa w małżeństwie. Przez trzydzieści dwa lata. Tęsknię za nim, jakby ktoś mi wyrwał serce z piersi. A jakie mam szanse?

Jocelyn odstawiła kieliszek i wzięła zimne ręce Sylvii w swoje śliskie, namydlone.

- A ja przez te trzydzieści dwa lata byłam szczęśliwie niezamężna. Wszystko się ułoży. - Uświadomiła sobie po raz pierwszy, że i ona straciła Daniela. Owszem, oddała go, lecz nigdy nie machnęła na niego ręką. Cóż, hoduje teraz psy, odkurza lampy, czyta książki, tymczasem Daniel spakował manatki i poszedł sobie. - Bardzo cię Kocham - powiedziała do Sylvii.

- Jak mogłam nie pamiętać, że większość małżeństw kończy się rozwodem? - spytała Sylvia. - Tego człowiek u Austen nie wyczyta. U niej na końcu zawsze jest wesele, albo i dwa.

W trakcie przemowy Sylvii weszły Allegra, Prudie i Bernadette z filiżankami po kawie, serwetkami, talerzami. Może pod wpływem słów Sylvii przypominało to jakoś pochod przyjaciółek panny młodej. Z tymi złocistymi odbiciami światła w szybach. Z mgielną ciszą na zewnątrz. Do kuchni wchodzi kobiety, jedna za drugą, z brudnymi talerzami w rękach; aż zbierzemy się tam wszystkie.

- *Le monde est livre des femmes\** - podsunęła Prudie.

Może coś to znaczyło, może nie. Widziałyśmy wciąż jej wargi, więc może mówiła poważnie, a może nas poczęstowała jeszcze jednym ironicznym żartem. W każdym razie nie wymyśliłyśmy żadnej stosownej odpowiedzi.

**\* Świat jest księgą kobiet (J. J. Rousseau).**

- Moja najdroższa, najukochańsza Sylvia - powiedziała Jocelyn.

Z pyska Sahary spadła na kamienną podłogę maleńka, wytworna kropelka śliny. Nasze widelce i łyżeczki wsunęły się do zlewu, pod kożuch detergentowej piany. Allegra objęła matkę i położyła jej głowę na ramieniu.

- Przecież na tym nie koniec.

*Jocelyn objaśnia zasady prezentacji psów:*

Z reguły sędzia prosi na początku przewodników o przejście z psami po obwodzie ringu, potem o ustawienie się w rzędzie po jednej stronie. Kiedy psy są w ruchu, sędzia stojący na środku ringu ocenia zwinność, zrównoważenie, kondycję.

Kiedy psy znajdą się w szeregu - w pozie, która ma uwidocznić zalety psa - sędzia osobiście bada zgryz, ocenia pojemność klatki piersiowej, sprężystość żeber, ukątownie barku, szatę i ogólną formę. W wypadku samca, własnoręcznie sprawdza występowanie dwóch jąder.

Potem przewodnicy znowu przeprowadzają psy, tym razem pojedynczo; najpierw odchodzą, żeby sędzia mógł ocenić psa z tyłu, potem podchodzą, żeby mógł zobaczyć

zwierzę z przodu. Sędzia śledzi błędy chodu: czy pies stawia łapy prosto, czy krzyżuje? Czy idzie swobodnie, posuwicie, czy też chód naznaczony jest spięciem, skrępowaniem? W końcowych rundach sędzia może poprosić konkurujących przewodników o przechodzenie w parach, a wówczas może dokonać bezpośredniego porównania, zanim wybierze zwycięzcę.

W pokazie psów kładzie się nacisk na rodowód, na wygląd, postawę, eksterier, ale myśl o pieniądzach czy losach hodowli nikomu nie jest obca.





# Kwiecień

## Rozdział drugi

w którym wraz z Allegrą czytamy *Rozważną i romantyczną*  
Niepełna lista motywów, których nie ma w książkach Jane Austen:  
zbrodni w zamkniętym pokoju; zabójczych pocałunków;  
dziewcząt w chłopięcym przebraniu (odwrotność występuje rzadko);  
seryjnych morderców; czapek niewidek;  
archetypów Jungowskich ani - niestety - sobowtórów; kotów.  
Nie skupiajmy się jednak na negacji.

- Chyba w całej twórczości nie znajdziemy stron lepszych niż te, na których Fanny Dashwood przekonuje męża punkt po punkcie, krok po kroku, żeby nie dawał pieniędzy swojej macosze ani siostrze - powiedziała Bernadette. Powtarzała ów sąd w różnych, mało błyskotliwych odmianach. Allegra zaś słuchała cichego bębnienia deszczu po dachu, oknach i tarasie. Dziś Bernadette miała na sobie coś podobnego do burnusa, ale niebiesko-fioletowego. Ostrzyżona (przycięte włosy niełatwo by się poddały improwizacjom), wyglądała naprawdę ładnie; tym większego podziwu wymagało dokazanie tego bez lustra, wręcz zakrawało na magię.

Na dworze było zimno, mokro, jak to w kwietniu, kiedy już człowiek uwierzy, że nadeszła w końcu wiosna. Ostatni chichot zimy W ogromnym salonie Sylvii klub obsiadł żeliwny piecyk, przez otwarte drzwiczki widać było płomień ciasno oplatający kłody. Z wysokiego klonowego sufitu ozdobionego kwiecistym wzorem spoglądała na skromne zgromadzenie setka pierwsosnków.

W deszczowe dni Allegrze często dokuczał łokieć, masowała go mimowiednie; wreszcie dostrzegła spojrzenie matki, które pohamowało ją i zmusiło do wymyślenia czegoś zabawnego.

- Lubię rozwój - oświadczyła. - Powtarzanie to nudy - piła do Bernadette, fakt, lecz przekonana, że Bernadette się nie połapie - bo z powtórek nie da się wyczytać kierunku. Lubię zwłaszcza taki rozwój, który wywraca sprawy. Miota człowiekiem ze skrajności w skrajność.

Allegrę cechowały skrajności: bywała objedzona lub wyposzczona, zmrożona lub wrząca, wykończona lub tryskająca energią. Przed miesiącem, kiedy wyniósł się jej ojciec, wprowadziła się na nowo do domu. Jocelyn z uznaniem patrzyła na Allegrę. Była bardzo

dobrą córką. Bez niej samotność dojadłaby Sylvii do żywego.

W domu, w którym była Allegra, nikt nie mógł się poczuć samotny. Towarzystwo istoty tak pełnej życia musi stanowić nie lada pociechę. Wyjąwszy jedno - Jocelyn naprawdę opędzała się od tej myśli - że Allegra, co tu kryć, wszystko przeżywa bardzo głęboko. To jeden z jej zachwycających rysów: płacze z tymi, którzy płaczą.

Wielką pociechę mogli też stanowić chłopcy Sylvii, zwłaszcza Diego. Andy nie potrafi się zdobyć na nieustające współczucie, ale przydaje się na godzinę lub dwie. To pech, że Diego nie może się zjawić. Cóż, nie może, ma pracę i rodzinę. Ale potrafi rozruszać Sylvie. Bo Allegra czasem tak się przejmowała, tak współczuła, że w końcu musiała ją podtrzymywać na duchu osoba sama dotknięta tragedią.

Jocelyn wyobrażała sobie, że Sylvia przymusza się do obnoszenia pogodnej twarzy ze względu na Allegrę. Taka nieszczęsna, nakazuje sobie szczęśliwość. Komu to potrzebne? Jocelyn wyobrażała sobie Sylvie, która gotuje Allegrze zupę i przyrządza kąpiele, Allegra zwinięta na kanapie, otulona szalami, raczona herbatą. To chyba za wiele, naprawdę, żeby teraz Sylvia musiała się troszczyć o Allegrę. Z ukradkowego spojrzenia na okładki kompaktów rozsianych koło odtwarzacza Jocelyn wywnioskowała, że ktoś tu sobie dogadza i że tym kimś nie jest Sylvia, chyba że rozkochała się nagle w nagraniach Fiony Apple. Jak Allegra może być taka samolubna?

Cóż, zawsze była trudnym dzieckiem. Piękna, co tu gadać. Czarne oczy po Sylvii, jasne włosy po Danielu, twarz z najlepszymi rysami ich obojga; figura po Sylvii, lecz seksowniejsza. Natomiast ani śladu powściągliwości bądź łagodności rodziców. W radości nieokiełznana, w smutku niepocieszona, przy czym nastroje zmienia w okamgnieniu, ale w chwili, w której człowiek już dawno stracił na to nadzieję. Sylvia opanowała repertuar sztuczek, które sprawdzały się, kiedy chłopcy byli mali.

- Gdybyś był psem, głaskałabym cię za uszami i zaraz miałbyś lepszy humor - mówiła i właśnie tak głaskała. - Gdybyś był kotem, drapałabym w podbródek - i drapała pod brodą. - Gdybyś był koniem, klepałabym po chrapach. Gdybyś był ptaszkiem, pukałabym po brzuszku - i popukiwała - ale ty jesteś chłopcem - teraz szybko podnosiła dziecku koszulę i chłopak czuł na brzuszku podmuch wilgotnego, ciepłego powietrza; Sylvia chuchała, aż wreszcie dzieciak wybuchał śmiechem. Allegrę ta sama sztuczka doprowadzała do szału.

Pewnego razu czteroletnia Allegra przerzucała matczyne magazyny kobiece; oburzyło ją mnóstwo wypatrzonej tam bieli.

- Nie lubię białego - powiedziała. - To takie pospolite. - Zalała się łzami. - Takie pospolite, a wszędzie tego pełno. - Przez ponad godzinę siedziała i łkając, odwracała pracowicie kartki, na których zamalowywała kredkami białka oczu, biel zębów, biel między akapitami, marginesy reklam. Łkała, widziała bowiem, że się z tym nigdy nie upora; całe życie strawi na zadaniu beznadziejnym, nie kończącym się; na usuwaniu tej prostej obrazy dobrego smaku. Dorośnie, a wokół wciąż będą białe kartki, białe ściany, jej własne białe

włosy.

Biel. Śnieg. Królowa Śnieżka.

- Cała początkowa sekwencja ma coś z baśni - powiedział Grigg. - Uroczo przekształconej. Dawno, dawno temu po śmierci ukochanego męża, dobra macocha musi żyć w domu, w którym rządy objęła niegodziwa pasierbica.

W zasadzie gościła nas w tym miesiącu Allegra, ale dom był Sylvii i kuchnia Sylvii, więc w istocie gościła Sylvia. I jako (w istocie) gospodyni koniecznie chciała zadbać dziś o dobre traktowanie Grigga. Zjawił się ostatni; Sylvia wcześniej zastanawiała się, czy Grigg w ogóle przyjedzie, tym bardziej więc ucieszyła się na jego widok.

Bernadette nigdy by im nie wybaczyła, gdyby Grigg znowu się zmył przed czasem. Przedstawił właśnie bardzo ciekawą uwagę.

- Jakże ciekawa uwaga - powiedziała Sylvia. - Bo w społeczności, w której pieniądze przechodzą na najstarszego syna, to nie mógł być wypadek wyjątkowy, prawda? A czy często pojawia się w książkach? Większości pisarzy nie obchodzą problemy starszych kobiet. Uwierzcie panie Austen!

- Prawda jest taka, że książka opowiada nie o pani Dashwood, lecz o jej młodych i pięknych córkach - podkreśliła Prudie. Przyszła prosto z zebrania związku nauczycieli, zatem co się zowie upolityczniona i uszminkowana. Brwi jakby trochę jej odrosły, a może braki nadrobiła ołówkiem; wygląd koił, lecz jątrzył ton, rodem z wystąpienia publicznego. Sylvia kładła to na karb uprawiania zawodu, gotowa raczej współczuć i tak dalej. Z biegiem wieczoru ów ton na pewno znormalnieje. - W pewnym momencie to się rozkręca. Pułkownik Brandon, niewiele młodszy od pani Dashwood, traci głowę nie dla niej, lecz jej najmłodszej córki. Starszy mężczyzna zawsze może się zakochać. Starsza kobieta raczej nie.

Mówiąc, Prudie nie myślała, co mówi; pomyślała tuż po fakcie. Cóż za *faux pas* właśnie popełniła, chociaż ma wrażenie, że się zalicza do osób, którym, trzeba przyznać, takie potknięcia przytrafiają się rzadko. Oczywiście, uwagi Prudie tylko coś lepiej uzmysłowiły, nic więcej. Z plotek wynikało bowiem, że Daniel, który z kimś się widuje, rzucił Sywii nie dlatego, że ich małżeństwo się nie układało, ale dlatego, że został rażony gromem z jasnego nieba. Prudie usiłowała coś wymyślić, dodać, co mogłoby świadczyć, że przecież nie mówi o Sylvii, ależ skąd, bo Sylvia, jak na swój wiek, jest naprawdę atrakcyjna, na jakie jednak widoki może liczyć po pięćdziesiątce z hakiem?

- Nie... - powiedziała Prudie, lecz w tym samym momencie odezwała się Bernadette i to jej udało się wybrnąć. To Bernadette przejęła wątek. Mówiła, a czas odmierzały krople deszczu. Niebieski płomień zmienił się w pomarańczowy; ze skrajności w skrajność. W piecu runęła przepalona kłoda.

Bernadette potrafiła jednocześnie mówić i napawać się spokojem chwili. Bo przecież spokoju żadną miarą nie zakłóca jej głos. Dom Sylvii był znacznie cichszy od domu Jocelyn. Sylvia mieszkała w śródmieściu, obok kampusu, ale na tyłach ulicy, tuż za studencką

korporacją Fi Beta Pi, a może Pi Beta Fi. Tu, na uboczu, było cicho, wyjąwszy czas naboru do korporacji, kiedy na trawniku tkwiły przez cały tydzień dziewczęta, żeby wyśpiewywać „Chcę być Fi Beta Pi (bądź odwrotnie), bum, bum”, jak syreny wabiące żeglarzy. Rzecz jasna, klub miłośników Austen nie mógłby się tu spotkać w okresie naboru do korporacji. Gdyby Daniel wyniósł się stąd w okresie naboru do korporacji, Bernadette potrafiłaby to zrozumieć. Tymczasem Jocelyn jej powiedziała, że stracił głowę dla kobiety w takim wieku, że mogłaby być raczej jego siostrą niż córką.

Jocelyn wiedziała, co czuje dziecko, kiedy ulotni się ojciec. Pewnie to co innego, kiedy dziecko już dorośnie i ma własny dach nad głową. Allegra absolutnie ma prawo tęsknić za ojcem, ale nie tak jak matka. Sylvia jest porzucona przez cały czas, dzień za dniem; Allegra ma tylko spaskudzone Boże Narodzenie. Odtąd nie ma już miejsca, które bez reszty uzna za dom. Wakacje i święta zostaną rozpołowione jak grejpfrut.

Do grudnia było jeszcze daleko, lecz Jocelyn na tyle znała Allegrę, że wiedziała, o czym Allegra już myśli. Boże Narodzenie zawsze było dla Allegrы wielką sprawą. W dzieciństwie trawiły ją w przedświąteczne dni istic chorobyliwie lęki; bała się, że nie zachwyca jej prezenty, że jej wypieszczonymi w głębi serca życzeniami nikt się nie przejmie. Przed zaśnięciem długo płakała, uprzedzając w ten sposób rozczarowania. Za sprawą Allegrы cała rodzina była już w świąteczny poranek wykończona i rozdrażniona.

Trzeba przyznać, że życzenia Allegrы nigdy nie były wygórowane ani kosztowne; nie było powodu, żeby ich nie zaspokoić. Kiedy już naprawdę zaczynało się rozdzielanie prezentów, Allegra szalała z radości. Przepadała za niespodziankami, rozdzierała opakowania i krzyczała z radości bez względu na to, co znajdowała w środku. „To dla mnie?” - pytała, jakby nie wierząc własnym oczom. „I jeszcze to?”

Co roku sama dostawała pewną sumę na kupowanie prezentów; wydawała ją w sposób przemyślany, mimo to nigdy nie starczało. Dodawała rzeczy własnej roboty: rysunki dla braci, zszywki obrazków dla rodziców i Jocelyn. Popielniczki i ozdoby. Szyszki i kamienie pokryte pozłótką. Podpórki na półkę z książkami i kalendarze. Kiedy podrosła, prezenty robione ręcznie wzięły górę nad kupowanymi. Nie jest artystką, podkreślała. Ale nie brakowało jej smykałki. Od ojca nauczyła się posługiwać mechanicznymi narzędziami; w liceum wybrała kurs rzemiosł, nie kuchni. Projektowała wtedy meble i biżuterię. Stoliczek ze szklanym blatem, na którym Jocelyn właśnie położyła torebkę, był ówczesną robotą Allegrы, nie gorszą niż roboty innych.

Teraz sprzedawała swoje rzeczy w sklepach, przez Internet i na targach rzemiosła. Jej najnowszy projekt polegał na skupowaniu na pchlich targach poniszczonych biżuterii, uszkodzonych paciorków, wadliwych kamei, miażdżeniu ich i sprasowywaniu tak powstałego materiału w mozaiki o fakturze rybiej łuski. Sylvia nosiła nową bransoletkę z kolczyków dobranych na chybił trafił i połączonych w kunsztowny łańcuszek. Bransoletka była znacznie ładniejsza, niż się może wydawać, świadczyła zaś o tym, że Allegrze, jak zwykle, nie brak

serca. Przed rokiem wstąpiła w San Francisco do zespołu kolędowego i wigilię Bożego Narodzenia spędziła na objeżdżaniu szpitali oraz domów opieki społecznej. Sylvia miała na kominku jej zdjęcie: Allegra w długiej purpurowej sukni trzyma w ręku zapaloną świecę. Srebrna ramka była dziełem Allegry. Madonna o płonących policzkach i oczach jak zwierciadła.

- Drugoplanowe postaci Austen są wprost nadzwyczajne - powiedział Grigg. - Nie gorsze niż u Dickensa. - Sylvię naprawdę ucieszyło, że Grigg tak stawia sprawę. Nie spierałaby się, za skarby, zresztą o co się tu właściwie spierać? Są autorzy, których nazwisk Sylvia nie lubi wymieniać jednym tchem z Austen, lecz swego czasu Dickens napisał parę dobrych książek. Zwłaszcza *Dawida Copperfielda*.

- Mówiąc zaś o Dickensie - ciągnął Grigg (czy nigdy się nie skończy gadanie o Dickensie!) - starałem się myśleć o tych współczesnych pisarzach, którzy tak samo troszczą się o postaci drugoplanowe, i uświadomiłem sobie, że to pospolity chwyt sitcomów. Wręcz można sobie wyobrazić Austen piszącą dzisiaj *E. Show* z Eleonorą w roli solidnego moralnego centrum oraz pozostałymi, którzy nachodzą jej nowojorskie mieszkanie, tam i z powrotem taszcząc swoje zakręcone życiorysy.

Sylvia nie mogła sobie tego wyobrazić. Owszem, u Austen można znaleźć wątki baśniowe; robiła to i Sylvia. W *Dumie i uprzedzeniu* zobaczyła *Piękną i Bestię*, w *Per-swazjach Kopciuszka*, et cetera, et cetera. Dopuszczalna była nawet uwaga, że Dickensowi też się udawało coś, w czym Austen jest pierwszorzędna. Ale *E. Show*?! Nie myślała w ten sposób. Szkoda, że takie rzęsy marnują się u mężczyzny, który ogląda sitcomy.

Zamilkła nawet Bernadette, zdegustowana. Po dachu bębnił deszcz, w piecu trzaskały iskry. Kobiety wpatrywały się we własne ręce lub w ogień, natomiast nie patrzyły na siebie. Wreszcie odezwała się Allegra.

- Te dobre postaci drugoplanowe, moim zdaniem, stają się jeszcze lepsze w późnych książkach Austen. Kobiety: pani Jennings, pani Palmer i te inne, to mieszanina. Nieporządna. Przepadam za zgryźliwym językiem pana Palmera, ale on się potem zmienia i w bardzo przykry sposób znika.

Prawdę mówiąc, Allegra w zjadliwym panu Palmerze rozpoznała natychmiast siebie. Też miewała na końcu języka sądy bardzo cięte, a wygłaszała je znacznie częściej, niżby chciała. Pan Palmer nie znosił głupców, nie znosiła ich też Allegra, czym jednak nie zamierzała się chwalić. Ów rys nie wynika z chęci wywyższania się, jak sugeruje Austen, chyba że tym, co wywyższa, jest niecierpliwość.

- Ponadto uważam - Allegra znów pozwoliła sobie na chwilę irytacji z powodu zamilknięcia pana Palmera - że w zakończeniu *Rozważnej i romantycznej* trzeba się podeprzeć łatwowiernością. Chociażby to nagłe małżeństwo Roberta Ferrarsa i Lucy Steele! W późniejszych książkach wątki splatane są staranniej.

- Wypada do tego podejść z przymrużeniem oka - zgodził się Grigg. (Więc puścił

mimo uszu tę nieprzyjemną chwilę ciszy! Jak to rozumieć?) - Rzecz jasna, widać, do jakiego efektu zmierza Austen, i widać, kiedy schodzi na manowce; człowiek wołałby jednak, żeby tak się nad tym nie trudziła.

Starcia o Austen zamieniały się w bijatykę. Sylvia spojrzała na przyjaciółkę; twarz Jocelyn była nieporuszona, głos zabrzmiał spokojnie i pewnie:

- Myślę, że Austen doskonale wszystko wyjaśnia. Ja nie muszę się podpierać łatwowiernością.

- Ja też z tym nie mam problemów - dodała Sylvia.

- Bezbłędny jest klimat - oświadczyła Prudie. Allegra uroczo, jak to ona, zmarszczyła brwi, obgryzając jednocześnie paznokcie. Widać było, że żyje z pracy rąk. Paznokcie miała krótkie, a na palcach szorstką i suchą skórę. Widać też było, że się przejmuje. Skórki z paznokci zdrapywała i ściągała, zostawiając na kciukach bolące poobdzierane miejsca. Prudie chętnie by ją zabrała do manikiurzystki. Jeśli się ma takie długie i szczupłe palce, można o nie zadbać, przynajmniej o niektóre.

- Mam wrażenie - przyznała Allegra - że gdyby pisarz nie miał prawa wyciągnąć czasem królika z kapelusza, to nie miałby żadnej frajdy z pisania książki.

Pewnie, pomyślała Prudie, akurat Allegra może wiedzieć, z czego pisarze mają frajdę. Sama Prudie nie miała żadnych problemów z układem dziewczyna-dziewczyna. Otwierała już usta, żeby Allegrze dokuczyć - bo ta sypie takimi uwagami pod wpływem piszącej książki przyjaciółki - a zarazem wtajemniczyć Grigga w stan spraw.

Grigg jednak znów się zgadzał. Patrzcie, jaki się stał zgodliwy, kiedy chodzi o Allegrę! Siedział przy niej na sofie, Prudie próbowała zaś odtworzyć, jak do tego doszło. Czy to było jedyne wolne miejsce, czy też Grigg coś uknuł, żeby je zająć?

Zwykle Allegra do każdej rozmowy wprzęgała swą seksualność. Co stanowiło przedmiot sporu z matką, która uważała za nieprzyzwoite wynurzenia na ten temat wobec przypadkowych znajomych. „Chłopak roznoszący gazety nie musi nic wiedzieć”, mawiała. „Guzik to obchodzi twego mechanika”. Allegra zawsze była przekonana, że na dnie tego odnajdzie homofobię. „Nie chcę zostawać w ukryciu” oświadczyła. „To wbrew mojej naturze”. Lecz teraz, kiedy podzielenie się wiadomością miałoby sens, nagle i irytująco nabrała w tej sprawie wody w usta.

- Co słyhać u Corinne? - spytała filuternie Prudie. - Skoro już mowa o pisarzach.

- Corinne i ja poszłyśmy każda swoją drogą - odpowiedziała Allegra, a wtedy Prudie przypomniała sobie, że już jej o tym mówiono. Twarz Allegry skamieniała.

Corinne to sprawa sprzed paru miesięcy, na pewno. Temat nie jest już tak drażliwy, sądziła Prudie, żeby nie można go poruszyć dziś. Zresztą nikt nawet nie napomknął, żeby nie mówić o Corinne; przecież Prudie potrafiłaby utrzymać język za zębami.

Grigg przerzucał to swoje ogromne wydanie zbiorowe. Dlaczego mężczyźni zawsze muszą mieć największe książki? Licho wie, czy coś dosłyszał.

Chociaż Allegra lubiła się przedstawiać w roli ciekawostki przyrodniczej wśród lesbijek, wiedziała jednak, że prawda jest bardziej złożona. Seksualność to sprawa naturalna, lecz rzadko kiedy prosta. Allegra nie była zupełnie niewrażliwa na mężczyzn, lecz tylko na ich ciała. Często pociągali ją mężczyźni w książkach; z reguły wydawali się bardziej namiętni od kobiet w książkach, chociaż prawdziwe kobiety są bardziej namiętne od prawdziwych mężczyzn. W zasadzie.

Allegrę najbardziej podniecała namiętność jako taka. Wiersze, które są wyznaniem. Wszelkiego rodzaju krajobrazy, nawet bagienne. Transowa muzyka. Niebezpieczeństwo. Musiała coś czuć, żeby czuć, że żyje.

Środkiem z wyboru była dla niej adrenalina. O tym mówiła niewiele, zwłaszcza z ludźmi, którzy znali matkę. Sylvia wierzyła w ostrożność, ale wierzyła też, że ostrożność często nie wystarcza. Świat postrzegała jako tor przeszkód. Człowiek przemierza ten tor, chociaż grunt się osuwa, to czy owo wali, wybucha, bądź jedno i drugie naraz. Nadciągają katastrofy w postaci wypadków, morderstw, trzęsień ziemi, chorób albo rozwodu. Usiłowała wychować rozsądne i ostrożne dzieci. Allegra w czasach licealnych - wiedząc, że Sylvia gratuluje sobie dobrego apetytu córki, jej dobrych stopni, miłych przyjaciółek i nawyku trzeźwości - hamowała się.

Poznała Corinne w dniu swoich dwudziestych ósmych urodzin, w małym samolocie. Wieczór spędziła z rodzicami, ojciec upiekł jej rano gofry. Potem wyszła, mówiąc, że spotyka się w mieście z przyjaciółmi. Zamiast do miasta, pojechała jednak na małe lotnisko w Vacaville, na spotkanie wyznaczone kilka miesięcy wcześniej. To był jej pierwszy samodzielny skok. Wahała się do ostatniej chwili, kiedy tuż obok huczało niebo - przecież jest przy zdrowych zmysłach - niepewna, czy naprawdę chce przejść tę procedurę. Bała się bardziej niż przed pierwszym skokiem w tandemie. Ostrzegano ją przed tym, mimo to wciąż była zdumiona. Gdyby mogła się wycofać tak, żeby nikt nie widział, toby się wycofała. Zamiast tego, byle zachować twarz, rzuciła się za burtę. Linkę pociągnęła za wcześnie. W tej samej chwili pożałowała, bo na powrót chciała spadać swobodnie. To była ta najlepsza część i już wiedziała, że musi skoczyć znowu i tym razem bardziej się postarać. Otworzyła się czasza, szarpnęła Allegrą i wyprostowała ją, pozbawiając tchu; uprząż uciskała jej piersi. Ściągnęła linki i udało jej się przybrać wygodniejszą pozycję. Ależ to dziwne, przejmować się uciskającymi linkami akurat w chwili, w której *leci* ku ziemi, wyskoczywszy z samolotu. „To tylko mały krok człowieka, lecz w tym kosmicznym kombinezonie trochę mi za gorąco”.

Opadanie stało się spokojne, kontemplacyjne. Allegrę zaskoczyło, że na pozór to trwa tak długo, że każdą sekundę przeżywa się aż tak wyraziście. Wylądowała twardo; gruchnęła tyłkiem o ziemię, potem, przewróciwszy się, czubkiem łokcia; tyłek rozboleł ją natychmiast, więc z początku nie poczuła bólu w łokciu. Leżała, patrzyła w górę, za nią rozścieliła się czasza. Sunęły chmury, przelatywały ptaki. Wciąż czuła rozkoszną wszechobecność krwi. Corinne wraz z instruktorem spływali z góry. Allegra zdołała dostrzec podeszwy butów

Corinne, co świadczyło, że Corinne ląduje w niewłaściwej pozycji, jak Mary Poppins.

Allegra próbowała wstać, a kiedy udało jej się podnieść i zbliżyć do pionu, poczuła w ramieniu rozżarzony do białości przewód i mknący nim prąd. W uszach szumiało jej morze, w oczy chlusnął potop światła. Poczuła woń smoły. Po pierwszym kroku runęła w pustkę. Kiedy oprzytomniała, usłyszała Corinne:

- Nic ci nie jest? Możesz odpowiedzieć? - Słowa przemknęły nad Allegrą jak cienie ptaków, potem z tych cieni cicho wylał się mrok. Następnym razem ocknęła się w ramionach Corinne.

Trudno i darmo, musiały się poznać. Zanim dotarły do szpitala, zostały współniczkami przestępstwa. Sylvia nie mogła się dowiedzieć o skoku, tymczasem Allegra, wciąż za słaba, raz po raz zamroczona, nie czuła się na siłach zadzwonić do matki.

- Nic jej nie mów - poleciła Allegra. Pamiętała pęknięcie kości w stopie sprzed lat, kiedy spadła w przedszkolu z drabinek. Noc spędziła w szpitalu, a Sylvia była przy niej przez cały czas, siedziała przy łóżku na okropnym plastikowym krześle, ani na chwilę nie zmrużywszy oka. Allegra mogła powiedzieć, że Daniel jest jej bliższy niż Sylvia - nawet w rodzinie Sylvia narzucała jakiś dystans - lecz teraz, z tą straszliwie bolącą ręką, Allegra chciała zobaczyć matkę. - Ściągnij ją - powiedziała.

Leżała na szpitalnym wózku i kontemlowała białe zarysy na suficie, wirujące jak płatki śniegu. Corinne postukała w swój telefon komórkowy, a podczas rozmowy uniosła zdrową rękę Allegray i gładziła ją kciukiem.

- Pani Hunter? - spytała Corinne. - Jestem przyjaciółką Allegray; pani mnie nie zna. Allegra czuje się świetnie. Podejrzewamy, że złamała rękę, ale jestem tu z nią, w Vacaville Kaiser, i Allegra czuje się coraz lepiej. - Corinne szczegółowo opisała ów pechowy zbieg okoliczności. Dobroduszny pies, chłopiec z piłką, brukowany odcinek drogi, Allegra na rowerze. Sylvia kupiła to wszystko. Takie rzeczy się zdarzają, nawet z udziałem dobrodusznych psów, nawet cyklistkom jeżdżącym w kasku. Allegra zawsze jest na tyle ostrożna, żeby wkładać kask. Czasami jednak ostrożność na nic się nie zda. Sylvia i Daniel zjawiają się najszybciej, jak się da. Mają nadzieję, że osobiście podziękują Corinne za uczynność.

Allegra była pod wrażeniem. Trzeba mieć przy boku kogoś, kto kłamie z taką łatwością jak Corinne. Przyda się człowiekowi, byle okłamywał dla niego, nie zaś jego.

Okazało się, że Corinne jednak nie jest poszukiwaczką dreszczyków, uznała Allegra. Później, kiedy Allegra sugerowała, żeby wzbogacić ich uprawianie miłości o odrobinę adrenaliny, Corinne pozostawała głucha. Skakała ze spadochronem tylko po to, żeby się odblokować jako pisarka. Miała nadzieję, że wstrząs ją otworzy. Przepaść uznała za czystą kartę i runęła wprost w nią. Skakanie ze spadochronem było przerośnięciem.

Nic jednak nie pomogło i byłaby głupia, powtarzając ten eksperyment.

- Złamałaś sobie rękę! - wytknęła, jakby Allegra sama nie wiedziała. Corinne trzymała się ziemi, we własnym mieszkaniu, zachowywała szybkość bezpieczną, piła pobudzającą



herbatę, filiżanka za filiżanką. Była asystentką stomatologa, niezbyt oddaną powołaniu; wybrała ów fach w nadziei, że znajdzie czas, żeby pisać. W rzeczywistości prowadziła życie rozpaczliwie nudne, mimo to Allegra była w niej zakochana po uszy, zanim to do niej dotarło. Podczas godzin spędzonych w szpitalu - kiedy leki przeciwbólowe uskrzydliły Allegrę, a potem pozwoliły pikować coraz szybciej, szybciej, szybciej w otchłań miłości - jedynym rysem Corinne, który Allegra wyraźnie dostrzegła, było kłamstwo.

Sylvia otworzyła petit syrah, coś pysznego z serem i krakersami, zwłaszcza przy ogniu w deszcz. Jocelyn wypila na tyle, żeby odnaleźć się w towarzystwie, ale za mało, żeby się poczuć jego duszą. Uniosła kieliszek tak, żeby prześwitywał przez niego ogień. Był to ciężki, rżnięty kryształ, niegdyś prezent ślubny, teraz niestety zmatowiały po trzydziestu dwóch latach kontaktów z twardą wodą w zmywarce. Gdybyż Sylvia umiała o to zadbać.

- W *Rozważnej i romantycznej* znajdziemy jeden z ulubionych typów Austen: przystojnego uwodziciela - powiedziała Jocelyn. - Mam wrażenie, że wobec przystojnych mężczyzn Austen była bardzo podejrzliwa. Miała skłonność do bohaterów energicznych i nijakich. - Zakręciła kieliszkiem, cieniutka warstewka rubinowego wina wspięła się po szkle, potem opadła. Daniel był nijaki, chociaż Jocelyn nigdy by się z tym nie wyrwała, a Sylvia nigdy by temu nie przytaknęła. Rzecz jasna, w Austenlandii okazałoby się to zaletą.

- Oprócz Darcy'ego - powiedziała Prudie.

- Jeszcze nie mówimy o Darcym - w głosie Jocelyn zabrzmiała przestroga.

Prudie nie przeciągała struny.

- U Austen to nie dranie mają dobre serce, lecz jej bohaterowie. Są tego warci. Edward to dusza chłop - powiedziała Bernadette.

- Oczywiście - Allegra sięgnęła po najłagodniejsze, najbardziej melodyjne tony. Najwyżej jej matka oraz Jocelyn mogły się domyślać, jak irytują Allegrę podobne oczywistości. Pociągnęła wina tak solidnie, że Jocelyn dosłyszała przełykanie.

- W prawdziwym życiu kobiety pragną łajdaka, nie poczciwca. - Grigg zatrzepotał rękami, z jego słów zaś przebijała prawdziwa gorycz.

Jocelyn знаła wielu mężczyzn, którzy w to wierzą. Kobiety nie chcą sympatycznych mężczyzn, tacy wyplakują się nad piwem przed pierwszą lepszą, na tyle uprzejmą, żeby słuchać. Głośno potępiają sami siebie, leją łzy nad tą swoją cholerną, niepoohamowaną sympatycznością. A w rzeczywistości, kiedy się ich pozna bliżej, ci mężczyźni rzadko są tacy sympatyczni, jak im się zdaje. Szkoda gadać.

- Ale Austen w zakończeniu nie jest całkiem niechętna wobec Willoughby'ego - powiedziała Bernadette. - Przepadam za tym fragmentem, w którym Willoughby czyni wyznania Eleonorze. Człowiek ma wrażenie, że Austen tak samo mięknie jak Eleonora, na przekór sobie. Nie posunie się do zapewnienia, że Willoughby jest człowiekiem dobrym, bo nie jest, ale pozwala na współczucie wobec niego, tylko przez chwilę. Musi to wyważyć na ostrzu noża; trochę przesadzi, a człowiek gotów, mimo wszystko, życzyć Willoughby'emu

powodzenia z Marianną.

- Konstrukcyjnie, to wyznanie jest podpórką długiej historii, którą Brandon opowiada Eleonorze. - Allegra podzieliła się kolejnym pisarskim spostrzeżeniem.

Corinne może sobie i poszła, pomyślała Jocelyn, został jednak jej duch: teraz czyta z Allegrą książki i podpowiada opinie. Może Jocelyn była wcześniej zbyt surowa wobec Allegry. Nie wzięła pod uwagę Corinne, kiedy szacowała straty po odejściu Daniela. Biedne dziecko.

- Biedna Eleonora! Z jednej strony Willoughby, z drugiej Brandon. A ona absolutnie *entre deux feux*\*. - Na zębach Prudie przetrwał ślad szminki, a może wina.

\* ...wzięta w dwa ognie.

Jocelyn chciała nachylić się i zetrzeć to serwetką, jakby miała doprowadzić do porządku Saharę. Powstrzymała się jednak; Prudie nie należy do niej. Ogień rzeźbił twarz Prudie, pogłębiał dołki w policzkach, rozjaśniał głęboko osadzone oczy. Prudie nie miała urody Allegry, była jednak powabna i interesująca. Przyciągała wzrok. Pewnie ładnie się zestarzeje, jak Anjelica Huston. Żeby tylko przestała mówić po francusku. Albo niech jedzie do Francji, gdzie to wypadnie mniej natarczywie.

- I biedna Lucy - powiedziała Bernadette. - Jest coś w Eleonorze. Wszyscy chcą jej wyznawać swoje sekrety. Mimowiednie zachęca do zwierzeń.

- Ciekawe, dlaczego Brandon się w niej nie zakochał? - spytała Jocelyn. Za żadne skarby Jocelyn nie chciała odgadywać zamiarów Austen, przenigdy, ale tę parę Austen powinna była połączyć. - Są dla siebie stworzeni.

- Nie, w Brandona musi tchnąć ducha Marianna - powiedziała Allegra. - On sam nie ma czegoś takiego na składzie.

Corinne łaknęła wyznań. O ile Allegra przed kochaniem się pragnęła nieszkodliwego przestרחu, o ile Corinne pragnęła, żeby potem koić ją opowiadaniem sekretów. - Chcę wszystko o tobie wiedzieć - co w ustach kochanki brzmiało naturalnie i nie budziło podejrzeń. - Zwłaszcza chcę znać historie, których nikomu nie opowiedziałas.

- Kiedy opowiem, zmienią się - zaprotestowała Allegra. - Przestaną być sekretem.

- Nie - powiedziała Corinne. - Staną się naszym sekretem. Zaufaj mi.

Zatem Allegra opowiedziała.

1. W mojej podstawówce była klasa specjalna. Dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Czasem widywaliśmy te dzieci, ale na ogół trzymano je od nas z dala. Miały kiedy indziej przerwy, kiedy indziej lunch. Możliwe, że przychodziły tylko na połowę zajęć.

Jednym z nich był chłopak imieniem Billy. Wszędzie brał ze sobą piłkę do koszykówki i czasami do niej mówił. Bzdury, głupoty. Myślałam, że tylko małpuje rozmowy ludzi, lecz nie rozumie, że do rozmowy trzeba prawdziwych słów i ludzi, którzy coś odpowiedzą. Nosił

pognieciony kapelusz, spod którego sterczały uszy, jak Gapciowi w *Królewnie Śnieżce*. Ciągłe kapało mu z nosa. Na myśl o nim, a właściwie o nich wszystkich robiło mi się smutno. Na ogół o nich nie myślałam.

Billy'ego zobaczyłam kiedyś przy placu zabaw, gdzie nie miał czego szukać. Pomyślałam, że popadnie w tarapty, kiedy ktoś go tam zobaczy. Wydawało się, że nauczyciel tej specjalnej klasy wciąż się na kogoś drze. Podeszłam więc do chłopca, sama sobie gratulując, że taka jestem troskliwa i że potrafię zagadnąć Billy'ego jak zwyczajnego chłopca. Ale kiedy podeszłam bliżej, okazało się, że Billy trzyma w ręku swego członka. Pokazał mi go, rozciągnął na dłoni, żebym mogła się przyjrzeć. Członek drgał, jak kluty szpilkami. Zawróciłam do przyjaciółek.

W parę tygodni potem ojciec odwoził mnie któregoś dnia po lekcjach; był czymś zaaferowany, a ja poczułam się zlekceważona. Więc opowiedziałam, jak to w szkole ten chłopiec kazał mi oglądać swego członka. Chłopiec starszy ode mnie. Nie przyszło mi do głowy, że tatę tak to wzburzy; zaraz pomyślałam, że lepiej było trzymać język za zębami. Zażądał nazwiska, w sklepie odszukał tę rodzinę w książce telefonicznej, podjechał pod ich dom i zastukał do drzwi. Wyszła kobieta. Miała warkocze, jak dziewczynka, ale siwe; wydało mi się to niesamowite. Nosila takie okulary ze skrzydełkami. Tato zaczął mówić, ona płakać. Wpierw z gniewu.

- Niech was diabli porwą - zabrzmiało powitanie. Jeszcze nie słyszałam, jak ludzie klną, więc byłam zszokowana. Potem z kobiety uszedł gniew; wyglądała na zrozpaczoną. - I co mam zrobić, według pana?

- Uważam, że powinna pani z chłopcem porozmawiać... - wywodził ojciec, kiedy zza pleców kobiety wychynał Billy; trzymał tę idiotyczną piłkę i mamrotał. Ojciec urwał w pół zdania.

Tato miał upośledzonego młodszego brata, który w piętnastym roku życia zginął pod autem. Zawsze się bałam, że nie pokocham dziecka, jeśli nie będzie piękne. I dlatego zawsze bałam się mieć dzieci. Tato jednak mówił, że jego matka najmocniej kochała dziecko upośledzone. Zawsze mawiała, że miłość matczyna kieruje się tam, gdzie jest najbardziej potrzebna.

Po śmierci brata tato próbował wyciągać babcię z domu. Razem z mamą próbowali zabierać ją do kina, na koncerty, przedstawienia. Z reguły odmawiała. Tato zaglądał do niej, żeby zobaczyć, co porabia, ona zaś siedziała przy kuchennym stole i patrzyła przez okno.

- Już mi się nic nie chce, nie przychodzi mi do głowy, cholera, nic - mówiła.

Tak więc Billy stał za swą matką i gadał do piłki koszykowej, coraz bardziej rozgorączkowany. Tato przepraszał, lecz matka Billy'ego nie chciała słuchać.

- Co pan o tym wie? - spytała. - Ma pan ładną dziewczynę, która pewnego dnia pójdzie do college'u. Wyjdzie za męża. I dzięki której będzie pan miał jeszcze więcej ładnych dzieci.

Wróciliśmy do auta i ruszyliśmy do domu. Tato powiedział:

- Za nic nie przysporzę tej kobiecie żadnego zmartwienia. - Powiedział też: -

Wiedziałaś, że zatajasz bardzo ważną część tej historii. - Powiedział jeszcze: - Dlaczego ani o tym nie pisałaś? Zabrałbym się do sprawy całkiem inaczej. Idź do pokoju - powiedział wreszcie.

Nie wiedziałam, że mogę w nim wzbudzić taki gniew. Bałam się, że przestanie mnie kochać. Że już nie weźmie mnie za rękę. Nie spojrzy na mnie.

Nic nie mogłam znaleźć na swą obronę, nawet przed sobą. Próbowałam. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, myślałam, że ojciec tak się wzburzy, że tak się wzburzy ta kobieta. Nie przypuszczałam, że poleją się łzy. Gdybym wiedziała, nie odezwałabym się ani słówkiem. To dlaczego się wygadałam? Bo zabiegałam o uwagę. Bez powodzenia. Więc nie powiedziałem tacie, że Billy jest upośledzony, bo wiedziałam, że łatwiej przyciągnę uwagę ojca, kiedy opowiem tę historię inaczej. Kiedy Billy pokazał mi swego członka, nie miałam nic przeciw temu. Zrobił to jakoś po przyjacielsku.

2. Poszliśmy kiedyś do muzeum, w którym wiszą obrazy van Gogha. Podobały mi się, takie intensywne. Tato powiedział, że artyści malują tak, jak widzą; może zresztą powiedział inaczej, ale tak zapamiętałam. I pomyślałam o van Goghu widzącym swymi oczami świat intensywny. Nigdy się nie zastanawiałam, czy tak widzę świat jak inni, czy widzę coś lepiej, gorzej albo inaczej. Skąd to można wiedzieć? Van Gogh chyba nie pytał: czy to, co widzisz, to też jest intensywne? Coś podobnego nawet nie przyszłoby mu do głowy.

Nazajutrz położyłam się na trawie za domem i zaczęłam patrzeć prosto w słońce, przed czym zawsze przestrzegała mnie matka, bo w ten sposób można zniszczyć wzrok. Myślałam, że kiedy dorosnę, zostanę sławną malarką, a wszystko i wszyscy, których zobaczę, i wszystko i wszyscy, których namaluję, będą oślepiac.

3. Moi rodzice byli przekonani, że dzieciom się należy mnóstwo wolnego czasu. Ufali marzeniom. Brałam lekcje fortepianu, lecz krótko, jakoś nie chwyciło, do końca liceum nie uprawiałam po lekcjach żadnych sportów, w ogóle nic. Dużo czytałam i robiłam różne rzeczy. Szukałam czterolistnej koniczyny. Gapiałam się na mrowiska. Mrówki mają bardzo mało niezaplanowanego czasu. Miejsc, gdzie można pójść; ludzi, z którymi można się spotkać. Zająłam się pewnym konkretnym mrowiskiem, koło kamiennego stopnia w mamy ogródka hiszpańskim. Wpierw byłam bardzo dobra dla tych moich mrówek. Przynosiłam kawałki ciasta z kruszonką; dekorowałam im okolicę muszelkami i rozmyślałam, jak ja sama chciałabym natrafić na taką wielką muszlę, żeby móc wdrapać się do środka i ją zbadać.

Wydawałam gazety z mrówczymi wiadomościami, maleńkie, wpierw formatu znaczka pocztowego, potem większe; za duże jak na mrówki, co mnie peszyło, ale inaczej nie zmieściłabym wiadomości, chciałam zaś, żeby to były prawdziwe wiadomości, nie linijki imitujące pismo. Zresztą wyobraź sobie, jakie małe musiałyby być prawdziwe mrówcze gazety. Bo w mrówczej skali nawet te formatu znaczka pocztowego są jak boisko do koszy-

kówki.

Wyobrażałam sobie wstrząsy polityczne, spiski, zamachy stanu i opisywałam je. Możliwe, że w tym samym czasie czytałam biografię Marii Stuart. Czytywałaś jako dziecko te biografie w pomarańczowych oprawach? O dzieciństwie sławnych ludzi, zamykane rozdziałem o czynach, które zapewniły im sławę. Boże, przepadałam za tymi książkami! Pamiętam Bena Franklina i Klarę Barton, i Willa Rogersa, i Jima Thorpe'a, i Amelię Earhart, i madame Curie, i tę książkę o pierwszym białym dziecku urodzonym w kolonii Roanoke - Virginii Dare? - lecz podejrzewam, że wszystkie podretuszowano.

W każdym razie te krótkie wiadomości dla mrówek wychodziły codziennie. Co do spisków politycznych, to straciłam już inwencję albo znudziły mi się. Wzięłam więc szklanekę wody i spowodowałam powódź. Mrówki w poszukiwaniu ratunku pięły się, pływały. Wstydziałam się trochę, ale wyszedł z tego niezły materiał. Powiedziałam sobie, że w mrówczą monotonna dreptaninę wniosłam trochę ożywienia. Nazajutrz rzuciłam na mrówki kamień. Był to meteoryt z kosmosu. Stłoczyły się przy nim, biegały wokół i po nim; najwyraźniej nie miały pojęcia, co począć. Dzięki temu powstały trzy listy do redaktora naczelnego. W końcu podłożyłam ogień. Zawsze zbyt interesowałam się zapalkami. Sprawy trochę wymknęły się spod kontroli, a pożar mrówiska przeniósł się do ogródka. W sumie nic strasznego. Przybiegł Diego, zdeptał ogień; pamiętam, że płakałam i usiłowałam mu przeszkodzić, bo deptał moje mrówki.

Jakąż złą okazałam się królowną, bez serca. Nigdy nie będę się ubiegać o prezydenturę.

4. Kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, był ten chłopak, z którym się rżnęłam, dlatego tylko, że bardzo chciał. Student z Galway; poznałam go w Rzymie; podróżowaliśmy razem przez trzy tygodnie. Przed wyjazdem do domu naszą ostatnią wspólną noc spędziliśmy w Pradze. Poszliśmy na kolację, potem odwiedzaliśmy bary, piliśmy, aż popadłam w łzawy sentymentalizm i zażądałam wymiany symbolicznych pamiątek. Dał mi swoją fotografię z kotem na ręce. A ja wcisnęłam mu na palec mój srebrny pierścionek. Utknął na kostce, mimo to pchnęłam dalej.

Opowiedział, jak bardzo jest wzruszony. Poprzysiągł, że nigdy pierścionka nie zdejmie, potem próbował go ściągnąć, ale nic z tego nie wyszło. Palec zaczął puchnąć i przybrał dziwny kolor. Poszliśmy w pubie do toalety i próbowaliśmy palec namydlić, ale było za późno, opuchlizna za duża. Poprosiliśmy o masło, ale i to nie pomogło. Teraz już twarz chłopaka zaczęła nabierać dziwnego koloru, jakiejś rybiej bieli. Wiesz, jaką bladą cerę mają Irlandczycy; oni tam nigdy nie wychodzą na dwór. Wróciliśmy do studenckiego hotelu, tam zaciągnęłam go do łóżka, żeby przestał myśleć o palcu, ale rżnięcie poskutkowało tylko na chwilę. Palec przypominał parówkę, chłopak już nie mógł go zgiąć.

Wyszliśmy więc po taksówkę, żeby nas zabrała do szpitala. Tymczasem zrobiła się trzecia; noc, ulice ciemne, zimne, wymarłe. Minęliśmy kilka przecznic, chłopak zaczął skowyczeć jak pies, nie przesadzam. Kiedy znaleźliśmy wreszcie taksówkę, kierowca ani w

zab nie rozumiał po angielsku. Więc raz po raz naśladowałam syrenę pogotowia, wskazując ten palec. Odgrywałam pantomimę ze stetoskopem. Kiedy to sobie wyobrazisz, uznasz, że byłam kompletnie zalana. Nie mam pojęcia, co z początku myślał sobie szofer, w końcu się połapał, a wtedy się okazało, że szpital jest właściwie za rogiem. Podjechał i wysadził nas. Powiedział coś na odjezdnym, nie zrozumieliśmy, ale zawsze mogliśmy zgadywać.

Szpital był zamknięty; przy wejściu zobaczyliśmy domofon, mówiliśmy do kogoś, kto nie umiał po angielsku. Błagał, żebyśmy mówili zrozumiale, w końcu poddał się, a brzęczyk oznajmił, że ten ktoś nas wpuszcza do środka. Korytarze były ciemne, przeszliśmy przez kilka, zanim zobaczyliśmy jakieś światła w poczekalni. Miewałam takie sny: ciemne korytarze, pogłos kroków. Kręte, koliste labirynty, na ścianach informacje w jakimś nieznanym alfabecie. Miewałam takie sny, zanim to się zdarzyło, i wciąż miewam: zagubiona w obcym mieście; ludzie do mnie mówią, a ja nie rozumiem.

Więc poszliśmy w stronę światła i znaleźliśmy lekarza mówiącego po angielsku; mieliśmy trochę szczęścia, naprawdę. Opowiedzieliśmy o pierścionku, on zaś popatrzył na nas.

- Trafiliście na internę - powiedział - a ja jestem kardiochirurgiem.

Byłam gotowa wrócić do hotelu, zamiast się użerać, znosić tę żenadę, w końcu nie chodziło o mój palec (choć pierścionek był mój). Lecz Conor (tak chłopak miał na imię) ani myślał wychodzić.

- Boli nie do opisanego - oświadczył. Co zabrzmiało jak koan, jeśli się zastanowić. W każdym razie ja się zastanowiłam.

- Piłeś, co? - zapytał lekarz. Zabrał ze sobą Conora i ściągnął pierścionek siłą, okręcając. Na pewno strasznie bolało, ale przespałam to w poczekalni.

Później zapytałam Conora, gdzie pierścionek. Zostawił u lekarza. Wyobrażałam sobie ten pierścionek w którymś z tych sinych nerkowatych naczyń. Conor powiedział, że podczas ściągnięcia pierścionek okropnie się pogiął, ale to ja tak go powyginałam, więc Conor troszkę mnie dotknął, że nie pamięta. Wróciłabym po pierścionek, gdyby ten lekarz nie był taki nerwowy.

- Chciałam, żebyś miał pamiątkę - powiedziałam.

- Myślę, że cię zapamiętam, nie ma obawy - odrzekł Conor.

W kuchni odezwał się telefon. Podeszła Allegra. Dzwonił Daniel.

- Co u mamusi, kruszynko? - spytał.

- *Bueno*. Jeden urok. Mamy przyjęcie. Sam spytaj - powiedziała Allegra. Odłożyła słuchawkę i wróciła do saloniku. - To tato - powiadomiła Sylwię. - Nękany wyrzutami sumienia.

Sylvia wzięła na drogę wino.

- Halo, Daniel! - Zgasiła w kuchni światło, usiadła po ciemku z kieliszkiem w jednej ręce i słuchawką w drugiej.

Hałasowała ulewa; z rynny nad kuchnią chlustała deszczówka.

- Nie chce ze mną gadać - powiedział.

Sylvia miała nadzieję, że Daniel nie poprosi o wstawiennictwo. Tego by jeszcze brakowało. Ale wiedziała, jak Daniel kocha Allegrę; żalowała go, nic na to nie poradzi, nie zabroni sobie takich uczuć, chociaż powinna. Lodówka cudacznie zaterkotała; swojskość, domowość tego odgłosu niemal rozbroiły Sylwię. Przycisnęła kieliszek do policzka. Dopiero po chwili mogła być pewna brzmienia własnego głosu.

- Daj jej trochę czasu.

- Znalazłem kogoś, kto naprawi w sobotę prysznic na piętrze. Nie musicie być w domu; przyjdę i zajmę się tym. Po prostu lojalnie was uprzedzam. Ciebie i Allegrę. Gdybyście nie chciały się na mnie natknąć.

- To już nie twój dom.

- Ależ mój. Porzucam małżeństwo, nie ciebie. Póki jesteś w tym domu, będę o niego dbał.

- Odpierdol się - odrzekła Sylvia. Z saloniku dobiegł głośny śmiech.

- Nie przeszkadzam, wracaj do gości - powiedział Daniel. - Będę w sobotę między dziesiątą a dwunastą. Idź na targ i kup pistacje, które tak lubisz. Nawet nie zauważysz, że byłem, jeśli nie liczyć naprawionego prysznica.

Corinne wstąpiła do grupy pisarskiej, spotykającej się co tydzień. Oczekiwała, że to jej narzuci terminy i zmusi do pracy. Wyglądało na to, że spędza przy komputerze więcej czasu, niekiedy zdarzało się, że Allegra słyszała postukiwanie klawiszy. Corinne bywała w lepszym humorze, przy kolacji mnóstwo opowiadała o horyzoncie narracji, o metrum i głębokiej strukturze. Zawsze wysoce abstrakcyjnie.

Spotkania grupy odbywały się w sali zgromadzeń kwakrów i na początku pojawiła się pewna wątpliwość; skoro kwakrzy są tak uprzejmi i użyczają swej sali za darmo, to może grupa powinna tam przestrzegać kwakerskich reguł? Czy wypada przyjąć ów dar, a potem pochylać się wspólnie nad tematyką amoralną, niewolną od przemocy? Po długich dyskusjach grupa doszła do wniosku, że tematyka może być przesycona przemocą, żeby skutecznie dać odpór przemocy. Są pisarzami. To oni właśnie muszą się przeciwstawiać cenzurze w każdej postaci. Tego po prostu spodziewają się po nich kwakrzy.

Różni pisarze z grupy stali się dla Corinne bardzo ważni, więc Allegrę drażniło, że ich nigdy nie pozna. Nasłuchiwała się o nich, lecz tylko w okrojonych wersjach. Krag wtajemniczonych rodzi się dzięki zaufaniu; oczekuje się tam dyskrecji, zapewniła Corinne.

Nie była jednak mistrzynią dochowywania sekretów. Allegra usłyszała o kobiecie, która przyniosła wiersz o aborcji, napisany czerwonym atramentem, mającym symbolizować krew. Jakiś mężczyzna sfabrykował coś w rodzaju francuskiej farsy łóżkowej, tyle że bez śladu poczucia humoru; tekst zaś upstrzył przecinającymi się bezładnie strzałkami i kreskami, więc czytanie nie należało do przyjemności; niemniej gość tydzień w tydzień popełniał

kolejny rozwlekły rozdział o kutasach i przyprawianiu rogów. Inna kobieta pisała powieść fantasy, z niezłą intrygą, z rajcem, ale wszyscy mieli w tej powieści oczy bursztynowe, szmaragdowe, ametystowe albo szafirowe. Członkom klubu w żaden sposób nie udało się namówić autorki do podmiany takich oczu na piwne albo niebieskie, ani tym bardziej na odpuszczenie sobie tych cholernych oczu.

Pewnego razu Corinne mimochodem powiedziała przy kolacji, że wychodzi na wieczór poetycki. Członkini jej grupy literackiej, Lynne, będzie czytać cykl erotyków w seks-shope Dobre Wibracje.

- Idę z tobą - powiedziała Allegra. Corinne chyba się nie spodziewa, że ona zostanie w domu, kiedy tam ktoś będzie czytał na głos poetyckie nieprzyzwoitości na tle batów i sztucznych palantów.

- Nie chcę, żebyś się bawiła czyimś kosztem. - Najwyraźniej Corinne nie była zachwycona. - Umiesz dopiec, kiedy kogoś posądzisz o brak smaku. W naszej grupie jesteśmy po prostu nowicjuszami. Jeśli usłyszę, że sobie pokpiwasz z Lynne, to pewnie się dowiem, że sama jestem śmieszna. Nie będę w stanie pisać, kiedy pomyślę, że jestem śmieszna.

- Nigdy nie pomyślałam, że jesteś śmieszna - zaprotestowała Allegra. - Do głowy by mi nie przyszło. Poza tym przepadam za poezją. Wiesz o tym.

- Przepadasz za tą poezją, za którą przepadasz - powiedziała Corinne. - O drzewach. Nie takie wiersze będzie czytać Lynne.

Corinne wcale nie oznajmiła, że Allegra może iść, Allegra jednak poszła; teraz bardzo jej zależało na udowodnieniu, że potrafi się zachować, nie mówiąc już o chęci rzucenia okiem na drugie życie Corinne. Na jej prawdziwe życie, jak czasem sądzi. Na życie, w którym brak miejsca dla Allegry.

W Dobrych Wibracjach rozstawiono pięćdziesiąt krzeseł; zajętych było siedem. Za podium wisały na ścianie jak motyle nadmuchiwane krocza o różnych stopniach rozwarcia. Były też oszklone szafki, w których gorsety sąsiadowały z uprężami. Lynne była czarująco podekscytowana. Czytała oraz opowiadała o sprawach osobistych i artystycznych, na które otworzyła jej oczy dopiero własna poezja. Właśnie skończyła utwór, w którym w licznych strofach kobieca pierś opowiada o swych przeszłych wielbicielach. Wiersz ma strukturę regularną, Lynne nie kryła zaś niepewności, czy to właściwe rozwiązanie. Błagała publiczność o potraktowanie utworu jako formy niedomkniętej, rozwojowej.

Nawet pierś przemawiała tonem recytatorskim, z tym zaśpiewem pod koniec każdego wersu, jak u Pounda czy Eliota, zresztą licho wie, od kogo wzięła początek owa nieszczęsna maniera. Publiczność oklaskiwała co bardziej podniecające miejsca, Allegra pilnowała się, żeby też klaskać, chociaż to, co ją podnieca, różni się najwyraźniej od tego, czym podniecają się inni. Potem poszła z Corinne pogratulować Lynne. Powiedziała, że wieczór ją zachwycił, i to bardzo; takie niewinne oświadczenie mógł wygłosić każdy, mimo to Corinne przeszła ją



wzrokiem. Najwyraźniej obecność Allegrы unieszczęśliwiała Corinne. Allegra wprosiła się, wiedząc, że Corinne jej tu nie chce. Oświadczyła więc, że idzie do toalety. Zwlekała z powrotem; opłukała twarz, przyczesła włosy, niczego nie zaniedbała, zatem Corinne mogła nagadać się z Lynne tak, żeby Allegra nic nie usłyszała.

W ów weekend Sylvia i Jocelyn wybrały się na wystawę psów w Cow Palace, a dołączyła do nich na lunch Allegra. Zaproszona była też Corinne, lecz nagle spłynął na nią potok słów, jak zapewniła; nie chce ryzykować, że wyschnie. Jocelyn była w świetnym nastroju. Thembe otrzymał tytuł czempiona rasy, a sędzia zwrócił uwagę zarówno na wielkie możliwości i werwę psa, jak i na piękną sylwetkę. Mógł wziąć udział w popołudniowym konkursie psów gończych. Ponadto Jocelyn miała w kieszeniach wizytówki paru obiecujących reproduktorów. Przyszłość wyglądała na świetlaną. Wewnątrz Cow Palace było przeraźliwie głośno i niezbyt wonnie. Zabrały lunch na stoliki na zewnątrz, żeby nie jeść przy psach.

Allegra poczuła wielką ulgę, że wreszcie może komuś opowiedzieć o tym czytaniu wierszy. Zapamiętała zwłaszcza wersy niecenzuralne; Sylvia tak się zaśmiewała, że wypluła na kolana kanapkę. Potem Allegrę ogarnęła skrucha.

- Chciałam się trochę wciągnąć poprzez Corinne - powiedziała. - Ale Corinne się bała, że mogę to wyśmiać. Jakbym to ją miała wyśmiać.

- Swego czasu zerwałam z chłopakiem przez to, że mi napisał jakiś straszny wiersz - powiedziała Jocelyn. - „Oczy twe jak bliźnięta”. Ludzie na ogół mają oczy bliźnięce, prawda? Wszyscy, z wyjątkiem garstki pechowców, prawda? Wydaje się, że to nieważne. Że tyle w tym uczucia, co miłe, tyle pracy. Ale kiedy następnym razem chłopak zabiera się do całowania, możesz pomyśleć tylko jedno: „Oczy twe jak bliźnięta”.

- Jestem przekonana, że Corinne to świetna pisarka - powiedziała Sylvia. - Mam rację?

Allegra zaś odpowiedziała: Tak! Rzeczywiście! Świetna! W gruncie rzeczy Corinne jeszcze nie pokazała Allegrze ani linijki. Niemniej, ulubionymi lekturami Corinne były naprawdę dobre książki.

- Rzecz w tym - powiedziała Allegra, a Jocelyn zdążyła się już przekonać, że takie słowa rzadko zwiastują coś dobrego - że gdyby musiała wybierać między mną a pisaniem, na pewno wybierze pisanie. Czy to musi mnie zrażać? Nie, skądże. Należę do osób, które jasno stawiają sprawę: tak albo siak.

- Rzecz w tym - odpowiedziała Sylvia - że ona nie musi wybierać. Więc nie jest powiedziane, że się dowiesz.

Kiedy Allegra wróciła do domu, spotkała ku swemu zdumieniu Lynne, która właśnie wychodziła. Zatrzymały się na chwilę wymienić uprzejmości. Allegra przeszła kilka przecznic, bo bliżej nie znalazła miejsca do parkowania (równie dobrze mogła zostawić samochód w Daly City); była zgrzana, zła, bez tchu. Ale zdołała jeszcze raz opowiedzieć, z jaką przyjemnością słuchała poezji Lynne. Nie kłamie. Była zachwycona.

- Wpadłam z paroma ciastkami, żeby wam obu podziękować za przyjście - powiedziała Lynne. - Taka jestem szczęśliwa, że zastałam Corinne przy pracy. To talent.

Allegrę ukłuła zazdrość, bo Lynne zobaczyła, co pisze Corinne. Nawet kobieta, która czerwonym atramentem kaligrafuje wiersze o aborcji, może zobaczyć, co pisze Corinne.

- Bombowe historie - powiedziała Lynne, akcentując dwie pierwsze sylaby, dzięki czemu przymiotnik zabrzmiał jak gong. - A ten jej kawałek o upośledzonym chłopcu? „Piłka Billy'ego”? Istny Tom Hanks z tej historii o odrzuceniu, tyle że szczerze wzrusza.

- Corinne napisała historię o upośledzonym chłopcu? - spytała Allegra. I nawet nie zmieniła imienia?

Corinne nie zrobiłaby czegoś takiego. „Staną się naszym sekretem. Zaufaj mi”. Lynne zakryła usta dłonią i uśmiechnęła się przez palce.

- Och! Wszelkie oceny są ściśle tajne. Więc nie powinnam opowiadać. Rzecz jasna, myślałam, że tobie pokazała. Musisz przyrzec, że nic nie powiesz. Nie mów, proszę, że to ja. - Nalegała jak dziewczyneczka, tak obrzydliwie i flirciarsko, że Allegra przyrzekła, byle tego dłużej nie słuchać.

Allegra weszła do domu, potem ruszyła do studia, gdzie Corinne wciąż pracowała przy komputerze; zobaczyła, jak Corinne włącza wygaszacz, a słowa na ekranie nikną, zanim Allegra zdąży podejść.

- Już koniec z blokadą pisarską? - spytała Allegra. Naciśnięcie dowolnego klawisza mogło z powrotem przywołać tekst.

- Koniec - powiedziała Corinne. - Wróciła do mnie muza.

Nocą Corinne poprosiła o opowieść, mimo że nie kochały się tym razem. Allegra podciągnęła się na poduszce i spojrzała: Corinne miała przymknięte oczy, z boku głowy wystawało pomiędzy włosów ucho. Lekko uniesiony podbródek, szyja jak ośnieżony stok. Sutki przezierające spod koszulki bez rękawów. Uwodzicielska niewinność.

Allegra powiedziała:

5. Pewna dziewczyna z liceum zaszła w ciążę. Polubiłam ją od pierwszego wejrzenia, a z powodu tej ciąży żal mi się jej zrobiło - żebyś wiedziała, co o niej wygadywali chłopcy. Tylko że wtedy już jej naprawdę nie lubiłam. To tyle z grubsza, bo jestem za bardzo zmęczona, żeby opowiadać całą historię.

Allegra wstawiła się. Pomyślała, że nie ona jedna. Mogła przecież dostrzec zaróżowione policzki i szkliste oczy Prudie. Petit syrah zniknęło jak kamfora; Jocelyn wyprawiała Allegrę do kuchni po butelkę Graffigna Malbec i żeby zobaczyła, co robi Sylvia, która wciąż tam tkwiła od rozmowy z Danielem. Dopiero wstając, Allegra zorientowała się, że jest podcięta.

Sylvia siedziała w ciemnej kuchni, słuchawka wisiała na swoim miejscu.

- Hej-ho, kochanie - głos Sylvii brzmiał normalnie. Po co grać komedię, zwłaszcza przed Allegrą?

- Dlaczego tak spokojnie to przyjmujesz? - spytała Allegra. - Bo jeszcze ktoś uwierzy, że masz to w nosie. - Wiedziała, że mówi niestosownie. Słyszała niestosowność w podpitym głosie dobiegającym z jej własnych ust.

- Nie mam.

- Nie musisz się z tym kryć. Nikt ci tu nie będzie miał za złe, jeśli rąbniesz kieliszkiem, rozedrzesz się, położysz spać albo im powiesz, niech spierdalają.

- Pozwól mi, dziecko, być sobą - powiedziała Sylvia. - Czy wiesz, gdzie Daniel poprosił o rozwód? Zabrał mnie na kolację. Do Biba's. Zawsze chciałam się wybrać do Biba's, ale nigdy nie mogliśmy się dostać. Właśnie to sobie uświadomiłam. Musiał zarezerwować miejsce znacznie wcześniej, a potem całymi tygodniami udawał, że wszystko gra. Taki troskliwy sposób spławienia żony.

- Na pewno nie tak zaplanował ten wieczór! Na pewno nie wiedział, co powie ani kiedy powie. Niektórzy postępują bez gruntownego planu, inaczej niż ty.

- Pewnie masz rację. Podejrzewam, że człowiek uwalniający się od miłości traci głowę tak samo, jak w chwili zakochania. Dzięki Bogu, pada. Za mało było deszczu tego roku.

Twarz Sylvii odbijała się niewyraźnie w kuchennym oknie. Allegra pomyślała, że widzi twarz matki z obu stron naraz. Sylvia była taką ładną kobietą, trzymała się kawał czasu, a potem zniecka postarzała o parę lat. Teraz można się przyjrzeć, jak postępuje starzenie; można dostrzec, co się posypie następnym razem.

Allegra chwiejnie uklękła i położyła głowę na kolanach matki. Poczowała dłonie gładzące jej włosy.

- Cóż o tym wiemy, ty czy ja? - powiedziała Allegra. - Nie zaliczamy się do tych, które tracą głowę z miłości, prawda?

Kiedy Allegra była już pewna, że Corinne śpi, wstała i weszła do studia. Wysypała na podłogę zawartość kosza. Niewiele tego było, wszystko podarte na rozpaczliwe strzępki, z których żaden chyba nie wyszedł z drukarki Corinne. Na jakimś kawałku Allegra znalazła wytłoczone słowo „Zyzywa”\*. Nie dała za wygraną i poskładała strzępki na trzy kupki, kolorami. Miała na sobie tylko sportową koszulkę do kolan, w której sypiała, wyciągnęła więc z pojemnika z bielizną koc i rozesała na podłodze; zawinięta w ten koc składała skrawki.

**\* Nazwa magazynu literackiego wydawanego na Zachodnim Wybrzeżu USA.**

„Z żalem musimy zrezygnować z nadesłanego opowiadania”, przeczytała w końcu. „Wiele przemawia za «Piłką Billy'ego»; mimo że opowiadanie niezupełnie się mieści w naszym profilu, chętnie zapoznamy się w przyszłości z innymi pani pracami. Życzymy wytrwałości i powodzenia, Redakcja”.

Po kwadransie: „Odsyłamy odpowiadanie «Żegnaj, Prago», interesuje nas bowiem

tylko tematyka lesbijska. Szczerze doradzamy bliższe zapoznanie się z naszym pismem. Dołączamy formularz prenumeraty. Z podziękowaniami, Redakcja".

Po dziesięciu minutach: seryjny formularz dyskwalifikacyjny - „w tej chwili nie odpowiada naszym potrzebom" - u dołu widniało jednak zdanie dodane długopisem: „Kto z nas nie dręczył mrówek?"

Allegra zgarnęła strzępy, znowu je zmieszała i wrzuciła do kosza. Czowała się, jakby ktoś z niej wszystko zdarł, a potem czerpał jak z kopalni odkrywkowej. A więc starania Corinne, żeby Allegra trzymała się z daleka od pisarskiego kółka, nie miały nic wspólnego z ciętym językiem Allegry. Podłe to, że Corinne ją utrzymuje w poczuciu winy.

Owej podłostki, rzecz jasna, nie można porównać ze zdradą, nadużyciem zaufania. Zaczęło padać, lecz Allegra nawet nie wiedziała, kiedy znalazła się na dworze. I nawet tutaj nie zauważyła deszczu, chociaż miała na sobie tylko tę sportową koszulkę. Przeszła trzy przecznice do samochodu i przez całe dwie godziny jechała do domu rodziców, dłużej niż zwykle, bo zapomniała zabrać pieniądze na myto na moście (zapomniała nawet prawa jazdy), musiała zjechać na bok, wysiąść tak, jak jechała, nie ubrana, i opowiedzieć o sytuacji. W końcu ją przepuścili, taka jest bowiem siła niepohamowanego płaczu, kiedy kobieta jest prawie naga.

Do domu przyjechała po trzeciej nad ranem, ociekająca. Ojciec zagrzał jej kubek mleka, matka wpakowała do łóżka. Przez trzy dni wstawiała tylko do łazienki. Corinne dzwoniła wiele razy, ale Allegra ani myślała z nią rozmawiać.

Jak Corinne śmie spisywać sekretne historie Allegry i rozsyłać do czasopism?

Jak Corinne śmie spisywać je tak marnie, że nikt ich nie chce drukować?

To nie wina Jane Austen, że ta miłość ułożyła się źle. A nie sposób nawet powiedzieć, że Austen nie ostrzegała. Jej bohaterki radziły sobie wcale nieźle, lecz w książkach były też zawsze inne postaci, którym się nie poszczęściło - Eliza w *Rozważnej i romantycznej*, Charlotta Lucas i Lidia Bennet w *Dumie i uprzedzeniu*, Maria Bertram w *Mansfield Park*. Oto kobiety, którym należało poświęcić trochę uwagi, ale się nie poświęciło.

Allegra bardzo się starała nie wygłaszać żadnych opinii Corinne, mimo to ilekroć mówiła, z ust wymykały jej się słowa tamtej. Corinne zaś nigdy nie była skłonna chwalić takiej autorki jak Austen, piszącej aż tyle o miłości, kiedy na świecie roi się od innych spraw.

- U Austen wszystko jest na wierzchu - powiedziała Allegra. - To pisarka, która nie posługuje się obrazami. Obraz służy wprowadzeniu do tekstu tego, co niewypowiedziane. U Austen wszystko jest wypowiedziane.

Prudie energicznie potrząsnęła głową; włosy sfrunęły jej na policzki.

- Połowę tego, co mówi, Jane mówi ironicznie. Ironia jest sztuką mówienia dwóch rzeczy naraz. - Prudie usiłowała wyrazić coś, czego jeszcze do końca nie rozgryzła. Rozłożyła dłonie jak książkę, potem z klaśnięciem złożyła. Allegre zdumiał ów gest, dostrzegając jednak, że Prudie chce powiedzieć coś, o czym jest głęboko przekonana. - Tego,

co się mówi, a jednocześnie czegoś całkiem przeciwnego! - wykrzyknęła. Znać po niej było starannie skonstruowaną godność kogoś wstawionego. Godność Prudie zawsze się wydawała nieco sztuczna, więc wielkiej różnicy nie było. Maleńki uszczerbek dykcji, nadmiar śliny.

- Tak, jasne. - Jasne; Bernadette nie nadała za Prudie, podobnie jak Allegra. Po prostu wybrała przytaknięcie, jako grzeczniejsze od zaprzeczenia, jeśli nawet człowiek nie wie, o co chodzi. - I myślę, że to dzięki jej humorowi wciąż ją czytamy, po dwóch stuleciach. Przynajmniej do mnie przemawia to najmocniej. Chyba nie jestem odosobniona. Powiedźcie, jestem, czy nie?

- Ludzie lubią romanse - zauważył Grigg. - W każdym razie kobiety. Zresztą, ja też lubię. Nie powiedziałbym, że nie.

Do pokoju wróciła Sylvia. Przegrzebała palenisko; strzeliły iskry i wzleciały do komina jak maleńkie fajerwerki. Dorzuciła kolejną kłodę, dławiąc płomyki tam, skąd się jeszcze wydobywały.

- Weźmy Brandona i Mariannę - powiedziała. - Czy to na końcu nie wygląda tak, jakby Marianna została sprzedana? Jej matka i Eleonora, jakże naciskają! Czytamy, że Marianna pokochała Brandona. Tyle tylko, że już po ślubie. Taki jest dobry, że matka i Eleonora chcą mu koniecznie zapewnić nagrodę.

- O to chodzi - powiedziała Prudie. - Jane chce, żeby człowiekowi zrobiło się przykro. Powieść się kończy tym małżeństwem, Austen zaś ani się o nim zajaknie.

Sylvia usiadła przy Allegrze, więc Grigg musiał się usunąć.

- I to mnie smuci. Marianna może być egocentryczką i w ogóle, ale kto tak naprawdę chce, żeby się ustatkowała, urządziła? Nikt. Nikt nawet nie próbuje sobie wyobrazić, że mogłaby być kimś chociaż trochę innym.

- Z tego wynika, że chciałabyś ją widzieć z Willoughbym? - spytała Allegra.

- A ty nie? - zabrzmiała odpowiedź. Sylvia nachyliła się teraz do Prudie. - Myślę, że dzisiaj powinna cię odwiedzić do domu Jocelyn. Nie martw się o wóz. Daniel go odstawi z samego rana.

Zapadła cisza. Sylvia zakryła usta.

- Ja to zrobię - powiedziała Allegra. - Przyprawdę ci auto.

Kiedy Allegra w końcu wstała z łóżka, zaledwie w trzy dni po ucieczce z mieszkania Corinne w sportowej koszulce, pojechała do Vacaville, do szkoły spadochronowej. Najpierw usłyszała, że nikt jej nie weźmie. Terminu nie uzgodniła, zasady zna. Jeśli wraca z powodu złamanej ręki, szkoła nie ponosi z tego tytułu odpowiedzialności; może pamiętać formularze, które podpisywała. Powinna wrócić do domu i wszystko przemyśleć, brzmiała rada. Musi uzgodnić termin, a wróci, kiedy lepiej się nad wszystkim zastanowi.

Allegra sprzeczała się. Dużo się śmiała, więc nikt nie nabrał fałszywego wyobrażenia o jej nastroju czy zamiarach. Flirtowała. Ośmielała do flirtu mężczyzn. Powiedziała, że przeżywa atak niepohamowanej żądzy spadochronowej i w końcu Marco - jeden z

instruktorów, najwyraźniej wciąż niepewny orientacji seksualnej Allegry (wcale często wyjaśniała mu, jak jest, owszem, lecz jej dzisiejsze zachowanie, trudno i darmo, na nowo wzniciło w nim wątpliwości) - zgodził się być opiekunem w tandemie. Nie zachwycała jej myśl o skoku w tandemie; była w nastroju na solo, ale o solo nie mogło być mowy.

Allegra włożyła ten idiotyczny pomarańczowy kombinezon i poleciała. Marco przypiął się z tyłu do jej barków i bioder.

- Gotowa? - zapytał i zanim zdążyła odpowiedzieć, wypchnął ją z samolotu. Wewnątrz, gdzie opierało się rękę przed skokiem, widniała nalepka z roześmianą gębą. Poniżej ktoś dopisał flamastrem: „Leć bombowo!”

Frunęli. Ostro wiało, Marco tuż-tuż. A jednak ma to, czego chce. W górze błękitne niebo, w dole brązowe wzgórza. Za plecami te ogromne uniwersyteckie pola uprawne, ze sztucznymi pomidorami, sówkami ziemnymi, mlecznymi krowami. Gdzieś tam na wschodzie rodzice jedzą lunch. Rodzice, którzy ją kochają. Marco pociągnął linę, usłyszała łoskot otwierającej się czaszy, poczuła szarpnięcie. Rodzice, którzy ją kochają, bracia, bratanice, razem i z osobna, zawsze będą.

Droga Panno Austen z żalem musimy zawiadomić, że Pani utwór nie odpowiada naszym obecnym potrzebom.

W 1797 roku ojciec Jane Austen przesłał *Pierwsze wrażenia* londyńskiemu wydawcy nazwiskiem Thomas Cadell. „Jako że w pełni jestem świadom, jakie skutki rzecz tego charakteru wywołać może, ukazawszy się pod szanowanym Nazwiskiem w Nakładzie Pierwszym, zwracam się do Panów” - pisał. Pytał, ile może kosztować wydanie „na ryzyko Autorki” i na jakie można liczyć korzyści, gdyby rękopis się spodobał. Jest gotów zapłacić, jeżeli to konieczne.

Pakiet wkrótce powrócił z dopiskiem u góry „Odmowa przyjęcia - zwrot przesyłki”.

Książka ukazała po szesnastu latach. Zmieniony tytuł brzmiał *Duma i uprzedzenie*.

W roku 1803 londyński wydawca nazwiskiem Richard Crosby kupił od Jane Austen powieść (późniejszy tytuł *Opactwo Northanger*) za dziesięć funtów. Zapowiedział ją w broszurze, ale nie wydał. Minęło sześć lat. Austen napisała wówczas do Crosby'ego; proponowała kopię rękopisu, jeśli poprzedni zaginął, pod warunkiem że Crosby książkę szybko wyda. W przeciwnym razie, napisała, zwróci się do innego wydawcy.

Crosby odpisał, że nie ciąży na nim żaden obowiązek publikowania książki. Może rękopis zwrócić, lecz tylko po otrzymaniu z powrotem dziesięciu funtów. *Opactwo Northanger* zostało wydane dopiero w pięć miesięcy po śmierci Austen.

W tej bibliotece nie ma też książek Jane Austen. Chociażby ten tylko niedostatek dobrze zaświadczy o bibliotece, nawet takiej, w której w ogóle brak książek.

Mark Twain

Nie zdołam nigdy pojąć, dlaczego ludzie tak cenią powieści panny Austen, moim zdaniem w złym guście, wyzbyte artystycznej inwencji, uwięzione w żalonych konwencjach

angielskiej socjety, bez śladu geniuszu, dowcipu, znajomości świata. Nigdzie nie spotkamy życia tak żalnego, ograniczonego [...] Każdą postać obchodzi tylko [jedno]: czy on (ona) ma dość pieniędzy, żeby za niego (nią) wyjść? [...] Więcej szacunku budzi samobójstwo.

Ralph Waldo Emerson

## Maj

### *Rozdział trzeci*

w którym czytamy *Mansfield Park* wraz z Prudie

*...pewność, że podczas tego tête-a-tête nie usłyszysz żadnego niezyczliwego słowa, była niewymownie pociągająca dla osoby, która rzadko nie odczuwała lęku czy zakłopotania\*.*

Prudie i Jocelyn poznały się przed dwoma laty, kiedy w kinie grano na niedzielny poranek *Mansfield Park*. Jocelyn siedziała w następnym rzędzie za Prudie, po lewej zaś stronie Prudie jakaś kobieta częstowała swoją przyjaciółkę donośnie szeptanym monologiem na temat szaleństw w pewnej miejscowej stajni wyścigowej. Ktoś sypiał z jakimś weterynarzem - typem istic kowbojskim, buty, dzinsy, sam urok, na pozór niewystudiowany, no ale każdy, kto potrafi obłaskawiać konie, doskonale wie, jak zwabić do łóżka kobietę. Cierpiały na tym, rzecz jasna, tylko konie. Radza w ogóle nic nie je.

- Jakby pomyślał, że już jest jej - powiedziała kobieta - tylko dlatego, że jej pozwoliłam dosiąść go parę razy.

*\* Fragmenty Mansfield Park w przekładzie Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej.*

Prudie była przekonana, że mowa o koniu. Nie odzywała się. Siedziała z pudełkiem lukrecjowych red vines i dosłownie się w niej gotowało, chciała się już przesiąść, lecz pod warunkiem, że zrobi to w sposób nieoskarżycielski; jest, każdy przyzna, grzeczna do przesady. Właśnie zaczęło się w niej budzić nieproszone i rozprasające zainteresowanie apetytem Radzy, kiedy Jocelyn wychyliła się i powiedziała:

- Idźcie plotkować do holu. - Można powiedzieć, że Jocelyn to kobieta, z którą nie ma żartów. Poradzi sobie, w razie czego, z waszymi kowbojskimi typhasami. Poradzi sobie, w razie czego, z karmieniem waszych jakże, ho-ho, grymaśnych koni.

- Przepraszam - w głosie kobiety zabrzmiała pretensja. - Pewnie dla pani ten film jest ważniejszy niż moje prawdziwe życie. - W każdym razie zamilkła, a Prudie wcale się nie przejęła jej tonem; cisza to cisza, wszystko jedno, czy służy trawieniu uraz czy pochlebstw. Było cicho do końca filmu i to się liczy.

Plotkarki wyszły podczas wyświetlania napisów, prawdziwą austeniankę cechuje jednak prawdziwa uprzejmość, więc Prudie nie ruszała się z miejsca aż do ostatniego akordu muzyki, aż do pojawienia się na ekranie bieli. Wtedy odwróciła się, żeby podziękować; wiedziała, nawet nie zerknąwszy, że Jocelyn wciąż siedzi.

Trochę porozmawiały podczas przeciskania się między fotelami. Okazało się, że Jocelyn, podobnie jak Prudie, nie przepada za majstrowaniem przy oryginale. Siła książek polega na trwałości słowa pisanego. Może się zmienić człowiek, może się zmienić odczytanie, książka jednak zostaje ta, co zawsze. Dobra książka za pierwszym razem zadziwia, lecz nie tak, jak za drugim.

Filmowców, jak wiadomo, mało to obchodzi. Wszystkie postaci uległy przeróbce - rola pani Norris, okropnej ciotki Fanny, została okrojona przez zwykłe przycięcie czasu na ekranie; wuj Fanny, pan Bertram, pozytywny bohater książki, doczekał się teraz oskarżenia o handel niewolnikami i pazerność seksualną; pozostałe postaci sportretowano zaledwie z grubsza lub wymyślono na nowo. Najbardziej drażniło skrzyżowanie Fanny z samą Austen, czasami trzeszczało w szwach, nie były bowiem podobne - Fanny, istna trusia i Austen - skłonna do żartu. Powstała z tego postać, która myśli i mówi jak Jane, a reaguje jak Fanny. Niedorzeczność.

Nie o to chodzi, że motywy scenarzysty były niezrozumiałe. Nikt nie kochał Austen bardziej niż Prudie, każdy przyzna. Lecz nawet Prudie uważała charakter Fanny Price za trudny. Fanny to była skromnisia z pierwszej klasy, która nigdy, przenigdy nie zachowa się niewłaściwie i poskarży nauczycielce, gdyby niewłaściwie zachował się kto inny. Co zrobić, żeby publiczność nie poczuła do niej wstrętu? Tymczasem Austen, jak wynika z paru opisów, nie stroniła od flirtów, pełna życia i czaru. Skoro mowa o *Mansfield Park*, bardziej przypominała niegodziwą Mary Crawford.

Własnym dowcipem i błyskotliwością Austen obdarzyła więc Mary, lecz żadną miarą Fanny. Prudie zawsze się zastanawiała, dlaczego nie tylko Fanny, lecz chyba i Austen aż tak nie lubią Mary?

Opowiedzenie tego wszystkiego musiało potrwać. Prudie i Jocelyn przycupnęły nad filiżanką kawy w Cafe Roma, wdając się bardziej szczegółowo w rozgryzanie własnych odczuć. Dean, mąż Prudie, zostawił je i ruszył do domu, żeby tam w samotności ponownie przemyśleć film, a przy okazji złapać drugą połowę meczu Fourtyniners z Wikingami.

Po pierwszej lekturze Prudie uznała *Mansfield Park* za ostatnią na liście sześciu ulubionych powieści. Lecz z biegiem lat oceniała ją wyżej. Do tego stopnia, że kiedy Sylvia wybrała *Mansfield Park* na maj, Prudie zaraz ofiarowała się gościć klub, mimo że w maju trudno o osobę bardziej zajętą niż nauczycielka licealna.

Spodziewała się żywej wymiany zdań, przy czym sama miała tyle do powiedzenia, że przez parę dni zapisywała fiszki, żeby wszystko spaamiętać. Prudie była wielką zwolenniczką zorganizowania, urodzoną harcerką. Prowadziła listy rzeczy do ugotowania, posprzątania i



powiedzenia. Bycie gospodynią traktowała poważnie. Władza - czyli odpowiedzialność.

Dzień zaczął się jednak pechowo, od niespodzianki. Okazało się, że przez pocztę elektroniczną złapała wirusa. Od matki nadeszła wiadomość „Się tęskni, kochanie. By się wpadło”. Były jednak dwie następne wiadomości, od matki, ale z załącznikami, chociaż matka jeszcze nie opanowała sztuki wysyłania załączników. Wiadomość brzmiała „Supermortor. Chyba ci się spodoba” i „Może się tym ubawisz”. Identyczne „supermortory” nadeszły w kolejnych wiadomościach. Tym razem rzekomo od Susan ze szkolnego inspektoratu.

Prudie miała zamiar rozesłać maila z sugestią, żeby dzisiaj wieczorem, ze względu na upał, klub zebrał się nie o wpół do ósmej wieczorem, ale o ósmej; nie chciała jednak nikogo narażać na zawirusowanie. Zamknęła pocztę, nie odpowiadawszy nawet matce.

W prognozie zapowiedziano 41°C w ciągu dnia. To także zła nowina. Prudie zamierzała podać owoce w syropie, ale w taki upał nikt nic nie weźmie do ust na ciepło. Powinna po pracy podjechać pod market i kupić trochę owoców na sorbet. A lody na piwie korzennym? Nic trudnego, sama frajda!

Dean zwlókł się z łóżka w samą porę, żeby pocałować Prudie na do widzenia. Miał na sobie tylko sportową koszulkę, w której prezentował się wcale nieźle, o ilu zaś mężczyznach można powiedzieć coś takiego z ręką na sercu? Dean wstał w nocy, żeby obejrzeć mecz piłki nożnej. Przygotowywał się w ten sposób do mistrzostw świata, ponieważ rozgrywki miały być transmitowane na żywo ze strefy czasowej Japonii i Korei.

- Wrócę późno - powiedział. Pracował w agencji ubezpieczeniowej.

- Dzisiaj mam klub książki.

- Jakiej?

- *Mansfield Park*.

- Tę chyba odpuściłem - powiedział Dean. - Może wypożyczymy wideo?

- Przecież byłeś już na tym w kinie - odrzekła Prudie. Trochę się stropiła. Film oglądali razem. Jak mógł zapomnieć? Wtedy dopiero spostrzegła, że Dean się przekomarza. Świadczyło to tylko o jej podenerwowaniu, bo zwykle chwyta w lot dowcipy. Każdy przyzna.

- *Kiedy to było, ciociu, kiedyśmy powtarzały porządek królów angielskich z datami wstąpienia na tron i najważniejszymi wydarzeniami z panowania każdego z nich [...] i cesarzy rzymskich aż do Sewerusa, oprócz tego tyle mitologii pogańskiej i wszystkie metale i pół-metale, i planety, i najwięksi filozofowie.*

*Mansfield Park*

Na trzeciej lekcji Prudie zadała uczniom tłumaczenie rozdziału *Małego Księcia - La seconde planète était habi-tée par un vaniteux\** - sama zaś siadła z tyłu i uzupełniała notatki na zebranie. (Cały sekret nauczania to usiąść tak, żeby widzieć uczniów, odbierając im możliwość patrzenia na nauczyciela. Sytuacja odwrotna to koniec, nie ma nic gorszego. Tablice są dla matołów.)

\* Drugą planetę zamieszkiwał Prózny (przekł. Jana Szwykowskiego).

Już było za gorąco. W nieruchome powietrze zakradł się zapaszek sportowej szatni. Kark Prudie zlany był potem. Sukienka lepiała się do pleców, palce ślizgały po piórze. W budynkach, w których uczyła, tak zwanych tymczasowych (przetrwają nie dłużej niż dramaty Szekspira), nie było klimatyzacji. W maju trudno liczyć na skupienie uczniów. Zawsze trudno liczyć na skupienie uczniów. W tej temperaturze szkoda gadać. Prudie rozejrzała się po salce i zobaczyła, że niektórzy już marnieją nad stolikami, więdną jak stare liście sałaty.

Praca nad zadaniem najwyraźniej utknęła. Uczniowie spali, szeptali, gapili się przez okno. Na parkingu nad maskami samochodów wrzało gorące powietrze. Lisa Streit ukryła twarz we włosach, zadanie położyła na kolanach. Dzisiaj znać było po niej jakąś szczególną kruchość, czuło się aurę niedawnego porzucenia. Lisa umawiała się z chłopakiem z najstarszej klasy, bez wątpienia dzień w dzień naciskana, żeby się oddać. Prudie przypuszczała, że Lisa została porzucona raczej dlatego, że nie uległa, niż dlatego, że uległa. Było to słodkie dziewczę, pragnące, żeby wszyscy je lubili.

Przy odrobinie szczęścia mogła się taka uchować aż do college'u, kiedy miłe obejście już się uznaje za właściwą drogę do takiego celu. Trey Norton powiedział coś wulgarne i złośliwego: ci, którzy dosłyszeli, roześmiali się. Jeżeli Prudie wstanie i podojdzie, pewnie zobaczy, jak Elijah Wallace i Katy Sinhg grają w wisielca. Elijah jest chyba gejem, lecz ani on, ani Katy jeszcze tego nie wiedzą. Byłoby nadmiarem optymizmu przypuszczać, że w grze obrali za hasło jakieś słówko francuskie.

Właściwie czym tu się przejmować? Po co się w ogóle przejmować posyłaniem nastolatków do szkoły? W głowach aż im się przelewa od hormonów, więc chyba nie są w stanie chłonać jakichś złożonych struktur w rodzaju matematyki czy chemii, nie mówiąc o zwariowanych zagmatwaniach języka obcego. Zmuszać, żeby się przyłożyli? Po co taka udreka? Prudie pomyślała, że może się zająć po prostu resztą - wypatrywaniem oznak ciąży, molestowania seksualnego, zamiarów samobójczych, broni - lecz żądać, żeby jeszcze uczyła francuskiego, to stanowczo za wiele.

Czasami widok świeżego trądziku, źle nałożonego tuszu, zaczerwienionej skóry wokół nowiutkiego piercingu wzruszał Prudie do żywego. Uczniowie byli na ogół znacznie piękniejsi, niż mogło im się zamarzyć. (Czasami zaś podrostki wydawały się Prudie plagą zatruwającą jej skądinąd wygodne życie. Często doznawała naraz jednego i drugiego.)

Z drugiej strony taki Trey Norton był piękny i wiedział o tym - oczy zranionej sarny, nonszalancko noszone ciuchy, ciężki, rozkołysany krok - *Beauté du diable*\*.

- Nowa sukienka? - spytał dziś Prudie, siadając.

### \* Urok młodości.

Zmierzył nauczycielkę od stóp do głów; jawnie taksujące spojrzenie zbijało ją z tropu, rozwścieczało. Prudie dobrze wie, jak się ubrać do szkoły. Jeżeli odsłoniła dziś więcej ciała, to przez te, kurwa, czterdzieści jeden stopni. Co, może ma włożyć kostium?

- Upał - odpowiedziała.

Kombinował, jak dostać lepszy stopień, niż zasługuje, a Prudie była po prostu za stara, żeby dać się wodzić za nos. Chciała mieć już tyle lat, żeby całkiem zobojeźnieć. Nagle i nie bez irytacji odkryła tuż przed trzydziestką, że chce się przespać z prawie każdym mężczyzną, na którym zawiesi wzrok.

Wyjaśnienie mogło tkwić tylko w chemii, bo Prudie nie była taką kobietą. Tu w szkole każdy wciągany w płuca haust powietrza to koktajl z młodzieńczych feromonów. Trzy lata codziennego intensywnego kontaktu - czy to może nie pozostawić śladu?

Próbowała unieszkodliwić takie myśli, przenosząc je, jak należy, w sferę medycyny - i ku Austen. Koronki i czepki. Wiejskie ścieżki, wiejskie tańce. Cieniste parki z uroczymi widokami. Ale strategia spaliła na panewce. Teraz częściej niż kiedykolwiek przychodził jej na myśl seks, nawet na myśl o grze w wista. Od czasu do czasu wyobrażała sobie, że zaczyna to wszystko omawiać w pokoju nauczycielskim. „Może zdarzyło się wam kiedyś...” - zaczęłyby. (Gdyby zaczęła!)

Na początku liceum była bardziej zrównoważona seksualnie, naprawdę; teraz ów fakt mógł ją tylko przerazić. Niczego z tych lat nie mogła wspominać z satysfakcją. Bardzo szybko wyrosła i do szóstej klasy podstawówki była o wiele za wysoka. „Nadgonią to”, pocieszała ją matka (nieproszona, co świadczy, jak problem rzucał się w oczy). I absolutnie miała rację. Pod koniec studiów chłopcy w większości przerośli wreszcie Prudie o tych parę centymetrów.

Matka nie przewidziała (albo nie powiedziała) czego innego: jakie to z czasem stanie się nieważne. W feudalnej hierarchii szkoły ranga zostaje ustalona wcześniej. Można zmieniać sukienki i fryzurę. Można, chociaż zna się materiał, nie napisać wypracowania o *Juliuszu Cezarze* jambicznym pentametrem, lub też nikomu się nie przyznać, jeśli się napisało. Można przejść na szkła kontaktowe i bronić przed etykietką mądrali, nie odrabiać zadań domowych. Każdy chłopak ze szkoły może urosnąć o trzydzieści centymetrów. Słońce może się przestoczyć w jebaną nową. A mimo to pozostanie się tym samym dziwadłem co zawsze.

Tymczasem mężczyźni, którzy w restauracjach, na plaży czy w kinie oglądali się jak dotąd za matką, zaczęli się oglądać za Prudie. W sklepie mijali ją o milimetry i

nieprzypadkowo ocierali się o jej piersi. W autobusie siadali za blisko, w kinie dziwnym trafem opierali nogi o jej nogi. Starzy, trzydziestoletni mężczyźni gwizdali na jej widok. Prudie tężała i chyba o to chodziło; wyglądali na tym bardziej zadowolonych, im bardziej tężała. Kiedy po raz pierwszy chciał ją pocałować chłopak (w college'u), pomyślała, że kpi.

Tak więc Prudie nie była ładna ani rozchwytywana. Żaden powód do bycia niemiłą. Tymczasem Prudie dla poprawienia swej pozycji w szkolnej społeczności dokładała czasem swoje do dziennej porcji znęcania się, którą częstowano prawdziwych odrzuconych. Uważała to wówczas za zmyłkę taktyczną, za coś karygodnego, lecz niezbędnego. Teraz na myśl o tym robi się jej niedobrze.

Czy naprawdę była taka okrutna? Może to ktoś inny przewrócił Megan Stahl na asfalt i kopnął jej książki na bok? Teraz Prudie już wie, że Megan Stahl chyba była nie tylko trochę upośledzona, ale i rozpaczliwie biedna.

Prudie doglądała takich dzieci jako nauczycielka i robiła dla nich, co mogła. (Ale co może nauczycielka? Bez wątpienia pogarsza sytuację równie często, jak polepsza). Otóż pokuta to pewnie prawdziwy powód, dla którego wybrała tę karierę, chociaż swego czasu mogło się jej wydawać, że to na tle miłości do Francji, lecz bez prawdziwych skłonności belferskich. Pewnie każdy nauczyciel zjawia się w liceum, żeby wyrównać jakieś rachunki, przeważyć jakieś szale.

W *Mansfield Park* bardzo niewiele przemawia za możliwością gruntownej przemiany. „Charakter postaci bywa precyzowany wcześniej”, zapisała Prudie w notesie, dodając przykłady: rozpustnik Henry Crawford przejściowo poprawia się, nie potrafi jednak wytrwać. Ciotka Norris i kuzynka Maria równie niezłomnie trwają w podłości od początku do końca książki, jak Fanny i jej kuzyn Edmund w cnotach. Tylko kuzyn Tom, otarłszy się o śmierć, zdołał się poprawić pod sam koniec książki.

Co wystarczyło, by w Prudie rozbudzić nadzieję. Może nie jest taka straszna, jak sądzi. Może zasługuje na przebaczenie, nawet na przebaczenie Jane.

Lecz w chwili, w której to pomyślała, jej palce ślizgające się to w górę, to w dół pióra nasunęły jej na myśl coś stanowczo, niewybaczalnie nieausteniańskiego. Rozejrzała się; Trey właśnie się odwrócił i gapił. Nic dziwnego. Trey wyczuwa każdą sprośną myśl, jak różdżkarz wodę. Uśmiechnął się do Prudie, był to zaś taki uśmiech, którego w żadnym wypadku uczeń liceum nie powinien kierować do nauczycielki. (Ale żadna nauczycielka licealna nie powinna też przypisywać takich przymiotów prostemu aktowi szczerzenia zębów. Moja wina, Jane. *Pardonnez-moi\**).

\* Wybacz.

- Potrzebujesz czegoś, Trey? - spytała Prudie. Odłożyła pióro, a ręce wytarła w spódnice.

- Pani wie, czego potrzebuję - odpowiedział. Rozmyślnie wytrzymał pauzę. Podniósł wypracowanie.

Prudie wstała, żeby zobaczyć, lecz właśnie rozległ się dzwonek.

- *Allez-vous en!*\*\* - żartobliwie zawołała Prudie. Pierwszy zerwał się Trey i pierwszy dopadł drzwi.

\* **Zmykajcie!**

Reszta uczniów zbierała papiery, zeszyty, książki. Szli sobie pospać na innej lekcji.

*Ta kaplica, jak widać, została wyposażona w czasach Jakuba II.*

*Mansfield Park*

Prudie miała teraz okienko; ruszyła przez dziedziniec do biblioteki, gdzie była klimatyzacja i dwa terminale internetowe. Pot z twarzy i karku wytarła ręką, rękę zaś w rąbek sukienki; otworzyła pocztę elektroniczną. Oferty konsolidacji zobowiązań, powiększenia penisa, rustykalnego happeningu tylko dla dorosłych - utłuc to, porady praktyczne, przepisy, dowcipy, tanie leki, zaginieni - utłuc to. Utłuc wszystko z podejrzanym załącznikiem; pokazało się takich jeszcze sześć. Kasowanie zajęło Prudie tylko minutę, lecz szkoda i minuty. Po co to komu? Kto ma tyle czasu? A jutro Prudie znajdzie w poczcie to samo. Prudie ma *la mer à boire*\*.

\* **Przenośnie: Krzyż Pański.**

Obok przy komputerze usadowił się Cameron Watson. Przygarbiony siedemnastolatek z haczykowatym nosem wyglądał na jedenastolatka. Przed dwoma laty chodził na zajęcia Prudie; mieszkał w sąsiedztwie, trzy domy dalej. Prudie i matka Camerona należały do tej samej grupy inwestorskiej. Kiedyś grupa osiągała pierwszorzędne zyski. Kiedyś pyszniła się, jak winorośl winogronami, firmami światłowodowymi i pakietami technologicznych gigantów. Teraz zostały z tego wzajemne oskarżenia i rozpaczliwy bałagan. Prudie rzadko już widywała matkę Camerona.

Swego czasu Cameron powiedział Prudie, że ma przyjaciela we Francji. Wymieniali e-maile, więc Cameron chciał się uczyć języka, ale nie wykazywał zdolności, natomiast świetne wypracowania kazały Prudie podejrzewać, że to robota nadesłana po przyjacielsku z Francji. Uderzająco bystry, Cameron dysponował tą szczególną mieszanką kompetencji i niewiedzy, która cechuje podmiejskich maniaków komputerowych. To do niego zwracała się Prudie ze wszystkimi problemami komputerowymi; w zamian robiła, co mogła, żeby go szczerze polubić.

- Boję się teraz wysłać coś z domu - powiedziała. - Dostaję e-maile rzekomo od ludzi z mojej książki adresowej, tymczasem to nie oni. Załączników, a są, nie zapisuję. Ani nie

czytam.

- Nic straszego. Wirus. - Cameron nawet nie spojrział, nachylony nad ekranem. Usłyszała kliknięcie myszy. - Autoreplikacja. Spryciarskie. Robota trzynastoletniego szczawia z Hongkongu. Mogę przyjść i wysprzątać, pójdzie szybciej niż tłumaczenie, co i jak.

- To świetnie - odrzekła Prudie.

- Gdyby pani miała DSL, mógłbym to zrobić od siebie z domu. Nie czuje się pani za mało wirtualna? Nie wkurza to pani? Trzeba wgrać DSL.

- Mieszkasz trzy domy dalej - powiedziała Prudie. - A ostatnim razem wydałam tyle pieniędzy. - (Cameron doradzał jej przy wszelkich zakupach. Znał jej komputer lepiej niż ona.) - Raptem dwa lata temu. Dean nie widzi potrzeby. Jak myślisz, da się zrobić gruntowny upgrade bez kupowania nowego komputera?

- Nie tak, nie tak - Cameron najwyraźniej nie kierował tego do Prudie. A może do Prudie. Cameron lubił Deana jak mało kogo; może nie chciał słuchać krytyki pod jego adresem.

Weszło jeszcze troje uczniów, rzekomo w misji poszukiwawczej. Hałaśliwie dobrali się do katalogu, dane zapisali w zeszytach, naradzali się z bibliotekarką. Jednym z chłopców był Trey Norton. Drugiego Prudie nie znała. No i dziewczyna, Sallie Wong. Miała długie, lśniące włosy i małe okulary. Niezły słuch do języków, doskonały akcent. Była w niebieskim topie bez rękawów, na ramiączkach krzyżujących się na plecach, ramiona lśniły od potu i tej połyskliwej emulsji, której teraz używa każda. Bez stanika.

Po wejściu między półki rozprysnęli się w różne strony. Trey i Sallie niemal zaraz zeszli się gdzieś koło działu poezji. Przez szkło przy terminalu Prudie miała doskonały wgląd w cztery przejścia między półkami. Widziała, jak Trey ujmując w dłoń włosy Sallie. Coś szepcze.

Teraz dają nura w następne przejście, a w tym poprzednim pojawia się tamten chłopak, przyciężki, poważny, zakłopotany. Najwyraźniej ich szuka. A oni najwyraźniej umykają. Chłopak zagląda do następnego przejścia. Oni zawracają.

Tymczasem Cameron gada i gada, przejęty, mimo że wciąż przewija obraz na ekranie. Wielofunkcyjniak. Właśnie mówi:

- Musi pani mieć dostęp szerokopasmowy. Teraz upgrade u pani to już nie sprawa procesorów ani pamięci. Pani się musi uplasować w sieci. Paradygmat desktopa się skończył. Już jest za burtą. Koniec z takim myśleniem. Mogę podrzucić trochę zajebistego freewaru.

Trey i Sallie wynurzyli się koło czasopism. Sallie się śmiała. Trey wsunął rękę pod ramiączko i rozpostarł palce na jej ramieniu. Usłyszeli, że tamten chłopak się zbliża, Sallie zaśmiała się głośniej, a Trey zaciągnął ją w inne przejście, poza zasięgiem wzroku Prudie.

- Powiedzmy darmową linię międzymiastową - mówił właśnie Cameron. - Przekazuje wideo na żywo, IRC w czasie rzeczywistym. Złoży pani komputer jak chusteczkę do nosa. I

będzie pani w tym żyła. Stanie się pani globalna. - Niepostrzeżenie wpisywali się w *Matrixa*. Prudie nie zwróciła na to uwagi, a jeśli nawet, to nie dostrzegła przekraczania granicy. Klimatyzacja zaczynała ją ziębić. Mógł jej dopomóc tylko żwawy marsz do klasy.

Trey i Sallie znów pojawili się przy czasopismach. Trey wparł Sallie w „National Geographic” i całował.

- Pani komputer już nie jest rzeczownikiem - zapewnił Cameron. - Pani komputer to już, kur... kurczę, czasownik.

Przyciężki młody człowiek podszedł do stanowiska komputerowego. Gdyby się obrócił, zobaczyłby Sallie Wong zaciskającą wargi na języku Treya Nortona. Nie obrócił się.

- Nie tutaj miałeś siedzieć - zwrócił się oskarżycielskim tonem do Camerona. - Mieliśmy wspólnie pracować.

- Za minutę już jestem - w głosie Camerona nie rozbrzmiewała nuta przeprosin ani zainteresowania. - Znajdź innych.

- Nie dam rady. - Chłopak usiadł. - Sam nic nie zrobię, nie ma mowy.

Sallie uwieszona na szyi Treya wyginała się w łuk. Prudie wywietrzył z głowy problem klimatyzacji. Zmusiła się do oderwania wzroku i spojrzała znów na Camerona.

- Ani myślę odwalać całej roboty, pod którą potem podpiszą się wszyscy - oświadczył chłopiec. - Chyba wie pani, o co mi chodzi.

Cameron nadal stukał w klawiaturę. W ułamku sekundy potrafił rozszyfrować zgrywę, ale za grosz nie miał poczucia humoru. Grafikę do *Zagłady* uważa za coś absolutnie niesamowitego - kiedy mówił, jego palce dziobały klawiaturę jak opętane - ale normalnie padł, kiedy *Krew na szosie* pokazano z jej własnym drajwerem. Może to zaszarga mu w szkole opinię, skomentowała w myśli Prudie, ale jest pocieszające. To nie chłopak, który lada chwila zacznie strzelać na korytarzu. Wciąż widzi różnicę między rzeczywistością a tym, co nią nie jest.

Nagle, jak z zasadzki, wdarł się w wyobraźnię Prudie obraz. Oto wparta w półki z „National Geographic” całuje Camerona Watsona. Natychmiast wykasowała to przywidzenie (dobry Boże!), zachowała niewzruszony wyraz twarzy i skupiła się na tym, co tam, cholera jasna, gada ten Cameron. Czyli...

- ...Co będzie, jeżeli zmienią algorytm, a nikt się nie połapie? - Cameron zrobił z rękami coś dziwnego: zetknął czubkami kciuki, zginając nad nimi wskazujące palce.

- Co to takiego? - spytała Prudie.

- Uśmiechnięta twarz. Emotikon. W ten sposób dowie się pani, że żartuję.

Ani myślał spojrzeć na nią, gdyby to jednak zrobił, Prudie nie zdołałaby oderwać od niego wzroku. Ależ szczęśliwe jest to pokolenie, jedną sobie przyjaciół, chociaż nigdy ich nie spotkali w rzeczywistości. Jedynie w cyberprzestrzeni, w której nie słychać żadnego głośnego dyszenia.

*Jeśli jakkolwiek zdolność naszej natury można nazwać cudowniejszą od pozostałych,*

*to myślę, że jest nią pamięć [...] Pamięć jest niekiedy taka trwała, taka usłużna, taka posłuszna, kiedy indziej - taka zdezorientowana, taka słaba, kiedy indziej znowu - taka bezwzględna, taka nie poddająca się kontroli.*

### *Mansfield Park*

Prudie szczególnie lubiła początek *Mansfield Park*. Mowa tam o matce i ciotkach Fanny Price, o trzech pięknych siostrach i o tym, jak powychodziły za mąż. Co jakoś przypomina historię Trzech Świnek. Jedna siostra poślubiła bogacza. Druga mężczyznę godnego, lecz o skromnych dochodach. A trzecia, matka Fanny, wyszła za pozoranta. Jej ubóstwo tak już kłuło w oczy, że Fanny wysłano, samiusienką, do domu zamożnych wujostwa. Wszystko zamieniło się więc w *Kopciuszka* i teraz dopiero się zaczyna prawdziwa opowieść. Ktoś mówił ostatnim razem o baśniach. Czyżby Grigg? Prudie przeczytała w dzieciństwie z milion baśni. Potem czytała je od nowa. Najbardziej przyłgnęła do *Dwunastu łabędzi*.

Wcześniej zauważyła jedno: co innego rodzice, co innego historie przygodowe. Nie miała ojca, jedynie wiszące w holu zdjęcie młodego człowieka w mundurze. Zginął, usłyszała, w jakiejś tajnej misji w Kambodży, kiedy Prudie miała dziewięć miesięcy. Nie miała powodu w to wierzyć i nie wierzyła, mimo powabów takiej historii. Problemem była matka; choćby Prudie zrobiła nie wiadomo co, matka nie zamierzała jej nigdzie wysłać.

Matka była słodka, tkliwa, wyrozumiała i pogodna. Była też dziwnie zmęczona. Cały czas. Twierdziła, że pracuje w biurze i to wszystko przez pracę, która tak ją wyczerpuje, że potem nawet leżenie na sofie przed telewizorem stanowi nadmierny wysiłek. Weekendy spędzała na drzemce.

Prudie nabrała przez to podejrzeń. To fakt, że matka wychodzi z domu po śniadaniu, a wraca dopiero na kolację. To fakt, że kiedy Prudie odwiedzała matkę w biurowcu (zapowiedziana), zawsze matkę zastawała, chociaż podczas tych odwiedzin matka właściwie nie pracowała. Zwykle rozmawiała przez telefon. Matka powinna się przekonać, co znaczy jeden dzień w przedszkolu! „Jestem za bardzo zmęczona” to żadna wymówka.

Przy okazji czwartych urodzin Prudie matka nie stanęła na wysokości zadania; Prudie domagała się urządzenia przyjęcia, na którym śmietankę gości miały stanowić czterolatki. Przez parę dni matka opowiadała Prudie, że urodziny już się zbliżają - będą pojutrze, a może o dzień później - aż w końcu jako prezent (nie opakowany) wręczyła Prudie płytę *Ulicy Sezamkowej* i przeprosiła za spóźnienie. Urodziny Prudie, przyznała matka, jakoś umknęły.

Prudie rzuciła się na podłogę, wpierw rzuciwszy płytę. Miała po swojej stronie wszelkie racje, wsparte nieustępliwością czterolatki. Matka mogła liczyć tylko na swą przebiegłość dwudziestotrzylatki. Pomyślne rozwiązanie problemu powinno zająć niecałą godzinę.

Wyglądało na to, że Prudie, która tarza się po dywanie, tupie, tłucze pięściami i wyje, naprawdę nie słyszy matki. Jednak urywki zdań, które dotarły do Prudie w przerwach na



zaczepienie tchu, były tak szokujące, że Prudie zamilkła. Owszem, minęły urodziny Prudie. Ale, rzecz jasna, utrzymywała teraz matka, przyjęcie się odbyło. Matka je opisała. Baloniki, babeczki z różowym lukrem i kruszonką, piñata w kształcie truskawki. Prudie, w bluzeczce z jednorożcem, zdmuchnęła wszystkie świece. Była taką dobrą gospodynią, tak nadzwyczajnym, niezwykłym dzieckiem, że otworzyła wszystkie prezenty, a potem uparła się, żeby goście zabrali je z powrotem, chociaż jednym z prezentów była ta wypchana wiewiórka ssąca kciuk, którą widziały w dziale zabawek w Discoveries i o którą Prudie dopominała się od niepamiętnych czasów. Rodzice gości wprost nie wychodzili z podziwu nad brakiem samolubstwa Prudie. Jeszcze nigdy matka nie była z niej taka dumna.

Prudie spojrzała przez strugi łez i zawiązała włosy.

- Kim byli goście? - spytała.

- Nie znasz ich. - Matka nawet nie mrugnęła.

Matka nie zamierzała ustąpić. Przeciwnie, przez parę następnych dni jeszcze wszystko upiękzyła. Chyba każdy posiłek (ulubioną kolację stanowiły bajgle z masłem, po których wystarczyło umyć tylko nóż) opatrzony był barwnymi opisami poszukiwania skarbu, kapeluszy pirackich jako ozdoby przyjęcia, takiej właśnie pizzy, za jaką przepadają czterolatki, z samym serem, którego ma być nie za dużo. Z głębi komody matka nawet wyciągnęła i pokazała otwartą paczkę serwetek w biedronki.

- Tyle zostało - powiedziała.

Inne dzieci nie były takie grzeczne jak Prudie. Kogoś zepchnięto ze zjeżdżalni i potrzebny był opatrunek. Ktoś przezwany Makaronem zanosił się płaczem. Matka przedstawiała szczegóły z konspiracyjnym błyskiem w oku.

- Pamiętasz? - pytała raz po raz, zapraszając Prudie do bogatego i szczodrego świata swej wyobraźni.

Nie minął tydzień, a Prudie uległa. Piła sok pomarańczowy z plastikowej pomarańczki, matka zaś powiedziała, że może wypłuczą tę pomarańczkę, żeby została dla Prudie. Pomysł zniecił Prudie, niemal oszołomił.

- Pamiętam klauna - ostrożnie podsunęła Prudie. - Był na moich urodzinach. - Bo Prudie naprawdę zaczynała sobie przypominać to przyjęcie, przynajmniej części. Zamknawszy oczy, mogła zobaczyć gwiazdzisty papier do pakowania, ser zsuwający się z kawałka pizzy na serwetkę, grubą dziewczynę w skrzących się okularach, spotkaną kiedyś w parku zwyciężczynią w rzucaniu kółkiem. W przedszkolu zdażyła już opowiedzieć Robercie o piñacie. Natomiast klaun to był manewr, ostatnia próba oporu. Kogo jak kogo, ale klaunów Prudie nie cierpiała.

I jeszcze raz matka wymknęła się z pułapki. Objęła Prudie, wcisnęła w czoło córki podbródek, jak czubek długopisu, potem cofnęła i powiedziała:

- Nigdy nie wpuściłabym do tego domu klauna. Podstęp okazał się takim sukcesem, że został zastosowany ponownie na Halloween, a potem ilekroć matce to dogadzało.

- Rano byłam w sklepie po mleko - potrafiła powiedzieć. - Już je wypić. - Albo: - Widzieliśmy już ten film. Nie podobał ci się. - Zawsze z uśmiechem, jakby chodziło o grę prowadzoną wspólnie. (Kiedy zaś naprawdę grały, Prudie wolno było rzucać kości i przesuwając pionki także za matkę. Matka zawsze pozwalała Prudie wygrywać.)

Czasem Prudie miała wrażenie, że jej dzieciństwo wypełniały wspaniałe przyjęcia, wycieczki do Marine World, kolacje w Chuck E. Cheese, gdzie na gitarach grają gryzonie wielkie jak dorośli i specjalnie dla Prudie śpiewają piosenki Elvisa. Coś z tego na pewno musiało się wydarzyć. Lecz często nie wiedziała co. Zaczęła prowadzić dziennik, sporządzając listy, ale dokładne opisanie stanu spraw okazywało się dziwnie trudne.

Szczególnie trudne było szczere podejście do własnych zachowań; Prudie zaczęła wyczuwać, znacznie wcześniej, nim zdołała ująć to w słowa, że w tym, co się do niej odnosi, jest coś sfabrykowanego, nie to, że w dzienniku, lecz w rzeczywistym świecie (nie roztrząsając, co to, u diabła, znaczy). Lata mijały jak przesuwająca się mapa pozbawiona punktów odniesienia, tu odrobina powietrza, ówdzie wody. Z wszystkiego, co Prudie musiała wymyślić, najtrudniejsze było wymyślenie siebie.

Pewnego wieczoru, Prudie miała wtedy osiem czy dziewięć lat, w przerwie na reklamy podczas *Największego bohatera Ameryki* (matka Prudie przepadała za łzawymi, pełnymi wyrzutów sumienia żywotami superbohaterów. W *Największym bohaterze Ameryki* nauczyciel licealny zostaje wyposażony w magiczny czerwony garnitur i nadprzyrodzone moce, by następnie ich użyć do walki ze szpiegami i przestępcami; chociaż to właśnie w szkolnej klasie potrzeba nadprzyrodzonej mocy) matka wspomniała Boże Narodzenie, kiedy to wybrały się na spotkanie z Mikołajem w Macy's.

- Poszliśmy na śniadanie - powiedziała matka. - Jadłś naleśniki z kruszoną czekoladą. Przyszedł Mikołaj, usiadł przy naszym stoliku; poprosiłaś wtedy o samochodziki w pudełkach.

Prudie zamarła; poczuła, że kolacja (masło orzechowe jedzone łyżką i popijane mlekiem) zaczyna jej topnieć w ustach. W piersi zaczęło kiełkować coś nieznanego, rosnąć, rozszerzać się, wreszcie wypełniło pustą przestrzeń wokół serca. Prudie udało się wreszcie przepchnąć przez przełyk śmiertcionośną pacynę masła orzechowego.

- To nie byłam ja - powiedziała.

- Karty menu były jak płatki śniegu.

Prudie miała nadzieję, że przesywa matkę stalowym spojrzeniem.

- Jestem biedną sierotą. Takiej nikt nie zabiera na spotkanie z Mikołajem - powiedziała.

- Mikołaj jadł właśnie ciasteczko bożonarodzeniowe. Zapaskudził sobie brodę czerwoną i zieloną posypką. Jestem twoją matką - powiedziała matka Prudie. Zamrugowała raz, drugi i trzeci. Potem spuściła z tonu. - Cóż bym poczęła bez mej słodkiej kruszynki?

Ośmio- czy dziewięciolatka jest jednak bez serca, chyba że chodzi o szczenięta, kocięta

czy pisklęta. Prudie była niewzruszona.

- Moja matka nie żyje.

- Na co umarła?

- Na cholere. - Prudie mocno wrył się w pamięć

*Tajemniczy ogród*. Gdyby czytała *Setem*, powiedziałaaby, że na wściekliznę. (Zresztą w *Seterze* nikt nie nabawił się wścieklizny. Tym uwięzionym przez zamieć śnieżną w górach, podczas polowania na kuny, grozi śmierć z głodu. Nie ma tam ani wzmianki o wściekliznie. Rzecz w tym, że każda książka o psach zaraz przywodzi na myśl *Starego brytana*.) Matka nie zamierzała się rozczulać.

- Rozumiem - powiedziała bez pośpiechu. Jej rysy wokół oczu i ust zmiękły, wyrażając smutek. - Cholera. Okropna śmierć. Biegunka. Wymioty. Naprawdę, ale to naprawdę bolesne. Jakby człowieka wywróciło na lewą stronę. Jakby człowiek miał wyrzygać własne wnętrzności.

Prudie nie wyobrażała sobie czegoś aż tak wstrętnego.

- Bardzo ją kochałam - podsunęła wyjście, ale było już za późno, matka już się zjeżyła.

- Nie wiedziałam, że cię ciągnie do udawania sieroty - powiedziała i trafiła w dziesiątkę!

Ileż to razy Prudie wyobrażała sobie, że matka zginęła? Na ileż sposobów? Porywana przez fale, w katastrofach samochodowych, porywana przez bandytów, w nieszczęśliwych wypadkach w zoo. Prudie zaczęła płakać ze wstydu, że taka z niej wyrodna córka.

Matka poszła do swego pokoju i zamknęła drzwi, mimo że po reklamach powrócił program Williama Karta, który - tak zawsze mówiła matka - jest boski, boski, boski, kto zaś woli Toma Sellecka, ten nie ma oczu, chociaż myśli, że ma. Gdyby rzeczywiście wdały się w grę, Prudie nie umiałaby powiedzieć, czy właśnie wygrała czy nie. Jeśli to jednak gra, w takim razie szczególnego rodzaju, w której trudno rozgryźć wynik.

Kiedy zbliżały się dziesiąte urodziny, Prudie przez cztery miesiące odkładała kieszonkowe na ładne zaproszenia, które wypisała własnoręcznie, i na tort lodowy, który podała na talerzykach reklamujących filmowe plemię Ewoków, z odpowiednimi serwetkami. Zaprosiła siedem dziewcząt, koleżanki ze szkoły, a w dniu, w którym rozdała zaproszenia, nareszcie podczas dużej przerwy znalazła się w centrum zainteresowania. O dziwo, bardziej ją to wystraszyło, niż ucieszyło.

W dniu przyjęcia Prudie wolno było założyć matczyne hawajskie naszyjnik z perłą (dlatego, że matka wprawdzie wzięła miarę na wypatrzoną w katalogu Searsa sukienkę dla Prudie, ale potem nie potrudziła się zamówić). Łańcuszek był za długi, więc nawłokły wisior na czarny sznur, którego długość mogły regulować węzłem.

Dostała trzy książki, wszystkie dla dzieci młodszych, latawiec, Małego Majsterkowicza, dzwonek do roweru, plastikową złotą rybkę w plastikowej wazie; nie

poprosiła o zabranie prezentów z powrotem. I przyjęcie, i prezenty uznała za beznadziejne. Dziewczynki zachowały się bardzo grzecznie. W sumie - smutny upadek w porównaniu z tym, do czego przywykła.

*Była to ceremonia pod każdym względem wzorowa. Panna młoda ubrana była elegancko: dwie drużny odpowiednio skromniej [...] matka stała, trzymając w dłoniach sole trzeźwiące, w nadziei, że się wzruszy; ciotka próbowała płakać...*

*Mansfield Park*

Do pokoju nauczycielskiego Prudie zabrała kolorowy magazyn, żeby poczytać podczas przerwy na lunch. Była gotowa wesprzeć ducha wspólnoty, gdyby toczyła się jakaś ciekawa rozmowa, lecz obie nauczycielki, którym dokuczały haluksy, zajęte były wymianą wyrazów współczucia. Prudie była za młoda, żeby jej opowiadać, w jaki koszmar zamieniają się zawsze zakupy butów. Polecane jest obuwie dla pielęgniarek. Ortopedyki. Coś okropnego. Prudie otworzyła magazyn. Zobaczyła, że Dean już się dobrał do quizu; zbiór pytań miał wyjaśnić, do której z dziewczyn z *Seksu w wielkim mieście* jest się najbardziej podobną. Sprawdziła odpowiedzi Deana:

Żeby dobrze wypaść w sobotni wieczór, Dean „[a] włoży flirciarski top i długą wąską spódnicę”. Jeżeli obok przy barze stanie rajcowny facet, Dean mu powie „[d] że ma wielkie bicepsy, i poprosi, żeby je napiął”.

Prudie i Dean poznali się w barze. Chodziła do college'u; z przyjaciółkami Laurie i Kerstin wybrały się coś tam uczcić. Koniec sesji lub fakt, że do końca został tylko tydzień albo dwa tygodnie.

- Mamy tu damskie posiedzenie - ostrzegła Kerstin, lecz na próżno. Dean nawet na nią nie spojrział; nachylił się obok niej i poprosił Prudie do tańca.

Na parkiecie wszyscy tańczyli szybko. Dean objął ją i przyciągnął. Usta Deana znalazły się tuż koło jej ucha, jego podbródek ocierał się o jej szyję. Grano *Don't Look Back* Ala Greena.

- Ożenię się z tobą - powiedział.

Potem Laurie uznała, że to jakiś wyglup. Kerstin, że lepiej uważać. Lecz to nie im Dean szeptał do ucha, nie o ich szyję się ocierał.

Miał ową szczególną pewność siebie, której jedyną podstawą był miniony szkolny rozgłos. W liceum Dean był czempionem, w pierwszej klasie założył drużynę europejskiej piłki nożnej, jako bramkostrzelny lewoskrzydłowy miał własną grupę fanów. Parę lat wcześniej taki facet nie zauważyłby Prudie, gdyby nawet stała mu przed nosem. A teraz wypatrzył ją w zatłoczonym barze i poderwał. Pochlebiało to Prudie, chociaż nie sądziła, że jest pierwszą kobietą, której Dean w ten sposób się oświadcza. (Jednak później się przekonała, że pierwszą.)

Nieważne. Nieważne też były ciężkie powieki Deana, wystające kości policzkowe, nogi sportowca, zęby jak z reklamy. Ani też to, jak świetnie by wyglądał u boku Prudie,

wkraczającej na koleżeński zjazd. Parę osób bardzo by się zdziwiło.

Nie, jedyną rzeczą, która tu się naprawdę liczyła, było jego pierwsze spojrzenie; zobaczył w Prudie ładną kobietę. Miłość od pierwszego wejrzenia może jest śmieszna, ale nie sposób się jej oprzeć. Prudie w gruncie rzeczy nie była ładna. Tylko udawała ładną.

Od początku zaliczała Deana do gatunku facetów romantycznych. Matka postrzegala go bardziej konkretnie.

- To młody człowiek, który twardo stąpa po ziemi - powiedziała. Matki Prudie nie zachwycali młodzi ludzie twardo stąpający po ziemi. (Chociaż okazało się, że matka szczerze polubiła Deana. Oboje co czwartek oglądali *Buffy, pogromcę wampirów* i wieczorem po emisji dzwonili do siebie, żeby przedyskutować rozwój akcji z ostatniego tygodnia. Dean przepadał za łzawymi, pełnymi wyrzutów sumienia żywotami superbohaterów. Teraz jego teściowa namiętnie dopinguje wcale nie supermocarstwową amerykańską drużynę piłkarską i dyskutuje o pułapkach offside'owych, jakby wiedziała, czym są i kiedy je stosować.)

Prudie nie pozostała głucha na przyganę ukrytą w słowach matki; przekuła ją na oręż do obrony Deana. A cóż złego w facecie, który twardo stąpa po ziemi? Czy matka życzy jej małżeństwa pełnego niespodzianek, czy też gościa, na którym można polegać? Na którego wystarczy rzucić okiem, żeby wiedzieć, kim się stanie za pięćdziesiąt lat. Prudie zwróciła się do Laurie, bo Laurie dysponowała teoriami na każdy temat.

- Moim zdaniem - powiedziała Laurie - możesz za kogoś wyjść, jeżeli z tego powodu uznasz się za szczęściarę; możesz za kogoś wyjść, jeśli to on się uzna za szczęściarza. Kiedyś myślałam, że pierwsze jest lepsze. Teraz już nie wiem. Bo chyba lepiej spędzić życie z kimś, kto ciągle się uważa za szczęściarza?

- Dlaczego oboje nie mogą się uważać za szczęściarzy? - spytała Prudie.

- Kto chce, niech czeka - (Jak dotąd to Laurie jeszcze nie wyszła za mąż.)

Rzecz jasna, Prudie sama zaplanowała wesele. Skromna impreza odbyła się u matki, w ogródku za domem. Słyszała potem, że chwalono jedzenie: truskawki, pomarańcze i czereśnie, z sosami z ciemnej i białej czekolady. Była zbyt zajęta, żeby skosztować. Zbyt oszołomiona. Kiedy patrzyła na zdjęcia - na swą plisowaną sukienkę, kwiaty, nieszkodliwie wstawionych przyjaciół Deana - ledwie przypominała sobie, że tam była. Słyszała potem, że było to bardzo miłe wesele, a słuchając, uświadamiała sobie, że wcale nie chciała bardzo miłego wesela. Chciała czegoś pamiętnego. Powinni z Deanem uciec, nic nikomu nie mówiąc.

Było to jednak małżeństwo, które coś znaczy; Jane Austen naprawdę rzadko zawracała sobie głowę pisaniem o ślubach. Prudie wyszła za Deana, który z nie znanych Prudie powodów uważał się za szczęściarza, mogąc z nią być.

Ona zaś wciąż się dowiadywała, że też jest szczęściarą. Mało powiedzieć, że Dean to solidny gość. Był wielkoduszny, przyjazny, niewymagający, naprawdę pracowity i przystojny. Nie wykręcał się od domowych zajęć, nigdy się nie skarżył, o nic nie dawał się

prosić. Na rocznicę ślubu kupił dwa bilety do Paryża. Tego właśnie lata Prudie i Dean wybierali się do Francji.

Wyłaniał się problem. Prudie kochała Francję; miłość do Francji uczyniła pomysłem na życie. We Francji nie była, lecz mogła ją sobie świetnie wyobrazić. W gruncie rzeczy nie chciała jechać, w czym nic dziwnego. Co będzie, jeżeli podróż okaże się rozczarowaniem? Co będzie, skoro na miejscu Francja w ogóle jej się nie spodoba? Co wtedy? Sądziła, że jej mąż, miłość jej życia, na tyle ją rozumie, żeby sobie to uświadomić.

Mąż Kerstin parodiował. Nie tylko ludzi, także przedmioty: kosiarki do trawy, korkociągi, kuchennego robota. Potrafił sparodiować całą obsadę *Wojen gwiazdnych*, zwłaszcza nadzwyczajnego Chewbacę. Dean był troskliwym kochankiem, nie miał nic przeciw seksowi oralnemu, nawet uprawianemu jego ustami. Mimo to kiedy Prudie miała raz chętkę na noc z Chewbacą, Dean nie wykazał ani odrobiny zainteresowania. Zawsze był sobą.

Prudie pomyślała, że tego właśnie chce. Kogoś spolegliwego. Nieskłonno udawać. Zazwyczaj Prudie była w Deanie zakochana po uszy.

Czasem czuła jednak, że jej małżeństwo to raczej łut szczęścia niż coś, co ją zadowala. Mogła sobie wyobrazić coś lepszego. Wiedziała, kogo za to winić; i tym kimś nie był Dean. Z obsady *Seksu w wielkim mieście* Dean najbardziej przypominał Mirandę.

*Odegrana została ostatnia - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa - scena w tym teatrze, ale niewątpliwie trudno o doskonalszą. Sztuka zakończyłaby się owacją na stojąco.*

*Mansfield Park*

Prudie straszliwie rozboleła głowa. Zdawało się, że z rozżarzonego powietrza został doszczętnie wyparty tlen. Wzięła dwie aspiryny i popiła letnią wodą z jedyne go poidełka, którego wylotu nikt jeszcze nie zapchał gumą do żucia. Nie zważając na makijaż, zmoczyła twarz. Kiedy zaczęła piątą lekcję, już była w stanie znieść ten ból głowy, chociaż w skroniach wciąż czuła coś podobnego do odległego bicia w bęben.

Czekała już na nią Karin Bhave z karteczką: pani Fry, prowadząca zajęcia teatralne, prosi, żeby Karin zwolnić z lekcji. Tego popołudnia miała się odbyć pierwsza próba kostiumowa szkolnego przedstawienia *Brigadoona*, druga kostiumowa wieczorem; już nie można sobie pozwolić na opuszczanie scen.

W drugiej klasie Karin grała Marię w *Dźwiękach muzyki*, bibliotekarkę Marian w trzeciej. W dniu, w którym wywieszono obsadę *Brigadoon*, Prudie natknęła się w toalecie na szlochającą Karin; strumienie łez zamieniły róż na policzkach w coś podobnego do malunków wojennych. Prudie, rzecz jasna, uznała, że czołowa rola przypadła innej. W najlepszej wierze powiedziała coś takiego, że człowiek wcale nie chce robić w kółko tego samego, nawet jeśli to coś dobrze mu wychodzi. Powiedziała to po francusku, bo po francusku wszystko brzmi lepiej. Z francuskim na ustach Prudie była kimś lepszym - mądrzejszym, bardziej seksownym, bardziej wyrafinowanym.

- *Toujours perdrix\** - powiedziała na koniec, napawając się idiomem. (Dopiero później dotarło do Prudie, że Karin niewiele miała szans, żeby coś zrozumieć. Do wyłożenia kawy na ławę lepsza jest angielszczyzna. Ego zatarasowało Prudie drogę do celu. *Tout le monde est sage après le coup\*\**.)

\* Codziennie kuropatwy; zwrot na wyrażenie przesytu, wiązany z anegdotą o królu Francji Henryku IV.

\*\* Każdy jest mądry po szkodzie.

Na szczęście Prudie mylnie oceniła sytuację. Karin znowu dostała główną rolę kobiecą. Nie mogło być inaczej. Tylko Karin ma głos jak dzwon, szczupłą figurę i tę niewinną twarzyczkę. Karin zalewała się łzami, bo główna rola męska przypadła teraz Danny'emu Fargo, nie zaś, o czym skrycie marzyła, Jimmy'emu Johnowi, który ma zagrać Charliego Dalrymple'a. Czyli że Karin musi na oczach całej szkoły zakochać się w Danny'emu Fargo. Mają się całować przy wszystkich, a skoro tak, to przedtem muszą na próbach ćwiczyć. Tak właśnie przedstawia się przyszłość, ciągłe całowanie Danny'ego Fargo, kiedy tuż obok stoi pani Fry i domaga się, żeby w to wkładać więcej uczucia.

- Wpierw spójrz mu oczy. Wolniej. Z nieukrywanym pragnieniem. - Karin już mnóstwo razy całowała pod kierunkiem pani Fry.

Gorzej, bo w żadnych innych okolicznościach taka dziewczyna jak Karin nie mogła marzyć o całowaniu takiego chłopaka jak Jimmy. Zdumiał wszystkich już tym, że zgłosił się na przesłuchanie, chociaż próby, trudno, musiały kolidować z sezonem bejsbolowym. Trener Jimmy'ego zapowiedział całej drużynie, że nie wolno im uprawiać żadnego innego sportu. W najczarniejszych snach nie wpadłby na to, że klątwą trzeba też obłożyć musical. Jimmy był jego jedynym pewniakiem jako łapacz. Plany zajęć jakoś dostosowano, niemniej przedłożenie musicalu nad bejsbol najpierw zdumiało trenera Blumberga, potem zaś wprawilo w przygnębienie.

- Już niewiele sezonów mi zostało - powiedział kobietom w pokoju nauczycielskim.

Cała ta historia obeszła się okrutnie z nadziejami Karin. Gdyby rolę Tommy'ego dostał Jimmy, spędziliby wspólnie sporo czasu. I Jimmy może by naprawdę się jej przyjrzał. I może by zauważył, że Karin, z makijażem i porządną fryzurą, naprawdę wygląda na gwiazdę hollywoodzkiego musicalu. Może Danny Fargo dozna takiego samego olśnienia, pewnie, ale czy ktoś go o to prosi?

- Czy przyjdzie pani nas zobaczyć? - spytała Karin; Prudie odrzekła, że nie mogłaby nie przyjść. (Chociaż na ile to będzie rajcowne? Jak Prudie zareaguje na widok Jimmy'ego Johnsa, z tymi łapskami bejsbolisty, śpiewającego „Chodź do mnie, nachyl się”?)

Na szóstej godzinie zadała klasie ten sam ustęp *Małego Księcia*, ci jednak uczyli się

już francuskiego trzeci rok, zadała więc przetłumaczenie z angielskiego na francuski. „Drugą planetę zamieszkiwał Próżny”\*.

### \* Przekład Jana Szwykowskiego

Prudie wróciła do fiszek. Uświadomiła sobie podczas lunchu, że pozostałym bohaterkom Austen daleko do pobożności Fanny. Klub jednak musi poruszyć temat religii.

Austen w innych książkach nie żałowała miejsca karierom duchownych - przyobiecany, proponowany, upragniony - głównie wnikając jednak we względy finansowe, nie duchowe. Wśród bohaterek tylko Fanny tak pochwalnie mówiła o kulcie, tylko ona darzyła takim podziwem duchownych. Sześć książek. Ileż scen z życia wiejskiego, ileż starannie opisanych tańców i kolacji. Ani jednego kazania. A przecież ojciec Jane był pastorem. Jest o czym dyskutować! Na pewno Bernadette będzie miała coś do powiedzenia. Prudie zapisała pięć nowych fiszek, zanim dobrał się do niej upał.

Powrócił ból głowy. Uciskała skronie i wpatrywała się w zegar. Sallie Wong coś napisała na kartce, złożyła z niej samolocik i straciła łokciem ze stolika. Kartkę podniosła Teri Cheyney, rozwinęła i przeczytała. Poruszyła bezgłośnie ustami: Mój Boże! (Właśnie tak, nie *Mon dieu*.) Pewnie na kartce widniało gdzieś imię Treya. Prudie pomyślała o skonfiskowaniu, ale trzeba by wstać. W tym gorącu chybaby zemdlą. Co zmalują uczniowie, jeśli straci przytomność? Co za brewerie będą wyprawiać, jakie wykręcą numery? Przed oczami Prudie przepływały czarne plamki podobne do kijanek. Położyła głowę na biurku i zamknęła oczy.

Dzięki Bogu, zbliża się pora powrotu do domu. Przed klubowym spotkaniem musi trochę posprzątać. Przelecieć odkurzaczem. Tu i ówdzie zetrzeć kurz. Może o ósmej będzie na tyle chłodno, żeby sięść na tarasie. Może zrobi się przyjemnie, jeśli nadleci bryza. W klasie z wolna narastał szum. Zanim sprawy wymkną się spod kontroli, powinna usiąść prosto, otworzyć oczy i głośno chrząknąć. Już się do tego zmobilizowała, kiedy rozległ się dzwonek.

Potem, zamiast iść prosto do domu, Prudie wylądowała przed salą wielofunkcyjną. Interesująca grupa, te dzieciaki od teatru. Wolą skręta, w przeciwieństwie do samorządu uczniowskiego (alkohol), sportowców (sterydy) czy redakcji kroniki szkolnej (klej). Ileż różnych sfer i sferek, bractw i paczek. W ich złożoności tkwi jakiś rys mandaryński. Czasem Prudie żałowała, że nie studiowała antropologii. Trzeba by pisać prace. Słowem, wiadomość dobra i zła zarazem. Pisanie prac oznacza wysiłek. Cóż, nie na darmo Prudie jest córką swej matki.

Zza drzwi wielofunkcyjnej sali dobiegała przytłumiona muzyka. Widocznie za tymi drzwiami rozciągają się szkockie wyżyny. Mgły, wzgórza, wrzosowiska. Muzyka urzekała, niosła chłód. Powrót do domu, skądinąd tak pożądany, wiązał się z wsiadaniem do



samochodu, który od ósmej rano stoi z zamkniętymi oknami na parkingu. Przy otwieraniu można ująć klamkę tylko ręką zawiniętą w spódnicę. Na rozpalonym fotelu nie sposób usiąść, rozgrzanej kierownicy nie można dotknąć. Podczas jazdy do domu wypadnie spędzić pierwszych kilka minut po prostu w piekarniku.

Zwłoka nie mogła pomóc, niemniej owe zniechęcające widoki sprawiły, że Prudie wybrała drzwi B. Nagrodził ją powiew klimatyzacji omywający twarz. Na dudach grał jakiś dzieciak, który nigdy nie chodził na francuski. Próbowano pościg za Harrym Beatonem. Pani Fry kazała wykonawcom przebiegać scenę najpierw w zwolnionym tempie, potem coraz prędzej. Prudie mogła ze swego miejsca obserwować scenę, a także aktorów czekających za kulisami. W głębi zaś dudziarz ćwiczył występ na pogrzebie Harry'ego. Chociaż Prudie nie lubiła tego instrumentu, była zachwycona wykonaniem. Gdzie też szczeniak z Kalifornii nauczył się takiego zadęcia?

Chłopcy zeskoczyli ze sceny, zadzierając kilty. Jimmy Johns objął ramieniem blondynkę z drugiej klasy, grającą jego narzeczoną. W *Brigadoon* ich miłość łamie serce Harry'ego; tutaj, w Dolinie Kalifornijskiej, złamane serce miała licealistka Karin. Siedziała o parę rzędów dalej, sama, w bezpiecznej odległości od Danny'ego.

Prudie nagle poczuła, że zgadza się z trenerem, Blumberg ma rację. Czy to rozsądne, zachęcać tę dzieciarnię do odgrywania wielkiej miłości? Wmawiać, że z powodu romansu warto umrzeć, że prosta niezłomność przemoże wszelkie siły świata? Wiara trenera Blumberga - który widzi coś ważnego w tym, że dziewięciu chłopaków lepiej rzuca, wybija i biega niż dziewięciu innych chłopaków - wydawała się na tym tle oszustwem nieszkodliwym. Jane Austen napisała sześć romansów i w żadnym nikt nie umiera z miłości. Prudie uczciła chwilą milczenia Jane Austen i jej nienaganną powściągliwość. Potem zwyczajnie siedziała cicho, właściwie nie wiadomo po co.

Na fotel za jej plecami wślizgnął się Trey Norton.

- Co tu robisz? Nie masz zajęć? - spytała.

- W baraku jest ponad czterdzieści jeden stopni. Taki jeden kujon normalnie wziął termometr i nas puścili. Podwożę Jimmy'ego. - Trey poczęstował Prudie irytującym uśmiechem, ale innym niż jego zwykły irytujący uśmiech. - Widziałem panią w bibliotece. Przyglądała mi się pani.

Prudie poczuła, że się rumieni.

- Publiczne okazywanie uczuć jest publiczne.

- Publiczne, w porządku. Ale nie nazywałbym tego uczuciami.

Uznała, że najwyższy czas zmienić temat.

- Chłopak gra na tych dudach naprawdę pierwsza klasa - powiedziała.

Gdybyż to powiedziała po francusku! Trey chrząknął, zachwycony.

- To Nessa Trussler. Dziewczyna. W zasadzie.

Prudie przyjrzała się Nessie jeszcze raz. Teraz zdołała dostrzec, tak jest, jakąś pulchną

dwuznaczność. Może Trey nie powinien każdemu powtarzać, co powiedziała Prudie. Może Nessa jest całkowicie zadowolona z tego, kim jest. Może cała szkoła ją podziwia z powodu zdolności muzycznych. Może garbaty pasuje do ściany.

Najlepsza z prawd jest taka, że Nessa ma tu przed sobą tylko trzy lata. Potem może wiać, gdzie chce. Może nigdy nie wrócić, jeśli tak się jej spodoba. To Prudie tu tkwi. Dostrzegła w nagłym objawieniu, że tutaj jest Brigadoon, miasteczko, w którym nic nigdy się nie zmienia. Tylko się starzeją nauczyciele. Na dobrą sprawę okropność.

Wpadła na pomysł.

- Nie założyłam szkieł kontaktowych - wytłumaczyła za późno i nieprzekonująco.

- Ależ założyła pani - Trey głęboko spojrzał jej w oczy; poczuła jego oddech. Trochę nieświeży, ale nie odstręczający. Jak u kociątka. - Widzę je. Te krążki wokół tęczy. Jak maleńkie spodki.

Serce Prudie zabiło szybciej, trzepotliwie. Trey uniósł podbródek.

- Teraz dobra wiadomość. Komenda do wozu A: skręt w prawo.

Prudie obróciła się. Pod samym nosem, w kulisach pustej sceny, kiedy po widowni kręci się jeszcze nielicha gromadka dzieciaków, nauczyciel muzyki, pan Chou (singiel), pakuje łapy w dekolt pani Fry (mężatki) i miętosi jej piersi, jakby wypróbowywał melony. A widać, że to nie pierwszy raz; te ręce już się poznały na tych piersiach. Co takiego jest w tej szkole?! Ból głowy Prudie szybko się wzmaczał. Dudy brzmiały coraz żałośniej.

Po chwili Prudie ochłonęła. Może to wcale nieźle. W każdym razie odciągnęło uwagę Treya od jej nieszczęsnego faux pas w związku z Nessą. Nessa nie ponosi winy, a Prudie nie ubolewała, że dudziarz jest dudziarką.

Jeżeli chodzi o panią Fry i pana Chou, Prudie nawet nie udawała zaskoczenia. Pani Fry ma duże piersi. Weźmy pod uwagę feromony, dodajmy muzykę, próby trwające dzień i noc, te postaci umierające z miłości. Czego się można spodziewać?

W *Mansfield Park* Prudie nie dawał spokoju przebieg rozstania się Edmunda z Mary Crawford. Edmund chciał pannę Crawford poślubić. Do jakichkolwiek by się uciekał tłumaczeń, porzucił ją w końcu dlatego, zdaniem Prudie, że Mary chciała wybaczyć cudzołożną przygodę swojemu bratu i siostrze Edmunda. Edmund oskarżył wówczas Mary o pobłażliwość wobec grzechu. Sam wolał raczej na zawsze stracić siostrę, niż wybaczyć.

Prudie zawsze chciała mieć brata. Dobrze by było mieć kogoś, z kim można weryfikować wspomnienia. Czy kiedykolwiek byli w Muir Woods? Na Dillon Beach? No to dlaczego nie mają zdjęć? Wyobrażała sobie, że bardzo kochałaby brata. Wyobrażała sobie, że z wzajemnością, że brat dostrzegałby jej wady - któż może lepiej poznać człowieka niż brat? - ale z czułością i wyrozumiałością. W końcu Prudie zniechęciła Edmunda znacznie bardziej niż jego skłonność do skandali, samolubną siostrę, którą poraziła miłość.

Oczywiście, postawy się zmieniają z biegiem stuleci, to trzeba uwzględnić. Ale niemiłosierny palant pozostaje niemiłosiernym palantem.

- Ooo-la-la - powiedział Trey.

Stosunek Prudie do cudzołóstwa wywodził się z francuskiego.

*Jak tu ładnie, jak ślicznie...*

### *Mansfield Park*

Klimat Doliny uchodzi za śródziemnomorski, co znaczy, że latem wszystko mrze. Tutejsze trawy brązowieją i schną. Schną też potoki. Dęby okrywa szarość.

Prudie wsiadła do wozu. Opuściła szyby i włączyła klimatyzację. Siedzenie parzyło nagie nogi.

Wprost na przednią szybę narznął jakiś ptak; kupa przez cały dzień prażyła się na szkle, teraz można ją było tylko zeskrobać. Prudie nie była w stanie się z tym zmierzyć w pełnym słońcu. Ruszyła do domu, mimo że drogę przesłaniał kontur jakiegoś lądu - Grecji, może Grenlandii. Użycie spryskiwacza i wycieraczek tylko pogorszy sprawę. Prudie nigdzie nie wjeżdża na autostradę, ma lusterka; naprawdę nie takie to groźne, jak się zdaje.

*Fanny nie była szczególnie przywiązana do starszego kuzyna, ale czułe serce kazało jej teraz wyobrażać sobie, że nie mogłaby bez niego żyć; czystość jej zasad sprawiała, że nękał ją jeszcze jeden, głębszy niepokój, gdy zastanawiała się, jak mało użyteczne, jak nie znające wyrzeczeń było (na pozór) jej życie.*

### *Mansfield Park*

Zasłony były zaciągnięte, klimatyzacja włączona, więc w mrocznym domu panował względny chłód. Prudie zażyła jeszcze dwie aspiryny. Teraz, kiedy należało się do tego zabrać, nie była w stanie wykrzesać z siebie energii i posprzątać do końca. Pocięchą były spisy zadań, pozorowały trzymanie się w ryzach na tym porąbanym świecie, lecz Prudie nie jest przecież ich więźniem. Wyłoniły się sprawy, zmieniły plany. Nie dalej niż w zeszłym tygodniu była tu Holly, gosposia. Każdy przyzna, że w domu jest czysto; każdy, tylko nie Jocelyn. Prudie powinna znów wyjść, tym razem na zakupy, trudno, chyba że poda surówkę z sałaty lodowej, która już szerniała na brzegach.

Orzeźwiła się pod zimnym prysznicem, włożyła bluzkę bez rękawów i bawełniane spodnie od pizamy z wzorkiem z różnych odmian sushi. Właśnie wycierała włosy, kiedy ktoś zadzwonił.

Na ganku stał Cameron Watson, z czubka ostrego nosa ściekał pot.

- Cameron? - spytała Prudie. - O co chodzi?

- Przyszedłem wysprzątać pani kompa.

- Nie myślałam, że dzisiaj.

- Pani chce odblokować e-mail - powiedział zdumiony. Jak można się obejść bez poczty elektronicznej przez całe dwadzieścia cztery godziny?

Swego czasu Prudie niepokoiła się, że Cameron czuje do niej miętę. Teraz wiedziała więcej. Cameron czuł miętę do jej komputera, który, a jakże, sam dla niej wybrał. Cameron czuł też miętę do gier wideo Deana. Nawet nie zauważył, że Prudie nie ma teraz na sobie nic

prócz pizamy. Gdyby to była powieść Jane Austen, Prudie wystąpiłaby w roli dziewczyny emablowanej z racji majątku.

Usunęła się, żeby wpuścić Camerona. Przez pierś przewiesił przewody i urządzenia peryferyjne niczym pas z nabojami, w plastikowym pojemniku tkwiły dyski. Przeszedł przez środek saloniku i zabrał się do diagnozowania, zajął odprawianiem czarów. Prudie miała ochotę uciąć sobie drzemkę, ale teraz przy Cameronie nie mogła. Zaczęła więc odkurzać, bezmyślnie, wręcz ze wstrętem. Lepiej byłoby pospać, nie ma co.

Skoro nie odczuwała wdzięczności, na jaką zasługiwał Cameron - to miło z jego strony, naprawdę - to ją odegrała. Przyniosła szklankę lemoniady.

- Ładuję tu pani trochę prehistorii - powiedział. - Programy emulacyjne. - Odstawił lemoniadę, rosa ze szkła pociekła na cały stół. - Powinna też pani zainstalować Linuxa. Nikt już nie używa Windowsów. - (A garbaty pasuje do ściany.)

Spojrzała z góry na głowę Camerona, na pasek białej skóry odsłonięty przedziałkiem. Zobaczyła łupież, spore płatki martwego naskórka. Przyszło jej nagle do głowy, żeby chłopaka odkurzyć.

- Do czego służy program emulacyjny?

- Udostępnia stare gry.

- Myślałam, że chodzi o nowe - powiedziała Prudie. - Po prostu myślałam, że gry im nowsze, tym lepsze.

- Będzie pani miała dostęp do klasyki - oświadczył Cameron.

Może to coś takiego jak powracanie do tej samej książki. Prudie wyszła do saloniku. Usiłowała uchwycić myśl związaną z powracaniem do tych samych książek, z pamięcią, z dzieciństwem. Miało to coś wspólnego z Fanny, która uważała Mansfield Park za miejsce zimne i niepokojące, póki nie została odesłana do rodziców. Posiadłość Bertramów stała się domem Fanny dopiero wtedy, kiedy Fanny już tam zabrakło. Wcześniej Fanny nie rozumiała, że uczucia ciotki i wuja okażą się w końcu czymś bardziej rzeczywistym niż uczucia matki i ojca. Komu, prócz Jane, przyszłoby do głowy przetworzyć w ten sposób baśń? Prudie pomyślała, że wyciągnie z torebki fiszki i znowu coś zanotuje. Zamiast tego padła na sofę i nie zważając na Camerona, zasnęła.

Zbudził ją Dean, trąciwszy w ramię.

- Miałam przedziwny sen - powiedziała, ale nie mogła sobie nic przypomnieć. Usiadła. - Mówiłeś, zdaje się, że późno wrócisz. - Spojrzała na Deana. - Co się stało?

Ujął jej rękę i uniósł.

- Powinnaś zaraz jechać do domu, słońko - powiedział. - Twoja mama miała wypadek.

- Nie mogę jechać do domu. - Prudie zaschło w ustach, była rozczochrana. Prudie znała swą matkę lepiej niż Dean; gdyby ją lepiej poznał, wiedziałby, że nie musi się przejmować. - Mam tu dzisiaj klub Jane Austen.

- Wiem. I wiem, że się na to cieszysz. Zadzwońię do Jocelyn. Masz samolot za

półtorej godziny. I rezerwację. Tak mi przykro kochanie. Tak przykro. Naprawdę musisz się pośpieszyć.

Przytulił ją, lecz było za gorąco na uściski. Prudie odepchnęła Deana.

- Na pewno nic jej nie jest. Polecę jutro. Albo na weekend.

- Nie odzyskała świadomości po wypadku. Baileyowie złapali mnie w biurze. Nie można się do ciebie dodzwonić. Próbowałem w drodze do domu. Cały czas zajęte.

- Cameron ślęczy przy komputerze.

- Odprawiłem go.

Dean spakował torbę Prudie. Powiedział, że załatwi jej samochód na lotnisku w San Diego; przy odbiorze bagażu niech wypatruje kierowcy z tabliczką z jej nazwiskiem.

Powiedział, że zadzwoni do szkoły, żeby zorganizowali zastępstwo; swoje spotkania też odwołał. Do karmienia kota znajdzie kogoś bardziej odpowiedzialnego niż Cameron.

Pomyślał o wszystkim. Prudie ma myśleć tylko o mamie. I o sobie.

Dean jak najszybciej do niej dołączy. Będzie przy niej w szpitalu najpóźniej jutro rano. Jeśli się uda, to jeszcze dzisiaj, późnym wieczorem.

- Tak mi przykro - powtarzał - tak mi przykro - aż Prudie pojęła w końcu, o co chodzi: Dean sądzi, że matka umiera. Coś podobnego!

Przed rokiem Dean odprowadzał ją aż pod wejście do samolotu, trzymał za rękę, kiedy czekali. Teraz odprowadzanie nie miało sensu. Dean wysadził Prudie na lotnisku i wrócił do domu, żeby pozałatwiać resztę spraw. Ochrona właśnie sprawdzała jakiegoś mężczyznę przed Prudie. Niósł torbę sportową, telefon komórkowy, stapał z pięty, jak Trey Norton. Zabrano go na bok i kazano zdjąć buty. Prudie skonfiskowano cążki do paznokci oraz scyzoryk. Szkoda, że zapomniała oddać go Deanowi; lubiła ten nożyk.

Miała bilet linii Southwest. Dostała kartę pokładową w grupie C. Wciąż mogła liczyć na miejsce koło przejścia, pod warunkiem że się znajdzie na czele.

Przed wejściem na pokład znów przetrząsała torebkę w poszukiwaniu dokumentów, a wtedy wysypały się fiszki.

- Chcesz zagrać w ciągnięcie z pięćdziesięciu dwóch kart? - spytała kiedyś matkę. Sztuczki nauczyła się w przedszkolu.

- Nie ma sprawy - odrzekła matka, a potem, kiedy Prudie rozrzuciła talię, matka poprosiła, żeby Prudie, jej skrzat-pomocnik, ciągnęła karty za nią.

Prudie uklękała, żeby pozbierać fiszki. Ludzie przechodzili nad nią okrakiem. Niektórzy się niecierpliwi, byli opryskliwi. Nadzieja na miejsce przy przejściu już się rozviała. Do samolotu Prudie weszła z płaczem. Później, nad gratisową colą, zaczęła liczyć fiszki, co miało pełnić rolę uspokajającego ćwiczenia zen. Przygotowując się od tak dawna, zapisała czterdzieści dwie fiszki. Dla pewności przeliczyła dwukrotnie.

Przez chwilę rozwiązywała krzyżówkę w gazetce pokładowej.

Potem wpatrywała się przez okno w puste niebo. Jest dobrze. Matka najzupełniej *sain et sauf*\*; Prudie nie pozwoli się zrobić w udawanie, że jest inaczej.

\* zdrowa i cała

*Sen Prudie:*

W tym śnie Prudie widzi Jane Austen w jakiejś rezydencji w głębi amfilady. Wygląda inaczej niż na portretach. Bardziej przypomina Jocelyn i niekiedy Jane to Jocelyn, przeważnie jednak Jane to Jane. Jasnowłosa, schludna, nowoczesna. W jedwabnych spodniach z szerokimi nogawkami.

Są w kuchni, utrzymanej w bieli i błękicie, przyozdobionej miedzią, jak kuchnia Jocelyn. Jane i Prudie zgadzają się, że dobrze gotuje się tylko na gazie. Jane mówi, że uchodzi za niezłą specjalistkę od kuchni francuskiej. Obiecuje, że później coś przyrządzi dla Prudie, ale już w chwili, kiedy składa tę obietnicę, Prudie wie, że Jane zapomni.

Potem schodzą do piwnicy z winami. Wzdłuż ciemnej ściany leżą na stojakach jakieś butelki, ale na tych stojakach większość miejsc zajmują koty. W ciemności ich oczy lśnią jak monety. Prudie ma to na końcu języka, lecz boi się, że spostrzeżenie zabrzmii niegrzecznie.

Mimo że nie wchodziły po schodach, Prudie znajduje się teraz na górze, sama, w holu o wielu drzwiach. Próbuje kilka otworzyć, są jednak zamknięte. Pomiedzy drzwiami wiszą portrety naturalnej wielkości, poprzedzielane lustrami. Lustro zaś ustawiono w ten sposób, że każdy portret odbija się w lustrze po drugiej stronie holu. Prudie może stanąć przed tymi lustrami i tak się upozować, że na pozór znajdzie się na każdym portrecie razem z portretowaną postacią.

Znowu zjawia się Jane. Teraz się śpieszy, pogania Prudie, wypycha przez liczne drzwi, aż nagle obie przystają.

- To tutaj umieściliśmy twoją matkę - mówi. - Myślę, że zauważysz kilka poczynionych przez nas udogodnień.

Prudie waha się.

- Otwórz drzwi - mówi Jane; Prudie posłusznie otwiera. Za drzwiami zamiast pokoju jest plaża, w oddali żaglówka, wyspa i jak okiem sięgnąć - ocean.

# Czerwiec

## *Rozdział czwarty*

w którym czytamy *Opactwo Northanger*, a zbieramy się u Grigga.

Prudie zabrakło na następnym spotkaniu. Jocelyn przyniosła pocztówkę, którą mieliśmy wspólnie podpisać. Powiedziała, że to kartka z wyrazami współczucia, co przyjęliśmy na słowo, bo tekst był francuski. Obrazek wyważony: morski krajobraz, wydmy, mewy i przybój. Czas i fale, czyli jakaś chłodna pociecha.

- Tak mi się smutno zrobiło na wiadomość, że musi odwołać podróż do Francji - powiedziała Sylvia, potem rozejrzała się zakłopotana, bo co innego było najsmutniejsze.

Zaraz odezwała się Jocelyn:

- Wiesz, że tam nigdy nie była.

Większość z nas także straciła matki. Upłynęła nam chwila na tęsknocie za nimi. Czerwień zachodzącego słońca. Drzewa bujnie okryte liśćmi. Rześkie i łagodne powietrze przesiąknięte zapachami trawy, kawy, aksamitnego brie. Jakże zachwyciłoby to nasze matki!

Allegra przechyliła się i uniosła rękę Sylvii, obejrzała palce ze wszystkich stron i puściła. Tego wieczoru Sylvia wyglądała nadzwyczaj elegancko. Ścięła włosy, jak Allegra, włożyła długą spódnicę i obcisły cyklamenowy top. Wargi pociągnęła śliwkową szminką, wymodelowała brwi.

Ucieszyliśmy się, widząc, że weszła w owo olśniewające stadium rozwodowego toku. Już stoi na nogach i zabójczo wygląda.

Allegra, jak zwykle, ubrała się w jaskrawości. Jocelyn klasycznie. Grigg sportowo, w sztruksowe spodnie i zieloną koszulę rugbisty. Na luźnych płóciennych spodniach Bernadette widniała plama po sosie arabskim.

Spodnie ozdobił rzucik w oliwki i niebieskie kwiatki, a teraz na wypukłym brzuchu ozdobiła je również plama. Niemniej, długo można było jej nie zauważyć. Długo można było nie dostrzegać spodni Bernadette. Dlatego mianowicie, że Bernadette w jakiś czas po naszym ostatnim zebraniu połamała okulary, a teraz zespoliła oprawkę za pomocą zdumiewającej konstrukcji, guli złożonej z licznych spinaczy oraz taśmy malarskiej.

Możliwe, że nawet nie połamała oprawki. Możliwe, że tylko wypadła ta śrubka.

Spotkanie odbywało się u Grigga. Niektóre z nas zastanawiały się, czy Grigg w ogóle powinien nas gościć; niektóre uważały, że nie, i już się irytowały na myśl o szczególnych sytuacjach niewykluczonych u mężczyzny; bo przecież oni nigdy nie gotują większych ani świątecznych posiłków, bo oni piszą żonom podziękowania i przysyłają kartki urodzinowe. Pracowałyśmy nad zajęciem stanowiska, kiedy Grigg oświadczył, że chce urządzić u siebie

spotkanie poświęcone *Opactwu Northanger*, bo w grupie jest pewnie jedyną osobą, która spośród ksiązek Austen tę lubi najbardziej. Jak dotąd.

Nie wyobrażałyśmy sobie, że można tak stawiać sprawę. Chciałyśmy wierzyć, że Grigg nie mówi tego, żeby tylko prowokować. Austen to nie jest grunt do popisywania się własnym ego.

Byłyśmy ciekawe, jak Grigg mieszka. Większość z nas nie widziała kawalerskiego kąta od lat siedemdziesiątych. Wyobrażałyśmy sobie lustrzane kule i Andy'ego Warhola.

Zastałyśmy natomiast lampki na sznurach i klimaty z Beatrix Potter. Grigg wynajął przytulny domek z cegły w drogiej dzielnicy. Dach był blaszany, ganek bujnie obrastała winorośl. Wnętrze kryło sypialnię na górze, na dole stał najmniejszy piecyk na drewno, jaki widziałyśmy. Grigg opowiadał, że w lutym ogrzewał tym piecykiem cały dom, ale porąbawszy kłody na maleńkie szczyпки mieszczące się w piecu, Grigg już nie potrzebował ogrzewania; zdążył się spocic jak prosię.

Przed sofą leżał dywan, który wiele z nas rozpoznało: to ten z katalogu Sundance, z makami na obrzeżu, który chciałyśmy sobie sprawić. Słońce odbijało się w miedzianych garnkach stojących rzędem na oknie w kuchni.

W każdym garnku rosły fiołki afrykańskie; to białe, to purpurowe; trudno nie podziwiać mężczyzny, który wie, jak utrzymać przy życiu domowe rośliny, zwłaszcza ulokowane w garnku bez dziur odpływowych. Biorąc to pod uwagę, już mniej zazdrościłyśmy mu dywanu. Fiołki, pewnie, może właśnie zostały kupione w sklepie, żeby nam zaimponować. Ale tu znów się nasuwa pytanie: Kimże jesteśmy, że należy nam imponować?

We wnękach w ścianie przy schodach kryła się biblioteka, gdzie ciasne rzędy książek nakryte były, jak stropem, innymi książkami; większość w broszurowej oprawie, solidnie wyczytane. Allegra podeszła zbadać zawartość.

- Pełno tu statków kosmicznych w tym zbiorze - powiedziała.

Sylvia spytała Grigga:

- Lubisz science fiction? - Z tonu mogłoby wynikać, że Sylvia interesuje się science fiction i ludźmi, którzy to czytają.

Grigg nie dał się nabrać.

- Mam je od zawsze - powiedział. Nie przerwał układania na talerzu klinów sera.

Kiedy skończył, powstało coś przypominającego twarz; dzięki serowym klinom uśmiechała się, a patrzyła oczami z dwóch pikantnych krakersów. A może tylko nam się przywidziało. Przecież mógł podać ser bez ambicji artystycznych.

Grigg się wychował w hrabstwie Orange, najmłodszy z czwórki dzieci i jedyny w niej chłopak. Urodził się, kiedy Amelia, najstarsza siostra, miała osiem lat, Bianca siedem, a Caty (jako dziecko Catydid, jako dorosła Cat) pięć.

Nie trzeba się było wysilać, żeby dokuczyć Griggowi. Raz mu mówiły, żeby nie był



takim znowu chłopakiem, raz, żeby nie był takim znowu dzieciakiem. Najwyraźniej nie miał wielkiego wyboru ról.

Gdyby Grigg był dziewczynką, miałby na imię Delia. Skoro się stało, jak się stało, otrzymał imię po dziadku, ojcu ojca, który zmarł mniej więcej w tym czasie, w którym urodził się Grigg; dzisiaj chyba już nikt za dobrze nie pamiętał dziadka.

- Mężczyzna to mężczyzna - powiedział ojciec Grigga. - Spokojny mężczyzna. - Tak się nazywał film, który Grigg zobaczył kiedyś w telewizji; odtąd Grigg zawsze sobie wyobrażał dziadka jako Johna Wayne'a.

Mimo wszystko trudno było wybaczyć to imię. Co roku nowa nauczycielka sprawdzająca w szkole obecność na pierwszej lekcji wywoływała Harrisa Grigga zamiast Grigga Harrisa. Przez cały rok Grigg wyczekiwał na nowe upokorzenie na początku następnego roku. A potem odkrył, że dziadek naprawdę miał na imię Gregory i że rodzice doskonale o tym wiedzieli. Grigg to było tylko przezwisko, nie imię; nobilitowali je dopiero rodzice Grigga. Nie raz i nie dziesięć wypytywał, dlaczego, nigdy jednak nie usłyszał przekonującej odpowiedzi. W takim razie chce, zapowiedział, żeby do niego też się zwracano „Gregory”, lecz wszyscy o tym wciąż zapominali, chociaż bez trudu udawało im się zapamiętać, że do Caty trzeba się zwracać „Cat”.

Dziadek Harris pracował w firmie energetycznej jako monter linii wysokiego napięcia. To niebezpieczna praca, zapewnił Grigga ojciec. Grigg zawsze miał nadzieję, że kiedyś też będzie wykonywał niebezpieczną pracę, lecz raczej w roli tajnego agenta niż wykwalifikowanego robotnika. Ojciec Grigga był inkasentem i cztery razy trafił do szpitala, pogryziony przez psy. Na łydce jednej nogi miał dwie błyszczące blizny i jeszcze jedną bliznę w miejscu, którego się nie wystawia na widok. Harrisowie nigdy nie mieli psa i nie zamierzali mieć, póki żyje ojciec. Po raz pierwszy wytłumaczono to Griggowi, kiedy skończył pięć lat; na dobre zapamiętał swój ówczesny odruch, otóż pomyślał, że ojciec nie będzie żył wiecznie.

Jako jedyny z rodzeństwa Grigg miał własną sypialnię. Wiecznie była źródłem zadrażeń. W maleńkim pokoiku ledwie mieściło się łóżko, a komodę trzeba było wystawić na korytarz. Niemniej, był to pokoik Grigga i tylko Grigga: o spadzistym suficie, z jedynym okienkiem, wyklejony tapetą w paki żółtych róż, którą wybrała Amelia, do niej bowiem należał pokoik, zanim zjawił się Grigg. Gdyby urodził się dziewczynką, Amelia zachowałaby sypialnię dla siebie.

Kiedy dął wiatr, gałąź bębniła o szybę jak jakieś palce; ale to by na pewno nie wystraszyło Amelii. Grigg czasem leżał w ciemności, samiutki, drzewo trzeszczało i pukało. Słyszał śmiech sióstr dobiegający z dołu, z holu. Mógł nie rozpoznawać słów, lecz zawsze wiedział, kiedy się śmieje Amelia, kiedy Bianca, kiedy Cat. Domyślał się, że rozmawiają o chłopakach, na który to temat nigdy nie miały do powiedzenia nic przyjemnego.

- Dziewczęta, pora spać! - wołała matka z góry. Kiedy dzieci położyły się do łóżek,

matka często grywała na pianinie, a jeśli wciąż przekrzykiwały jej ulubionego Scotta Joplina, obwieszczała, że jest za głośno. Dziewczęta reagowały albo chwilową ciszą, albo w ogóle się nie przejmowały. Były posłuszne z osobna. Razem nie bardzo.

Ojciec Grigga zupełnie sobie z nimi nie radził. Nie cierpiały zapachu ojcowskiej fajki, więc palił w szopie z narzędziami. Nie cierpiały sportu, więc wychodził i słuchał radiowych transmisji w samochodzie. Kiedy chciały pieniędzy, czarowały go, poprawiały mu krawat, całowały w policzek, aż wreszcie, bezbronny jak kocię, wyciągał portfel z tylnej kieszeni spodni. Pewnego razu Grigg zrobił to, co siostry: zatrzepotał gęstymi rzęsami i odął wargi. Cat tak się zaniósł śmiechem, że udławiła się orzeszkiem ziemnym, co mogło ją kosztować życie. Amelia wygadała komuś wszystko; jak się mógł wtedy poczuć Grigg?

Z Grigga zawsze się śmiano. W pierwszej klasie był jedynym chłopcem, który zawsze i wszędzie mógł wszystkich ograć w kości, ale i to się okazało wieśniactwem.

Pewnego razu, kiedy Grigg był w piątej klasie, ojciec zatrzymał go po śniadaniu.

- Zajdź tam do mnie - powiedział przyciszonym głosem - i nie mów nic dziewczynkom.

„Tam do mnie” oznaczało lokalik, który ojciec urządził w starej szopie na narzędzia. „Tam do mnie” można było zejść tylko za zaproszeniem. Drzwi strzegł zamek. W szopie znalazł schronienie pled z firmy La-Z-Boy, którego matka Grigga nie cierpiała i nie chciała widzieć w domu. Był też stary talerz tupperware zawsze obficie wypełniony cyrulkami z red hots. Grigg nie przepadał za nimi, niemniej skoro częstowano, to jadł, w końcu słodycze to słodycze. Grigg się ucieszył, słysząc, że zaproszenie nie dotyczy dziewczynek, ba, że o zaproszeniu nie wiedzą. Nie było łatwo zachować coś w tajemnicy przed starszymi siostrami, wszystkie zaraz wiedziały, że coś się tu przed nimi ukrywa; Grigg studiował jednak u mistrzyń, czyli u siostrzyczek.

Poszedł do szopy. Ojciec już czekał, popalając papierosa. W szopie nie było okna, zawsze panował tam mrok, nawet przy lampie, dym zaś był gęsty; nikt wówczas jeszcze nie słyszał o biernym paleniu i nikt tym sobie nie zawracał głowy. Lampa miała gięte ramię, żarówka wręcz oślepiła, jakby zanosilo się na przesłuchanie. Ojciec siedział owinięty w kraciasty pled, ze stertą czasopism na kolanach.

- Towar wyłącznie dla chłopaków - powiedział ojciec. - Ścisłe tajne. Kapujesz?

Grigg usiadł na odwróconej skrzynce po jabłkach, ojciec zaś wręczył mu magazyn. Na okładce było zdjęcie kobiety w bieliźnie. Na twarz opadały długie luźne zwoje czarnych włosów. Patrzyła szeroko rozwartymi oczami. Ogromne piersi z trudem mieściły się w złotym staniku.

Ale najlepsze, absolutnie fantastyczne było to coś, co jej rozpinęło stanik. Miało osiem włochatych ramion i tors w kształcie puszki coli. Było niebieskie. Wyraz twarzy wskazywał - trzeba artysty, żeby obdarzyć taką emocjonalnością istotę o tak niewielu rysach! - że to-to jest głodne.

Tego popołudnia Grigg pokochał czytanie.

Wkrótce dowiedział się:

Od Arthura C. Clarke'a, że „sztuką nie sposób się cieszyć, jeśli nie podchodzi się do niej z miłością”.

Od Theodore'a Sturgeona, że „czasami żyć na tym świecie to już za wiele i człowiek jakby musi się zwrócić ku reszcie”.

Od Philipa K. Dicka, że „co najmniej co druga słynna postać historyczna nigdy nie istniała” i że „wszystko można podrobić”.

W świecie science fiction Grigg najbardziej lubił wrażenie, że nie jest tam samotny ani otoczony przez dziewczynki. Jeśli dorosły Grigg nadal ów świat lubił, to dlatego, że nie jest w istocie taki bezdziewczęcy, jak się kiedyś Griggowi wydawało. Pierwszym ulubionym autorem Grigga był Andrew Northon. Później Grigg się dowiedział, że Andrew Norton to pseudonim pisarski Andre Northona. A później się dowiedział, że Andre Norton to dziewczyna.

Grigg nam tego wszystkiego nie opowiedział; nie sądził, że to nas może ciekawić.

- Te książki ze statkami kosmicznymi na grzbiecie to pierwsze, którymi się zachwycałem - powiedział. - Stara miłość nie rdzewieje, prawda?

- Nie, nigdy - odrzekła Sylvia.

- Chyba że czasem - powiedziała Bernadette.

- Poznaliśmy się z Jocelyn na zjeździe miłośników fantastyki - oznajmił Grigg.

Odwróciliśmy się i wlepiły wzrok w Jocelyn. Może nawet z otwartymi ustami, jedna czy druga. Do głowy by nam nie przyszło, że Jocelyn czyta science fiction. W każdym razie na pewno o tym nie wspomniała. Nigdy nie poszła na żadne z tych nowych *Gwiezdnych wojen*, nie stała też w kolejce, kiedy wyświetlano stare.

- Na Boga. - Jocelyn nerwowo potarła dłonie. - O tyle, o ile. To był Złot Ogarów. W tym samym hotelu.

Wieczór ledwie się zaczął, a już wypłynęła druga historia, o której nigdy nie słyszałyśmy.

Niespełna rok temu Jocelyn wybrała się do Stockton na doroczne zebranie Śródkontynentalnego Klubu Ogara. Dla uczczenia weekendu wolnego od psich kudłów (nie znaczy to, że ridgebacki szczególnie klaczą; przeciwnie, pozbywają się sierści mniej gorliwie niż większość psów, i jest to jedna z ich wielu zalet) Jocelyn zapakowała mnóstwo czarnych rzeczy. Włożyła ozdobioną dżetami czarną kamizelkę, na nią rozpinany czarny kardigan. Czarne spodnie i czarne skarpetki. Wybrała panele zatytułowane „Malowniczy ogar: co czyni go wyjątkowym?” oraz „Szaleni pierwsi, czyli obłaskawianie bestii: nowe techniki modyfikacji zachowań agresywnych” (Smutne, bo w pierwotnej wersji to brzmi „szalone piersi”. To by dopiero był panel!)

W tym samym czasie w tym samym hotelu odbywał się zjazd miłośników science

fiction, zwany Westernessecon. W salach konferencyjnych o piętro niżej jego uczestnicy dyskutowali o książkach i oplakiwali zlikwidowane bądź dogorywające programy telewizyjne. Zorganizowano panele na temat „Dlaczego kochaliśmy kiedyś *Buffy*?”, „Ostateczna granica: intergalaktyczność Objawionego Przeznaczenia” oraz „Święty Mikołaj: Bóg czy Szatan?”

Jocelyn wsiadała w holu do windy, żeby dostać się do pokoju na szesnastym piętrze, a za nią wszedł jakiś mężczyzna. Wprawdzie niemłody, ale wyraźnie młodszy od Jocelyn (ta populacja rozrasta się gwałtownie). Nie wypatrzywszy nic ciekawego, Jocelyn przestała na niego zwracać uwagę.

Po nim weszło trio młodych kobiet. W nosach miały łańcuszki, na przegubach kolczaste opaski, w uszach obrączki, jakby strażnicy ochrony przyrody złapali te kobiety, oznakowali i puścili wolno. Kredowo białe upudrowane twarze, ręce z tymi kolczatkami skrzyżowane na piersiach. Mężczyzna wcisnął guzik jedenastego piętra, któraś z kobiet siódmego.

Winda znowu się zatrzymała, weszli następni. Ktoś z zewnątrz otworzył zasuwające się drzwi i weszli jeszcze inni. Jocelyn wduszono w tylną ścianę windy. Któraś z młodych kobiet zaczepiła sweter Jocelyn kolcem, wyciągając oczka. Ktoś nastąpił Jocelyn na nogę, czego chyba nie poczuł; Jocelyn musiał wyłuskiwać stopę, lecz nawet wówczas nie usłyszała „przepraszam”. Winda znowu się zatrzymała.

- Nie ma miejsca! - krzyknął ktoś z przodu i drzwi się zasunęły.

Kobieta o kredowej twarzy stojąca po prawej miała na szyi taką samą obrozę, w jakiej Sahara paraduje na występach galowych.

- Mam taką samą obrozę - odezwała się Jocelyn do sąsiadki; Jocelyn chodziło o przyjazny gest, wyciągnięcie ręki. Próbowwała lekceważyć uwięzienie w kącie windy. Zazwyczaj nie cierpiała na klaustrofobię, lecz rzadko bywała tak przygnieciona, zmuszona oddychać tak płytko i pośpiesznie.

Kobieta milczała, Jocelyn czekała na jakąś odpowiedź, potem przez chwilę poczuła jakieś niedorzeczne upokorzenie. Na czym mianowicie polega jej zbrodnia? Na wieku? Ubrań? Napisie na identyfikatorze „Pies to mój zmiennik”? Na siódmym piętrze wszyscy wysiedli, z wyjątkiem Jocelyn i tego niemłodego-ale-młodsze-od-niej faceta. Jocelyn podeszła do przodu, wyszukała oczko i usiłowała je wciągnąć, żeby nie było śladu. Winda wciąż się wznosiła.

- Ona była niewidzialna - powiedział mężczyzna. Jocelyn odwróciła się.

- Przepraszam?

Okazał się normalnym, miłym facetem. Urocze, ciężkie rzęsy, poza tym najzwyczajniejszy.

- To gra. Są wampirzycami. Kiedy człowiek zobaczy, że któraś skrzyżuje w ten sposób ramiona - pokazał - należy udawać, że się jej nie widzi. Jest niewidzialna. Dlatego się nie odezwała. To nie dotyczyło pani.

Tak to zabrzmiało, jakby Jocelyn zawiniła.

- Bycie wampirem nie upoważnia do bycia chamem - odrzekła Jocelyn. - Uczy Pani Salon. - Rzecz jasna, Pani Salon nic takiego nie powiedziała, ale gdyby ją zapytano, kto wie?

Wjechali na jedenaste piętro. Winda zaszumiała i zadzwoniła. Mężczyzna zanim wysiadł, odwrócił się.

- Nazywam się Grigg - powiedział.

Jakby każdy miał się od razu sam zorientować, czy Grigg to imię, czy nazwisko. Drzwi zasunęły się, zanim Jocelyn zdążyła coś odpowiedzieć. I bardzo dobrze.

- Banda świrów - powiedziała głośno, na wypadek, gdyby jeszcze ktoś był w windzie. Jocelyn ani myśli się liczyć z uczuciami niewidzialnych, chociaż to by się pewnie też nie spodobało Pani Salon; twarda sztuka z tej pani.

Jocelyn wyszła z pozbawionego polotu pokazu psych stanów ducha - „Chce swojej pani okazać wdzięczność za opiekę”; „Mówi w ten sposób, że bardzo, ale to bardzo kocha swego pana” - i poszła do pokoju. Wzięła prysznic właściwie po to, żeby spożytkować hotelowe mydło i balsam, osuszyła włosy wstrząśnięciem głowy, włożyła obcisłą czarną lnianą sukienkę, na łóżku zostawiła kardigan z wpiętym wciąż identyfikatorem i pojechała windą na najwyższe piętro. Stała przy wejściu do hotelowego baru i rozglądała się za jakąś znajomą twarzą.

- W zeszłym roku byłam we Włoszech, w Holandii i Australii - opowiadała jakaś przystojna kobieta przy stoliku koło drzwi. - Ilekroć włączałam telewizor, dawali któryś ze *Star Treków*. To naprawdę wszechobecne.

Przy barze był wolny stółek. Jocelyn usiadła i zamówiła dirty martini. Nie mogła wypatrzeć nikogo znajomego. Zwykle się nie skarżyła, że jest sama; zbyt długo była singlem, żeby się tym przejmować. Ale tu poczuła się nieswojo. Miała wrażenie, że sukienka jest niedobrana, zbyt wyszukana, za droga, a ona sama stara. Dostała martini. Pociągnęła. Potem następny łyk. I jeszcze jeden. Kończyła byle szybciej i wyszła, żeby w holu bądź restauracji oprzeć oko na psiarzach. Barowy hałas przyprawiał o ból głowy. Toczono jednocześnie tuzin rozmów, ktoś śmiał się na całe gardło, do tego mecz hokejowy z telewizora, charczące rurki ekspresów, wreszcie kruszarka do lodu.

- Mówię tylko, że upłynie tysiąc lat, zanim zwierzęta osiągną pełną świadomość - powiedział mężczyzna koło Jocelyn. - Mówcie sobie, że jest inaczej, proszę, ale beze mnie. - Darł się tak, że Jocelyn pomyślała, trudno, nie można udawać, że się nie słyszy.

I wdała się w rozmowę.

- Rzeczywiście, cieszyłoby mnie coś więcej niż te ptasie mózdzki - oświadczyła. - Wzorowa angielszczyzna z brytyjskim akcentem. Długi i nudny wykaz różnych dziękuję bardzo. Bo jak na razie one czekają tylko na jedno, żeby człowiekowi jebać nogę.

Cóż, to nie była elegancka wypowiedź. Może Jocelyn była już troszkę podcięta. Pomieszczenie wykonywało powolny obrót. Szybko pijesz, długo żałujesz, mawiała matka.

W telewizji pojawiła się reklama, poemat na cześć sportowego obuwia.

Facet obrócił się do Jocelyn: duży brodaty mężczyzna z małą szkocką. Przypominał niedźwiedzia, był jednak pogodny, czego wbrew pozorom nie da się nigdy powiedzieć o niedźwiedziach. Jocelyn wzięła go za hodowcę bassetów; na świecie trudno o sympatyczniejsze bractwo niż bassetowcy. Sama dopiero niedawno nauczyła się lubić te psy, a jej wstydliwą tajemnicą było odkrycie tego tak późno. Miłości do bassetów chyba nikt się nie zdoła oprzeć.

- Najbardziej mnie dotknęły bezkręgowce - oświadczył niedźwiedziowaty. - Nie jesteśmy skorupiakami. Nie wchodzi w grę te same zasady.

Teraz Jocelyn pożałowała przedwczesnego wyjścia z pokazu. Ile wdzięczności zdoła wyrazić skorupiak? A jeśli zdoła, cóż, Jocelyn chętnie by to obejrzała.

- Odgrywał skorupiaką? - spytała smętnie.

- Którą z jego książek pani przeczytała?

- Żadnej.

- Mój Boże! Szkoda - odrzekł mężczyzna. - Owszem, zrędcę, lecz jestem jego superfanem. Naprawdę powinna pani przeczytać jego książki.

- Cóż, jesteś super. Do twarzy ci z tą rolą. - Wąty głosik zabrzączał w uchu Jocelyn jak komar. Odwróciła się i zobaczyła nad sobą twarz Roberta Reinicker, tuż za nią jej brata Tada. Reinickerowie mieli hodowlę we Fresno i zalotną sukę, ridgebacka, imieniem Beauty, którą Jocelyn już nieraz się interesowała. Beauty miała pierwszorzędną pozycję. Słodziutka, chociaż uczuciowo chwiejna. Oddawała serce temu, kto najbliżej. Wcale ujmująca właściwość, jak na psa.

- Się posuń - powiedziała Roberta, zajmując pół stołka Jocelyn i przygniatając Jocelyn do lady. Perłowa blondyna, dobiegała czterdziestki. Tad starszy, niezbyt przystojny. Schylił się koło Jocelyn, żeby coś zamówić.

- Mam nowy wóz - oznajmił. Znacząco unióśł brwi i czekał na odzew. Daremnie. - Leksusa. Długodystansowiec. Piękne fotele. Silnik sza, jak mysz pod miotłą.

- To miło - odrzekła Jocelyn. Wciąż stał nad nią.

Gdyby spojrzała w górę, zobaczyłaby jego miękką białą żabią skórę pod podbródkiem. Rzadko się miewa takie widoki, i całe szczęście.

- Miło! - Tad pokręcił głową; podbródek powędrował w prawo, w lewo i znowu w prawo i w lewo. - Myślę, że mogłabyś się zdobyć na coś więcej niż „miło”. To lexus.

- Bardzo miło - zalicytował Jocelyn. Wszyscy mówią, że lexus to bardzo miły wóz. Jocelyn nie spotkała nikogo, kto by zaprzeczył.

- Rzecz jasna, używany. Świetnie kupilem. Mogę cię potem zabrać na przejażdżkę. W życiu tak miękko nie jechałaś.

Podczas przemowy Tada znowu do ucha Jocelyn wdarł się komarzy głosik Roberta.

- Banda świrów - powiedziała Roberta.

Jocelyn nie pochwała nazywania ludzi świrami. A ludzi w barze nie uważa za szczególnie świrowatych. Jest w holu Klingon, jeden czy dwa elfy, lecz najwyraźniej ci obcy nie piją. Szkoda. Wieczór, który się zaczyna czytaniem w myślach pełnego wdzięczności skorupiaka, a kończy widokiem pijanych elfów, byłby niezapomniany.

- Pojęcia nie mam, o kim mówisz.

- No fakt - powiedziała Roberta. Porozumiewawczo.

- A ty jakich lubisz autorów? - spytał Robertę niedźwiedziowaty.

- Och! - odrzekła. - Żadnych! Nie czytam science fiction. W życiu: - Potem szepnęła Jocelyn do ucha. - Mój Boże! Zwidziało mu się, że jestem jedną z nich!

Mój Boże. Więc niedźwiedziowaty jest wielbicielem science fiction, nie zaś hodowcą bassetów. W takim razie, dziwiła się Jocelyn, o czym oni właściwie mówią? Jak do rozmowy trafiły te skorupiaki?

Chociaż facet na pewno w tym hałasie nie dosłyszał Roberty, to trudno, żeby nie dostrzegł szeptania. Jocelyn poczuła się zawstydzona z powodu własnej pomyłki i złego wychowania Roberty.

- Rzeczywiście? - spytała Robertę na tyle głośno, żeby niedźwiedziowaty też słyszał. - Nigdy? Masz jakieś klapki na oczach. Ja osobiście lubię dobrą fantastykę.

- A kogo pani czyta? - spytał niedźwiedziowaty.

Jocelyn jeszcze raz pociągnęła, odstawiła szklaneczkę i skrzyżowała ramiona. Na nic się to nie zdało. Roberta, Tad i ten niedźwiedziowaty natarczywie wpatrywali się w Jocelyn. Przymknęła oczy, dzięki czemu zniknęli, niestety, sytuacja się nie zmieniła.

Myśl, nakazała sobie. Przecież na pewno pamięta nazwisko jakiegoś pisarza science fiction. Jak się wabi ten dinozaur? Michael jak mu tam?

- Ursulę Le Guin. Connie Willis? Nancy Kress? - Kiedy tak siedziała z zamkniętymi oczami, zjawił się Grigg i stanął tuż za Robertą. - Nie myślę się, prawda? - spytał. - Wygląda pani na kobietę o bezbłędnym smaku.

- Ty chyba masz nie po kolei - odrzekła Jocelyn.

Tad wyjaśnił wszystkim, na czym polega naprawdę dobra książka (literatura faktu z udziałem jednostek pływających: *Gniew oceanu*), a także na czym polega zła książka (kawałek z jakimiś zasranymi gadającymi drzewami, w rodzaju *Władcy pierścieni*). Okazało się jednak, że Tad nie czytał ani jednej, ani drugiej. Obejrzał tylko w kinie.

Wprawilo to niedźwiedziowatego w taką furję, że rozlał szkocką na brodę.

Jocelyn wyszła do toalety; po powrocie już nie zastała Grigga ani niedźwiedziowatego. Roberta zajęła po nim stołek dla Jocelyn, a Tad zamówił drugie dirty martini, co było miłe, owszem, chociaż Jocelyn nie miała już ochoty na martini, a gdyby miała, to zdążyłaby sobie zamówić. Ponadto na stołku, na którym teraz siedzi Roberta, siedziała przedtem Jocelyn; co nie znaczy, że dla Jocelyn ten czy ów stołek stanowi problem. Tyle że Jocelyn nie potrzebuje nikogo do rezerwowania stołka; wystarczyło nie rozsiadać się na tym, na którym właśnie

siedziała.

- Zdołałem ich spławić - oznajmił Tad. Krzyczał, żeby go było słychać. -

Powiedziałem, że się wybieramy na przejażdżkę moim nowym leksusem.

- Nie wszyscy - powiedziała Roberta. - Mam dosyć. Słowo daję, jestem taka skonana, że nie wiem, czy się doczłgam do łóżka. - Zilustrowała problem, opadając malowniczo na ladę.

- Skąd ci strzeliło do głowy, że chcę się ich pozbyć? - spytała Jocelyn Tada. Nie ma co, irytujący gość! Diabli ją brali na myśl o leksusie. Zaczynali ją brać nawet na myśl o Beauty. Najładniejszy pies pod słońcem, ale czy Jocelyn rzeczywiście chce obdarzyć dynastię Serengeti genem „uganiaj za mną, uganiaj”?

- Wiem, kiedy coś mówisz tylko przez grzeczność - zapewnił Tad, udowadniając, chyba nieświadomie, że niewiele wie. I mrugnął.

Jocelyn grzecznie wytłumaczyła, że ma nazajutrz panel, z samego rana, należałoby powiedzieć, że w nocy. („Ja też”, dodała Roberta). Jocelyn podziękowała Tadowi za drinka, którego nie tknęła, uparła się, że zapłaci, i wyszła.

Przez chwilę rozglądała się za Griggim i tym niedźwiedziowatym. Bała się, że to może wyglądać na znowę: Jocelyn znika w toalecie, tymczasem Tad spławia natrętów. A skoro spławianiem zajął się Tad, o subtelności szkoda marzyć. Chciała powiedzieć, że nie ma z tym nic wspólnego. Chciała powiedzieć, że dobrze się czuje w ich towarzystwie. Może to brzmi niezręcznie, nieprzekonująco, lecz taka jest prawda - oto atut Jocelyn.

W windzie przeczytała ogłoszenie o przyjęciu dla miłośników książek na piątym piętrze, zjechała więc niżej i niewinnie ruszyła korytarzem, udając, że gdzieś tu mieszka na tym piętrze. Sala, w której odbywało się przyjęcie, była tak zatłoczona, że ludzie wylewali się do holu, gdzie z kolei siedziały wampirzyce. Dwie widzialne popijały czerwone wino i pstrykały w siebie chrupkami. Trzecia skrzyżowała ramiona na szyi młodego człowieka, a język ulokowała mu w ustach. Młody człowiek, który złożył dłonie na jej tyłku, chyba był widzialny, ale co sądzić o dziewczynie? Gdyby tu był Grigg, Jocelyn spytałaby, czy nadal jest się niewidzialną, jeśli dzięki skrzyżowaniu ramion uwięźnie w nich wyrośnięty chudzielec, który się wpija człowiekowi w twarz?

Jocelyn przeszła przez hol koło wejścia do sali. Wewnątrz migotały stroboskopy, grała muzyka, tańczono. Impreza tętniła. Jocelyn zaskoczył widok Roberty, potrząsającej włosami i dupą; w migocącym świetle jej ruchy przypominały ciąg stop-klatek, poza za pozą. Teraz ręce na biodrach. Teraz przegina się na bok. Teraz hip-hopowy skłon. W sali było zbyt tłoczno, żeby dostrzec partnera Roberty.

Jocelyn dała za wygraną. Wróciła do pokoju, zadzwoniła do Sylvii i zdała sprawę z dokuczliwego wieczoru.

- Kto to taki, ten Tad? - spytała Sylvia. - Ten, który mówi każdej „grzeczna dziewczynka”? - Lecz Sylvia miała na myśli kogo innego, Burtiego Chambersa. Za to



spodobał jej się pomysł, że można zniknąć na zawołanie, byle skrzyżować ramiona. - Boże, przecież to nadzwyczajne! - wykrzyknęła. - Daniel byłby zachwycony. Zawsze żałuje, że nie umie zniknąć.

Jocelyn zobaczyła Grigga dopiero nazajutrz wieczorem.

- Martwiłam się, że pan wyjechał - powiedziała - a chciałam przeprosić za wczoraj. Był na tyle uprzejmy, że przerwał.

- Znalazłem coś dla pani w salonie promocyjnym - powiedział. Pogrzebał w torbie zjazdowej i wyciągnął dwie książki w miękkiej oprawie: *Lewą rękę ciemności* i *Jesteśmy snem*. - Proszę spróbować.

Jocelyn wzięła książki. Wzruszył ją podarunek, mimo to pomyślała, że Grigg się bawi jej kosztem, bo były to książki Le Guin, pisarki, której powieści (co Grigg podszeptał) Jocelyn rzekomo czyta i bardzo lubi. Ponadto Grigg się okazał nieco nadgorliwy, najwyraźniej podniecony faktem, że oto znalazł czytelnika, który dosłownie nic nie wie.

- Klasyka gatunku - powiedział. - Zarazem zdumiewająca lektura.

Jocelyn podziękowała, chociaż jak dotąd naprawdę nie zamierzała się zabierać do science fiction. Może przetrwało coś z tego nastawienia.

- Jestem pewien, że je pani polubi - powiedział Grigg. I dodał: - Bardzo chcę, żeby ktoś mną też pokierował. Proszę powiedzieć, co mam przeczytać, a obiecuję, że przeczytam.

Jocelyn przepadała za mówieniem ludziom, co mają robić.

- Przygotuję panu listę - powiedziała.

Prawda jest taka, że zapomniała o Griggu, aż w końcu stycznia przysłał e-maila. „Czy mnie pani pamięta?” - pytał. „Spotkaliśmy się na zjeździe w Stockton. Jestem teraz bez pracy i przenoszę się w pani strony. Zatem jest pani jedyną osobą, jaką tu znam, i liczę na rady tu-bylcze. Gdzie się ostrzyć. Którego wybrać dentystę. Czy możemy się spotkać na kawie, a pani sporządzi którąś ze swych słynnych list?”

Gdyby nie to dziwne imię, Jocelyn miałaby chyba kłopot ze zidentyfikowaniem Grigga. Ale zaraz sobie przypomniała, jaki się okazał miły. Przecież podarował jej chyba książkę, nawet dwie? Naprawdę, powinna je odszukać i przeczytać.

Przez kilka dni e-mail znajdował się na czele listy spraw do załatwienia. Cóż, mężczyzna ujmujący i wolny (jak przypuszczała) to zjawisko zbyt cenne, żeby je lekceważyć tylko z braku widoków na natychmiastowe korzyści. W odpowiedzi wysłała e-mail, w którym zgodziła się na tę kawę.

Kiedy zaczęła kompletować klub miłośników Austen, znów wysłała e-maila. „Jeśli dobrze pamiętam, jest pan zaprzysiężonym czytelnikiem - napisała. - Mamy zamiar przerobić wszystkie dzieła Jane Austen. Co pan na to?”

„Wchodzę - odpisał Grigg. - Teraz po długiej przerwie zabiorę się do Austen”.

„Możliwe, że będzie pan jedynym chłopakiem - ostrzegła Jocelyn. - Wśród paru zadziornych starszych pań. Nie wykluczam, że czasem dadzą panu popalić”.

„Coraz lepiej - replikował Grigg. - Prawdę mówiąc, nic mi nie sprawi większej frajdy”.

O tym wszystkim Jocelyn nam nie opowiedziała, bo też nic nam było do tego, zeszliśmy się, bądź co bądź, podyskutować o Jane Austen. Coś napomknęła tylko Sylvii:

- Pamiętasz. Stockton. Gdzie spotkałam Reinickerów, którzy tak mi się naprzykrzali? Kiedy zgodziłam się dopuścić Thembe do Beauty, a potem się wycofałam?

- Czy pan Reinicker to ten, który mówi każdej „grzeczna dziewczynka”? - spytała Sylvia.

Grigg wystawił krzesła z jadalni na tylny ganek, bo wieczór wręcz zachwycał. Krzesło honorowe, z prążkowanymi poduszkami, Jocelyn przyznała Bernadette. Pozostali zasiedli w krąg: królowa i dwór.

Docierały tu odgłosy ruchu na University Avenue. Duży sfinksopodobny czarny kot z małą głową ocierał się o nasze nogi, potem wskoczył na kolana Jocelyn. Robią tak wszystkie koty, bo Jocelyn jest na nie uczulona.

- Maks - oznajmił Grigg. - Skrót od Maksimum Kota.

Ujął Maksa oburącz i zamknął w domu; kot zaczął chodzić po parapecie tam i z powrotem, wił się między afrykańskimi fiołkami, wlepił w nas złociste ślepią, najwyraźniej życząc nam, żebyśmy szczęśli. Z kotów, które się przewinęły przez schronisko, najtrudniej obłaskawić czarne jak smoła samce; Jocelyn z całego serca popierała tych, którzy zdecydowali się na takie zwierzę. Czy Jocelyn wiedziała o Maksie? To by coś wyjaśniało w sprawie doproszenia Grigga do klubu; już jej nie rozgryzałyśmy, bo Grigg się okazał bardzo miły, niemniej przyczyna pozostawała nieustalona.

Grigg opowiedział, jak stracił pracę informatyka w San Jose, kiedy jedna po drugiej padały firmy internetowe. Dostał odprawę i przeniósł się do Doliny, gdzie mieszka się taniej, a pieniądze topnieją wolniej. Tymczasowo zaczepił się na uniwersytecie, w ekipie sekretariatu. Trafił na wydział filologiczny.

Właśnie się dowiedział, że może pracować, jak długo zechce. Umiejętności komputerowe Grigga wszyscy uznali za obehwładniające. Całe dni spędzał na odzyskiwaniu utraconych danych, tropieniu wirusów, tworzeniu w PowerPointcie takich i siakich prezentacji. Nad własnymi zadaniami ślęczał rzadko, ale nikt się nie skarżył; myśl, że się można wypiąć na pomoc uczelnianych informatyków, przyniosła wszystkim ulgę. Ci uczelniani najwyraźniej zaliczali się do jakichś paramilitarnych elit; kiedy wkraczali do akcji, wszelkie informacje okazywały się ściśle tajne, udzielano ich z ociąganiem i tylko pod naporem wciąż ponawianych żądań. Ludzie, którzy wyszli z laboratorium komputerowego, wyglądali jak po spotkaniu z ojcem chrzestnym. Grigga opłacano gorzej, za to ludzie zawsze przynosili mu ciasteczka.

Myślał ponadto o napisaniu *roman á clef*\*. Językoznawcy to dość niesamowita paka. Zamarłyśmy przez chwilę; wielka szkoda, że Prudie nie może usłyszeć Grigga mówiącego „roman a clef”.

### \* Powieść z kluczem

Grigg podał sałatę z suszonymi żurawinami i kandyzowanymi orzechami. Były też sery i pieprzowe krakersy. Trochę zimnych sosów, w tym karczochowy. Doskonale białe wino z winnicy Bonny Doon. Niezła uczta, aczkolwiek talerz do serów zdobiła scena zimowa; najwyraźniej miał służyć tylko na Boże Narodzenie, pewnie do ciastek. A kieliszki do wina nie pochodziły z kompletu. Jocelyn spytała Grigga:

- Dlaczego powiedziałeś, że ze wszystkich ksiązek Austen najbardziej ci się podoba *Opactwo Northanger*? - Pytała tonem kogoś przywołującego do porządku. Zarazem kogoś strzegącego otwartości myśli. Tylko Jocelyn umiała połączyć jedno z drugim.

- *Opactwo Northanger* bardzo lubię, bo całe jest o czytaniu ksiązek. Kto jest bohaterką, na czym polega intryga? Austen stawia te pytania wprost, bez owijania w bawełnę. Bardzo to *po-mo*.

Reszta z nas nie utrzymywała aż tak zażyłych stosunków z postmodernizmem, żeby mu nadawać przezwiska. Owszem, słyszałyśmy to słowo, lecz jego definicja chyba się zmienia wraz z kontekstami. Mało nas to obchodziło. Za rozgryzanie takich rzeczy ludzie biorą pieniądze na uniwersytecie; niechże dojdą z tym wreszcie do ładu.

- To zrozumiałe, że Austen zadaje takie pytania - odrzekła Jocelyn - *Opactwo Northanger* to bowiem jej pierwsza książka.

- A ja myślałem, że jedna z ostatnich - odrzekł Grigg. Kołysał się na tylnych nogach krzesła, lecz w końcu to jego krzesło i jego sprawa. - Miałem wrażenie, że pierwsza była *Rozważna i romantyczna*.

- Pierwsza wydana. Natomiast *Opactwo* była pierwszą kupioną przez wydawcę.

Nasza ocena wydania Gramercy nadal zniżkowała. Jak to możliwe, że nie wyłożono jasno sprawy? Może Grigg po prostu opuścił przedmowę? Bo chyba jest przedmowa.

- Zdaje się, że czytanie nie zawsze budzi zachwyty Austen - powiedziała Sylvia. - W *Opactwie Northanger* Austen oskarża innych powieściopisarzy o to, że w swoich powieściach obsmarowują powieść, ale czy sama postępuje inaczej?

- Nie, Austen broni powieści. Za to na pewno dobiera się do czytelników - powiedziała Allegra. - Z Katarzyny robi postać totalnie śmieszna, z tym jej nie kończącym się gadaniem o *Tajemnicach zamku Udolpho*. I przekonaniem, że właśnie tak wygląda prawdziwe życie. Nie mówię, że to najlepsza część książki. W sumie słaba.

Allegra nigdy nie omieszkała wskazać w książce słabszych fragmentów. Mówiąc szczerze, zaczynało nam to wychodzić bokiem.

Grigg odbił się, przednie nogi krzesła z trzaskiem wylądowały na ganku.

- Niemniej, Austen waży lekce ludzi, którzy tego nie czytali. A przynajmniej tych, którzy utrzymują, że nie czytali. Chociaż naśmiewa się z Katarzyny zauroczonej *Tajemnicami zamku Udolpho*, to trzeba powiedzieć, że owo zauroczenie jest w *Opactwie Northanger* wszechobecne. Naśladując strukturę tamtego tekstu, Austen dokonuje wszelkich wyborów w sprzeciwie wobec niego. Zakłada zaś, że wszyscy go czytali.

- Czytałeś *Tajemnice zamku Udolpho*? - spytała Allegra.

- O czarnych welonach i szkielecie Laurentyny? No pewnie. Nie macie wrażenia, że to ciekawie brzmi?

Nie miałyśmy takiego wrażenia. Wyczuwałyśmy przesadę, silenie się, staroświecką sensacyjność. Miałyśmy wrażenie, że to brzmi śmiesznie.

W istocie okazało się, że żadna z nas nie czytała *Tajemnic zamku Udolpho*. Niektóre nawet nie przypuszczały, że taka książka rzeczywiście istnieje.

Zaszło tymczasem słońce, z powietrza umknęła świetlistość. Maleńki księżyc przypominał okrawek paznokcia. Pływały pod nim ażurowe chmury. Na kuchennym parapecie usiadła sójka, Maksimum Kota biadał i domagał się wypuszczenia. W tym zamieszaniu Grigg wyszedł po deser.

Upiekł sernik. Przyniósł go Bernadette, która pokroiła ciasto i rozdała kawałki. Polewa najwyraźniej kupna. Lecz sernik niezły. W krytycznej sytuacji wszystkie sięgamy po kupne polewy. Nic złego w rzeczach kupnych.

Bernadette zaczęła przedstawiać pogląd na to, czy Austen podziwiała ludzi zaczytujących się książkami czy nie. W końcu zorientowaliśmy się, że Bernadette nie ma poglądu. Ma zaś wrażenie, że pełno tu sprzeczności.

Chwilę posiedzieliśmy, udając, że rozważamy, co powiedziała. Byłoby niegrzecznie zaraz wstać, skoro powiedzenie wszystkiego zajęło jej tyle czasu. Odłożyła te okulary z wielką bułą ze spinaczy i taśmy malarskiej; twarz wydawała się jakoś ogołocona, obciążona workami pod oczami, jak po zdjęciu okularów przez osobę, która stale je nosi.

Zwięźle omówiliśmy projekt przejścia do środka na kawę. Twarde krzesła nie są szczytem wygody, ale Grigg chyba nie ma innych; wypadnie je po prostu wnieść. Zimno nie jest. Sprawdza się miejski program komarobójczy, bo nic nas nie żre. Więc zostajemy na miejscu. Jakiś motocykl zakaszłał, potem zawarczał i pomknął University Avenue.

- Uważam Katarzynę za czarującą postać - powiedziała Bernadette. - Gdzie znajdziemy czule na krzywdę dobre serce i żywą wyobraźnię? Tilney to urodzony kpiarz. Skrzy się żywiej niż Edward w *Rozważnej i romantycznej* czy Edmund w *Mansfield Park*. Katarzyna nie jest moją ulubioną Austenowską postacią, lecz Tilney i owszem. - Zaadresowała to do Allegry, która jeszcze się nie wypowiedziała, ale Bernadette już czytała w jej myślach. I znowu był to strzał w dziesiątkę.

- Katarzyna jest bardzo, bardzo głupia. Nieprzekonująco łatwowierna - powiedziała

Allegra. - Tilney zaś trochę nieznośny.

- A ja lubię oboje - odrzekła Sylvia.

- Ja też - zapewniła Jocelyn.

- W tym sęk. - Młodziutki księżyc rozdarł chmury. Oczy Allegry były wielkie i mroczne. Twarz miała wyrazistość gwiazd filmu niemego i ów księżycowy połysk. Była taka piękna. - Austen podpowiada, że *Tajemnice zamku Udolpho* to książka niebezpieczna, pozwala ludziom uznawać życie za powieściową przygodę. Katarzyna poddała się jej magii. Tymczasem nie ma żadnych książek rzeczywiście niebezpiecznych. Równie dobrze możecie dowodzić, że oto Grigg bierze nas wszystkie za kosmitki, bo czytuje science fiction.

Kaszlopodobny odgłos wyrażał zaskoczenie Bernadette. Odwróciliśmy się, ona zaś poczęstowała nas nieprzekonującym uśmiechem. Na okularach tkwiła ta wielka gula. Bernadette przysiadła na podwiniętych nogach w jakiejś nieprawdopodobnej pozycji jogi. Nagle nasze podejrzania przybrały na sile. Nikogo nie zwiedzie. Jest zbyt giętka jak na istotę ludzką.

Ale czym się przejmować? Spośród nas Bernadette jest najłagodniejsza.

- To Austen wciąż pisze książki rzeczywiście niebezpieczne - ciągnęła Allegra. - Książki, którym ludzie gotowi są ufać nawet w dwieście lat później. Jak to cnota zostaje dostrzeżona i nagrodzona. Jak to miłość zwycięża. Jakim to romanssem jest życie.

Pomyślałyśmy, jak już czas, żeby Allegra przeboleła rozstanie z Corinne. Pomyślałyśmy, jak ciężko pracuje nad sobą Sylvia, żeby przeboleć rozstanie z Danielem. Pomyślałyśmy, że Allegra mogłaby się czegoś od niej nauczyć. Na ganku z plaśnięciem wylądowało ptasie łajno.

- Co weźmiemy teraz pod lupę? - spytała Bernadette. - Mam słabość do *Dumy i uprzedzenia*.

- To zabierzmy się do tej książki - powiedziała Sylvia.

- Jesteś pewna, kochanie? - spytała Jocelyn.

- Jestem. Już na nią pora. Zresztą w *Perswazjach* mowa o zmarłej matce. Lepiej tego teraz nie drażyć z Prudie. Z drugiej strony matka w *Dumie i uprzedzeniu*...

- Niczego nie zdradzajcie - powiedział Grigg. - Jeszcze nie czytałem.

Grigg nigdy nie czytał *Dumy i uprzedzenia*.

Grigg nigdy nie czytał *Dumy i uprzedzenia*.

Grigg czytał *Tajemnice zamku Udolpho* i Bóg wie ile science fiction (książki były porozrzucane po całym domu), lecz nigdy nie znalazł czasu ani ochoty, żeby przeczytać *Dumę i uprzedzenie*. Po prostu zabrakło nam słów.

Zadzwonił telefon, Grigg poszedł odebrać. Padło imię „Bianca”. W głosie Grigga słychać było szczerą radość, ale nie tę radość. Po prostu zaprzyjaźniona osoba, pomyślałyśmy.

- Mogę oddzwonić? Mam zebranie naszego klubu Jane Austen.

Powiedziałyśmy, żeby się nie krępował. Dyskusja dobiegła końca, mogliśmy się zbierać do wyjścia. Zaniosłyśmy do kuchni talerze i kieliszki, pożegnałyśmy się z kocurem i wyszłyśmy na palcach. Grigg właśnie mówił coś o matce; najwyraźniej zbliżały się jej urodziny. Więc nie osoba zaprzyjaźniona, lecz siostra, pomyślałyśmy.

Po naszym wyjściu Grigg opowiedział Biance o nas.

- Mam wrażenie, że mnie lubią. Dały mi porządnie w kość. Odkryły dzisiaj, że czytuję science fiction. To po prostu nie uchodzi.

- Mogłam wpaść - powiedziała Bianca. - Nie boję się fanek Jane Austen. Nikomu nie wolno się znęcać nad braciszkiem.

- Z wyjątkiem ciebie. I Amelii. I Cat.

- Jesteśmy takie straszne? - spytała Bianca.

- Nie - odrzekł Grigg. - Ani trochę.

Podczas sprzątania Grigg coś sobie przypomniał, mianowicie ów dzień, w którym bawiąc się w tajnego agenta, zdołał podsłuchać rozmowę rodziców o sobie. Stał za firanką w jadalni, rodzice byli zaś w kuchni. Usłyszał, jak ojciec podważa pętelkę i otwiera puszkę z piwem.

- Jest w nim więcej z dziewczyny niż w którejkolwiek z dziewcząt - powiedział ojciec Grigga.

- Jest całkiem w porządku. To jeszcze dzieciak.

- Jest już jedną nogą w gimnazjum. Masz pojęcie, co za życie czeka w gimnazjum dziewczynkowego chłopaka?

Firanka zafalowała, dostała zadyszki. Serce Grigga ścisnął nagły lęk przed pierwszą gimnazjalną.

- To naucz go być mężczyzną - odrzekła matka. - Bóg świadkiem, że tutaj tylko ty się możesz tym zająć.

Nazajutrz przy śniadaniu Grigg się dowiedział, że ruszają z ojcem na wyprawę pod namiot; udział dziewcząt wykluczony. Zaliczą jakąś trasę, nałowią ryb. Posiedzą przy ognisku, naopowiadają sobie różnych historii, a niebo będzie tak usiane gwiazdami, że się Griggowi nie śniło.

Grigg głównie wyobrażał sobie biwak jako coś związanego z kanapkami z razowych krakersów i podpiekanymi na patyku słodkimi korzeniami prawoślazu, które się potem oskrobuje ostrym, niebezpiecznym nożem myśliwskim. Rzecz jasna, czuł podniecenie. Bianca i Cat już opowiedziały, jak się cieszą, że je to ominie. Mimo że są twardymi traperkami i nie przeraża ich myśl o nadziewaniu na haczyk robaka, któremu na wierzch wypłyną flaki, zresztą Bianca zestrzeliła kiedyś z wiatrówki puszkę po coli nadzianą na płot. Ale Griggowi, jak to dziecku, przyśnią się w nocy strachy i będzie musiał wracać do domu. Amelia właśnie rozpoczęła kurs dla techników rentgenowskich i była już zbyt dorosła, żeby

się przejmować, kto jedzie na biwak, a kto nie.

Były to lata siedemdziesiąte. Ojca Grigga opętała książka Heinleina *Obcy w obcym kraju*. Wypożyczył ją z biblioteki, potem powiedział bibliotekarzowi, że ją zgubił. Od paru miesięcy nie czytał nic innego. Jeśli nie ślęczał nad nią, gdzieś ją chował. Grigg chętnie sam by zerknął, lecz nie mógł znaleźć. W bibliotece, nawet gdyby mieli egzemplarz, którego właśnie nie mieli, książkę zaliczano do niedozwolonych dla młodzieży.

Mężczyźni z rodu Harrisów załadowali do samochodu śpiwory i prowiant, a następnie ruszyli na północ do Yosemite, drogą 99. Po trzech godzinach zabrali dwie dziewczyny ze stacji benzynowej.

- Daleko jedziecie? - spytał ojciec, na co dziewczęta odpowiedziały, że do Bel Air; Harrisom najzupełniej nie po drodze, do tego znacznie dalej niż z tej stacji do domu. Nic dziwnego, że Grigg zbaraniał, usłyszawszy, że ojciec zgadza się je podwieźć. Przecież miało być bez dziewcząt?

Ojciec okazał się bardzo rozmowny, przy czym zmienił słownictwo, zaczął nagle używać powiedzonek w rodzaju „w dechę” lub „po byku”.

- Twój stary jest super - zapewniła Grigga jedna z dziewcząt. Miała mocno opalony nos, włosy przewiązała chustką. Druga ostrzygła się maszynką niemal do skóry; można było popatrzeć na kształt jej czaszki, a także na kształt piersi pod cienką bawełnianą bluzką. Była czarna, lecz o jasnym odcieniu skóry i piegowata. Jada do bardzo sympatycznej dziury, czysto luzowe klimaty, wyjaśniła Griggowi, co jego tata pewnie skuma.

- Jedziemy pod namiot - oświadczył Grigg. Ojciec zmarszczył brwi i odezwał się ciszej, tylko do

Grigga. Może być nieklawo, kiedy się zostawi na drodze dwie takie ładne dziewczyny, powiedział. Będą dalej machać, a potem je zabierze lichy wie kto. Czy Grigg chce o tym przeczytać w jutrzejszej gazecie? A gdyby to były Bianca i Cat? Grigg chyba chciałby, żeby się ktoś o nie zatroszczył? I cóż wielkiego, jeśli się spóźnią do Yosemite o jeden dzień?

Ojciec jeszcze nie skończył, a Grigg już się poczuł mały i samolubny. Podczas następnego postoju ojciec zafundował wszystkim obiad. Potem Grigg wylądował na tylnym siedzeniu, w towarzystwie dziewczyny w chustce.

Miała na imię Hillary. Dziewczyna z tymi piersiami siedziała teraz z przodu. Miała na imię Roxanne.

Pewne siły kosmiczne zbiegają się, łączą, zapewniała ich Hillary. Jechali z otwartymi oknami; niemal musiała krzyknąć.

Grigg wpatrywał się w umykający krajobraz. Widział równe rzędy drzew migdałowych, które, mijane, na pozór się zakrzywiają, widział przydrożne stragany z limonami i awokado. Od dawna już tu nie padało. Nad polami wirowały tumany kurzu. „On nadchodzi” - głosił napis na wielkiej tablicy. „Czy jesteś gotów?” Grigg wyobrażał sobie, że biegnie obok samochodu, przeskakuje rowy melioracyjne i przepusty, równie szybki jak

samochód i równie niezmordowany. Huśta się, uwieszony na rękach na przewodach telefonicznych.

Jeśli coś wiesz o starożytnych pismach, powiedziała Hillary, o Nostradamusach i w ogóle, to wiesz także, że się zbliża jakaś wielka karma. Coraz intensywniejsza, ale i coraz piękniejsza.

Ojciec odrzekł, że tego się właśnie spodziewa.

Roxanne poszukała w radiu innej rozgłośni.

Wciąż się zatrzymywali przy stacjach benzynowych, żeby dziewczyny mogły zrobić siusiu. Siostry Grigga nigdy nie prosiły, żeby przystanąć na siusiu.

Zanim dojechali do Grapevine, zrobiło się ciemno. Na autostradzie tłok. Rzeka czerwonych świateł w jedną stronę, rzeka białych w drugą. Swego czasu Cat wymyśliła grę w duchy i demony, opartą na światłach samochodów, ale szkoda o niej marzyć, kiedy jedzie tyle aut. Zresztą gra była ciekawa tylko z Cat, bez niej to same nudy.

Było około dziewiątej, kiedy zjechali z autostrady do Bel Air. Pilotowała Hillary; podjechali pod masywny dom z ogrodzeniem z kutego żelaza; po metalowej winorośli puszczono prawdziwe liście i kiście. Ojciec Grigga powiedział, że musi odpocząć, więc wszyscy ruszyli do środka.

Dom był ogromny. Szerokie przejście wykładane marmurem i ozdobione lustrami wychodziło na, jadalnię, gdzie stół o szklanym blacie otaczało dziesięć krzeseł. Hillary pokazała przycisk w podłodze pod stołem, którym gospodyni mogła wzywać służbę, nie ruszając się z miejsca. Griggowi wydało się to zbyt wygodne, bo do kuchni, w której odzywał się dzwonek było tylko parę kroków. Hillary powiedziała, że to dom jakichś jej przyjaciół, którzy akurat wyjechali.

Jadalnia łączyła się z kuchnią, a za nimi rozciągało się atrium z palmą i trzema tarasami orchidei. Za szklaną ścianą atrium Grigg zobaczył neonowo niebieską taflę wody, basen był podświetlony i pełen ludzi. Już później, usiłując to sobie odtworzyć, Grigg zastanawiał się, w jakim wieku byli ludzie w basenie. Chyba w wieku Amelii. Może Bianki. Na pewno nie w wieku taty.

W kuchni przy ladzie usiadła trójka młodych. Hillary wyciągnęła z lodówki piwo dla taty Grigga. W powietrzu unosił się zapach trawki. Grigg umiał go rozpoznać. *Odyseję kosmiczną 2001* obejrzał sześć razy, w tym dwa razy w kampusie uniwersyteckim.

Tato wdał się w rozmowę z długowłosym młodym człowiekiem o mesjaszowatej twarzy. Tato pytał, czy tamten czytał kiedyś Heinleina (otóż nie), natomiast młody człowiek pytał, czy ojciec Grigga czytał Hessego (też nie). Świat się zmienia, zapewniali się nawzajem. Przeżywa zawirowanie.

- Coś wspaniałego być młodym - powiedział tato Grigga, który z pewnością młody nie był; Grigg miał nadzieję, że tato zdaje sobie z tego sprawę.

W roli, jaką ojciec przybrał w tej rozmowie, było dla Grigga coś żenującego.



Przeprosił; musi iść do łazienki (jakby miał po co, po tych wszystkich przystankach!), i ruszył na zwiedzanie domu. Pomyślał, że może gorączkuje. Miał to czarodziejskie, szkliste wrażenie, że wędruje jak we śnie, z pomieszczenia do pomieszczenia, przez sypialnie, studia, biblioteki, pokoje telewizyjne. W tym domu lustra sięgały od podłogi po sufit, był stół bilardowy i bar z trunkami. Był też dziewczęcy pokój z łóżkiem pod baldachimem i telefonem princess. Cat dałaby się zabić za taki telefon. Grigg zamówił rozmowę do domu na koszt odbiorcy.

Odezwała się Amelia.

- Jak tam biwak? - spytała. - Nie miałam pojęcia, że na pustkowiu są telefony.

- Nie jesteśmy na biwaku. Tylko w Bel Air.

- To kosztuje majątek. Podaj numer, a oddzwonimy - powiedziała Amelia.

Grigg przeczytał numer na tarczy. Wyciągnął się na łóżku pod baldachimem i tak długo wyobrażał sobie, że w dżungli pod moskitierą słyszy plemienne bębny, aż zadzwonił telefon.

- Hej - odezwała się matka. - Jak tam na biwaku?

- Jesteśmy w Bel Air, w jakimś domu - powiedział Grigg. - Na biwak jedziemy dopiero jutro.

- W porządku - odrzekła matka. - Dobrze się bawisz? Fajnie ci z tatą?

- Pewnie.

- Dzięki, że zadzwoniłeś - powiedziała mama. Potem odłożyła słuchawkę. Idzie z dziewczynkami do kina.

Na coś, co by ci się nie spodobało, zapewniła Grigga. Na coś dla dziewcząt.

Grigg otworzył szafę dziewczyny. W domu nie wolno mu było zaglądać do dziewczęcych szafek. Były tam albumy z wycinkami i pudełka po butach z trzymanym w sekrecie badziewiem. Kiedy raz udało mu się otworzyć takie pudełko gówierek, Cat darła się na niego pół godziny, chociaż w środku znalazł tylko jakieś niedorzeczne kasztany na plastikowym talerzyku wyścielonym czerwonym aksamitem.

W tej szafie w pudełkach na buty były tylko buty. Na prawidłach. Nie da się ukryć, że ta tutaj sama ma więcej butów niż trzy siostry Grigga razem.

Inne sekrety mogły się kryć w komodzie pod złożonymi ubraniami. Grigg zajrzał, ale znowu skończyło się niczym. Była też toaletka z zamkniętą szufladą, z którą zmagął się przez chwilę; przydałyby się paznokcie albo karta kredytowa. Albo klucz. Jakieś klucze znalazł na łańcuszku zawieszonym u kolumnienki łóżka. Żaden nie pasował.

Do sypialni weszli chłopiec i dziewczyna. Zdążyli się już w połowie rozebrać, zanim zauważyli Grigga. Z rozporoka majtek chłopca sterczał penis, jak jakiś okazały grzyb. Grigg odłożył klucze na toaletkę. Kiedy poruszył się, dziewczyna najpierw pisnęła, potem się roześmiała.

- Nie masz nic przeciw temu, dziecko? - powiedział chłopak. - My tu będziemy tylko

chwile.

Dziewczyna znowu się roześmiała i trąciła chłopca w ramię.

Grigg wrócił do kuchni. Tato wciąż dyskutował z mesjaszem. Grigg kręcił się przy wejściu, gdzie słyhać było zarówno odgłosy z basenu, jak i słowa ojca.

- Chodzisz do tych samych domów, widzisz tych samych ludzi. Prowadzisz te same rozmowy. To wyżera jakieś pół mózgu. Najmarniej - powiedział ojciec.

- Chryyss - odrzekł chłopak.

- Pół życia.

- Chryyss.

- To jest jak klatka, a człowiek nawet nie wie, kiedy się zatrzaskują drzwi.

Chłopak trochę się ożywił.

- Rozejrzyj się - odegrał tę instrukcję. - Żadnych krat, chłopie. Żadnej klatki. Wolności masz tyle, ile uznasz, że masz. Nikt cię nie zmusza, żebyś to robił. Nikt cię nie zmusza do nastawiania budzika ani zrywania się rano. Nikt, prócz ciebie.

Grigg wyszedł nad basen. Ktoś rzucił w niego ręcznikiem. Była to Hillary. Na sobie miała tylko gumki na warkoczach. Roześmiała się, widząc, jak Grigg się przygląda.

- W końcu nie jesteś taki mały - powiedziała. - A tu nie wolno przychodzić w ubraniu. Chcesz sobie popatrzeć, to daj popatrzeć innym. Taki regulamin. Bo jak nie - pochyliła się, a jej pierś zakołysała się przed nosem Grigga - to pomyślimy, że z ciebie jakiś mały zboczeniec.

Grigg wrócił do środka. Twarz mu płonęła; najbardziej swojskim składnikiem tej dziwnej mieszanki uczuć było upokorzenie. Skupił się na nim, bo je umiał rozpoznać. W studiu znalazł inny telefon i znowu zadzwonił do domu. Nie spodziewał się, że ktoś odbierze, myślał, że wszyscy są w kinie, tymczasem słuchawkę podniosła Amelia. Powiedziała telefoniście, że nie zgadza się płacić za rozmowę, a w niespełną minutę później telefon odezwał się i oto znowu mówiła mama Grigga.

- Byłyśmy już w drzwiach - słyhać było, że jest zła. - O co chodzi?

- Chcę wrócić do domu - powiedział Grigg.

- Zawsze chcesz wcześniej wrócić. Jak było na obozie dla zuchów? Jak było z każdą nocą poza domem, od kiedy skończyłeś trzy lata? Zawsze muszę ci kazać zostać, a w końcu zawsze się okazuje, że było fantastycznie. Weź się w garść. - Podniosła głos: - Już idę! - Potem znów zwróciła się do Grigga: - Bądź grzeczny i nie dokuczaj tacie. Nie mógł się doczekać tej wycieczki z tobą.

Grigg odłożył słuchawkę i poszedł do kuchni.

- Jestem taki nieszczęśliwy - wyznawał właśnie ojciec. Potarł dłonią oczy, kto wie, może płakał.

Grigg wolałby się rozebrać i wystawić na pośmiewisko nad basenem, niż słyhać ojca wygadującego takie rzeczy. Próbował sobie wyobrazić, co zrobić, żeby ojca uszczęśliwić.

Próbował sobie wyobrazić, czym ojca unieszczęśliwił.

Postanowił odejść. Skoro ojciec go nie zabiera, to Grigg sam się zabierze. Może iść. Przez ten czas będzie się żywił pomarańczami zrywanymi wprost z drzewek. Może spotka jakiegoś psa, który dotrzyma mu towarzystwa i powędrują razem. Nikt potem Grigga nie zmusi, żeby odprawił psa, który z nim przeszedł całą drogę. A może Grigg zacznie machać i zatrzymywać samochody, może zabierze go lichy wie kto i taki będzie koniec wszystkiego. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła i śmiech znad basenu. Trzaskanie drzwiami. Dzwonienie telefonu gdzieś w głębi domu. Jaki jestem nieszczęśliwy, pomyślał. Wrócił do pokoju z łóżkiem pod baldachimem i zasnął.

Obudził go szum deszczu. Trwało to dobrą chwilę, zanim sobie przypomniał, gdzie jest. W Los Angeles. To nie deszcz, lecz deszczownia zraszająca trawnik. W otwartym oknie wzdymały się i opadały białe firanki. We śnie zaślnił pościel. Próbował to zetrzeć ręką.

Wyruszył na poszukiwanie ojca, żeby spytać, kiedy pojedą pod namiot. W kuchni nie było nikogo. Drzwi na basen były otwarte i Grigg podszedł je zamknąć. Pilnował się, żeby nie wyrzeć za nie. Poczł zapach chloru, piwa i chyba wymiocin.

Siadł przy kuchennej ladzie tyłem do tych drzwi, na stołku, na którym wczoraj siedział ojciec. Z całej siły zatkał uszy rękami i wsłuchiwał się w bicie serca. Przydusił palcami powieki, aż zobaczył kolorowe rozbłyski, jak sztuczne ognie.

U drzwi zadźwięczał dzwonek. Odzywał się raz po raz, jakby ktoś się oparł łokciem o przycisk; potem ucichł. Z holu dobiegły hałasy, ktoś narobił zamieszania. Ktoś poklepał Grigga po ramieniu. Za nim stała Amelia; za Amelią Bianca; za Biancą Cat. Trzy twarze wyrażały to samo, a Grigg już dobrze wiedział co; otóż ktoś próbował zdrzeć z siostrami, ale już się dowiedział, że to był błąd.

- Wpadłyśmy zabrać cię do domu - powiedziała Amelia.

Grigg wybuchnął rozziewającym, zasmarkanym łkaniem, Amelia zaś przytuliła brata.

- Już dobrze - powiedziała. - Zaraz dorwę ojca. Gdzie jest?

Grigg wskazał basen.

Amelia wyszła, jej miejsce zajęła Bianca.

- Mama kazała mi zostać - wyjaśnił Grigg, bez tonu wyrzutu. Mamę najwyraźniej przegłosowano.

Bianca pokręciła głową.

- Amelia tu oddzwoniła i zapytała o Grigga. Tymczasem nikt nie miał pojęcia, kto to taki, nawet nie próbowali się dowiedzieć, tylko uznali, że Grigg to bardzo śmieszne imię. Ale podali adres i Amelia powiedziała mamie, że jedziemy, czy się mamie podoba czy nie. Zaklinała się, że przez telefon mówiłaś jak walnięty.

Amelia wróciła z zaciętą miną.

- Tato jeszcze nie jest gotów do wyjścia. - Objęła Grigga, jej włosy opadły mu na szyję. Siostry używały szamponu Biały Deszcz, bo był tani, ale Grigg uważał tę nazwę za

romantyczną. Biorąc prysznic, mógł zdjąć z flakonu nakrętkę i wachać włosy Amelii, a także Bianki i Cat. Przez pewien czas rysował komiks z superkobietą o imieniu Biały Deszcz. Władala systemami pogody, czymś, co wymyślił całkiem sam; potem dowiedział się, że ktoś wpadł już wcześniej na ten pomysł.

Stojąc tak w rezydencji w Bel Air w kuchni, otoczony siostrami, wiedział już raz na zawsze, że szukając ratunku, może w potrzebie zadzwonić do siostr, a one przyjadą. Myśl o gimnazjum przestała być koszmarem. W gruncie rzecz Griggowi już teraz było żal tych wszystkich dziewcząt i chłopaków, którzy mu zechcą w szkole dokuczać.

- No to w drogę - powiedziała Amelia.

- Przecież on zawsze mówi przez telefon jak walnięty - zapewniła Cat.

Najsmutniejsze ze wszystkiego okazało się przeczytanie *Obcego w obcym kraju*, bo Grigg uznał tę książkę za jakieś głupoty. Dobiegał wówczas trzydziestki; wcześniej zaś przyrzekł matce, że nie weźmie utworu do ręki, czego dotrzymywał, póki się dało. Było w tej książce mnóstwo seksu, fakt. Ale jakiegoś przechytrzonego i lubieżnego, który trudno było bezboleśnie kojarzyć z ojcem. Potem Grigg przeczytał *Źródło*, którego przyrzekł nie brać do ręki za namową Amelii; okazało się, że to też głupia książka.

Tak się przedstawiała trzecia historia, której nie usłyszałyśmy. Grigg jej nie opowiedział, bo poszliśmy do domu, zanim ją sobie przypomniał, zresztą żadna z nas nie czytała *Obcego w obcym kraju*, a na hasło science fiction robiłyśmy takie nadęte miny, że już się nie chciał pastwić nad Heinleinem w naszym zgryźliwym towarzystwie. I nie chciał się przy nas rozwodzić nad seksem.

A przecież spodobałaby się nam ta historia, zwłaszcza przybycie odsiecz. Przykro by nam było z powodu ojca Grigga, ale polubiłybyśmy dziewczyny spod znaku Białego Deszczu. Z tej historii wypływał wniosek, że kto zna Grigga od dzieciństwa, nie może żywić wątpliwości: Grigg to urodzona heroina.

*Z Tajemnic zamku Udolpho* powieści Ann Radcliffe

- Daj tu światło - rzekła Emilia - może znajdziemy drogę przez te pokoje.

Annette ruszyła niechętnie naprzód. Drzwi prowadziły do szeregu przestronnych i starych pokoi w amfiladzie, jednych obitych tkaninami, innych wyłożonych boazerią z drzewa cedrowego albo czarnego modrzewia. Resztki mebli, jaka w nich została, zdawała się równie stara jak pokoje i zachowała pozory świetności, chociaż okrywała je warstwa kurzu i rozpadały się od wilgoci i starości.

- Jakże zimne te pokoje, panienko! - powiedziała Annette. - Mówią, że nikt w nich nie mieszkał od wielu, wielu lat. Chodźmy już.

- Może wychodzą na te wielkie marmurowe schody - rzekła Emilia, idąc dalej, póki nie doszła do pokoju obwieszanego obrazami, gdzie wzięła lampę z rąk Annette, żeby się przyjrzeć jednemu z nich, przedstawiającemu jeźdźca na polu bitwy... Mierzył włócznią w leżącego u kopyt końskich człowieka, który wznosił rękę błagalnym gestem. Jeździec z

odsloniętą przyłbicą patrzył na leżącego z wyrazem zemsty i jego twarz uderzyła Emilię podobieństwem do Montoniego. Dreszcz ją przeszedł i odwróciła wzrok. Przesunąwszy śpiesznie światło przez kilka innych obrazów, dostrzegła jeden zakryty zasłoną z czarnego jedwabiu. Uderzona tym niezwykłym faktem, zatrzymała się, chcąc zdjąć zasłonę i sprawdzić, co to może być tak skrzętnie ukryte, ale jakoś zabrakło jej odwagi.

- Matko Najświętsza! Co to może znaczyć? - wykrzyknęła Annette. - Ani chybi to ten obraz, o którym mówiono w Wenecji.

- Jaki obraz? - spytała Emilia.

- Ot, obraz... jakiś obraz - odparła Annette z wahaniem - nigdy nie mogłam zrozumieć, o co dokładnie chodziło.

- Zdejmij zasłonę, Annette.

- Co? Ja, panienko? Ja? Za żadne skarby świata! - Emilia odwracając się, ujrzała, że Annette blednie.

- A cóż takiego mówiono o tym obrazie, że tak się przeraziłaś, moja droga?

- Nic, panienko, nic mi nie mówiono, ale lepiej chodźmy już poszukać wyjścia.

- Bardzo dobrze, ale najpierw chcę obejrzeć obraz, potrzymaj lampę, Annette, a ja uniosę zasłonę. - Annette wzięła lampę i natychmiast z nią odeszła, nie zważając na nawoływanie Emilii, która nie mając ochoty pozostać sama w ciemnym pokoju, poszła w końcu za nią. - Czemu tak się boisz, Annette? - spytała, dogoniwszy ją. - Co ci mówiono o tym obrazie, że tak bardzo nie chcesz zostać, mimo że cię proszę?

- Nie wiem, czemu się boję, panienko - odparła Annette - i nie wiem nic o obrazie, tylko słyszałam, że wiąże się z nim coś bardzo strasznego... i że jest zakryty czarną zasłoną od tego czasu... i nikt nie oglądał go przez wiele lat... i ma coś wspólnego z właścicielką tego zamku, zanim signor Montoni wszedł w jego posiadanie... i że...

- No cóż, Annette - rzekła Emilia z uśmiechem - pojmuję stąd, że nic nie wiesz o tym obrazie.

- Nic, naprawdę nic, panienko, bo kazali mi obiecać, że nigdy nie powiem, ale...

- Więc dobrze - przerwała jej Emilia, spostrzegłszy, że Annette waha się między chęcią wyjawienia sekretu a lękiem przed konsekwencjami - nie będę więcej pytała...

- Nie, panienko, lepiej nie.

- Żebyś wszystkiego nie wypaplała.\*

\* Fragmenty *Tajemnic zamku Udolpho* w tłumaczeniu Wacława Niepokólczyckiego.

# Lipiec

## Rozdział piąty

w którym czytamy *Dumą i uprzedzenie* oraz słuchamy Bernadette

Pierwsze wrażenie Sylvii na widok Allegrzy: jeszcze nikt nie miał tak pięknego dziecka.

Pierwsze wrażenie Jocelyn na widok Grigga: ładne rzęsy, śmieszne imię, nic, ale to nic ciekawego.

Pierwsze wrażenie Prudie na widok Bernadette: straszidło, jeśli spojrzeć; nudziara, jeśli słuchać; okaz niespotykany.

Pierwsze wrażenie Bernadette na widok Prudie: w dość długim życiu rzadko zdarzało mi się spotkać tak zalęknioną młodą kobietę.

Pierwsze wrażenie Allegrzy na widok Sylvii zatarło się pod wpływem pierwszego wrażenia na widok szerszego świata. Mi? mi? pytała wcześniej sama siebie, kiedy nic jeszcze nie wiedziała o słowach ani nawet o tym, że pyta. Potem, kiedy Sylvia, a po niej Daniel pierwszy raz spojrzeli jej w oczy: Jeszcze mi? Jeszcze?

*W czasach Austen tradycyjny bal otwierano nadal menuetem. Pierwotnie pary tańczyły menueta tylko po jednej jedynej na parkiecie.*

- Jest prawdą powszechnie znaną - powiedziała Prudie - że bogatemu mężczyźnie\* zachciewa się w końcu nowej żony. - Siedziały z Bernadette przy dużym okrągłym stole podczas dorocznej zbiórki funduszy na rzecz biblioteki publicznej w Sacramento. Otaczali je zewsząd bogaci mężczyźni, stłoczeni na parkiecie jak sardynki.

\* Odwołanie do *Dumy i uprzedzenia* według przekładu Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej.

W głębi holu przed ogromnym łukowym oknem zespół jazzowy grał pierwsze takty *Love Walked In*. W górę wzrok sięgał aż kopuły Galerii Księgarskiej Tsakopouloosa, sunąc wcześniej po masywnych kamiennych kolumnach, przeciętych czterema rzędami balkonowych balustrad z kutego żelaza. Z kopuły zwieszały się wielkie szklane pierścienie.

Prudie nigdy jeszcze nie była w Galerii Księgarskiej, chociaż któraś z licealnych nauczycielek wyprawiała tu wesele. Gdzieś na balkonach tkwią lisie pyszczki z brązu. Prudie nie mogła ich dostrzec zza stołu, ale miła była świadomość, że są.

Cóż, romantyczna przestrzeń. Łatwo sobie wyobrazić kochankę śpiewającego serenadę na którymś balkonie albo zabójcę prezydenta, jeżeli wyobraźnia podąża chorym tropem.

No i Prudie czuła rozczarowanie, po prostu dlatego, że zjawili się tu pierwsi, a teraz się

zanosi na wieczór siedzenia i rozmów z Bernadette. Owszem, jest Dean, ale z Deanem może pogadać co dzień, prawda?

Ściśle rzecz biorąc, Prudie niewiele mogła powiedzieć Bernadette, bo głównie mówiła tamta. Z reguły za dużo. Często kluczyła wokół sedna sprawy, a kiedy już doń dotarła, jej pogląd rzadko był wart tych meandrów.

Biedna Bernadette, w latach pięćdziesiątych była zwykłą żoną, przypominała sobie Prudie, a wówczas naprawdę oczekiwano od kobiety sprzątanina na okrągło. W końcu pojawiły się ruchy kobiece, ale za późno, żeby uratować Bernadette przed tą całą nudą. Teraz to już starsza pani, która nikim się specjalnie nie interesuje. *Peu de gens solvent être vieux\**.

Wspieranie duchowe Sylvii swą obecnością oznaczało dla Prudie i Bernadette pewien wydatek - po sto dwadzieścia dolarów za bilet. W programie była kolacja, były tańce, w roli atrakcji mieli wystąpić miejscowi pisarze, po jednym przy stoliku - wiele sobie po tym obiecywała Prudie - przyszły jednak ze względu na Sylvię. Impreza wspomagała bibliotekę, więc Sylvia musiała się stawić. Allegra zaś powiedziała, że zjawi się też Daniel, w towarzystwie, będzie z nim ta prawniczka domowa, Pam, w której tak się zakochał.

Sylvia ma tylko klub miłośników Jane Austen. Nic w nich nadzwyczajnego, żadna tam przeciwwaga, ale mogą przynajmniej się stawić.

Gdzie spojrzeć, Prudie widziała oznaki bogactwa. Dla zabawy próbowała patrzeć na tę scenę oczami jakiejś postaci Austen. Młoda kobieta bez grosza i widoków na przyszłość, tu, wśród tych wszystkich bogaczy. Ma w sobie wzbudzić determinację? Zdesperowanie? Co za sens rozglądać się, dokonywać skrycie wyboru, skoro wolno tylko siedzieć i czekać, aż ktoś podejdzie? Prudie uznała, że lepiej uczyć w szkole francuskiego, niż wyjść za mąż dla pieniędzy. Ale ów osąd, powzięty w mgnieniu oka, zawsze jeszcze można przemyśleć.

**\* Niewielu umie się zestarzeć.**

Dean poszedł z płaszczem Prudie do szatni i zorganizował sobie drinka; w przeciwnym razie mógłby oprotestować słowa Prudie o bogaczach i ich nowych żonach. Nie był człowiekiem bogatym, za to stałych uczuć. Mógłby powiedzieć, że pieniądze by go nie zmieniły. Mógłby powiedzieć, że Prudie jest żoną, której pragnie w dostatku czy biedzie. Mógłby powiedzieć, że nigdy nie będzie bogaty i co, czy Prudie jest nieszczęśliwa w małżeństwie?

Na taką uwagę Prudie nie pozwoliłaby sobie także przy Sylvii. Lecz Sylvii ani Allegry jeszcze nie było. Na razie tylko Prudie i Bernadette; Prudie nie znała za dobrze Bernadette, więc rozwód Sylvii stanowił jeden z niewielu wspólnych tematów. Także Jane Austen, jasne, lecz spotkanie poświęcone *Dumie i uprzedzeniu* miało się odbyć dopiero za tydzień, Prudie nie chciała nic zepsuć przedwczesnymi wynurzeniami.

Tym razem Bernadette odstąpiła od zasady nieprzemęczania się strojem i uszanowała

rygory wieczorowe; srebrna bluza i spodnie były *tres magnifique\**, srebrne włosy nad czołem wymodelowane pianką. Naprawiła okulary i przeczyściła soczewki. Toczony kęs bursztynu w uszach wyglądały na jakieś dzieło Allegry. Bernadette miała wielkie, godne Buddy płatki uszu; kolczyki jeszcze je wydłużyły. Wyczuwało się lekki aromat lawendy i może szamponu zielone jabłuszko z akcentem cynii oraz przeciążonego klimatyzatora. Prudie miała nos nie od parady.

### \* naprawdę imponujące

Bernadette od dłuższego czasu komentowała oświadczenie Prudie i jeszcze nie skończyła. Większość komentarza Prudie puściła mimo uszu, na szczęście Bernadette zwykle kończy rekapitulacją. Prudie czekała, aż Bernadette wygada się i zechce słuchać.

- Bycie bogatym nie naprawi niedostatków - mówiła Bernadette. - Ani nie zapewni manier. Małżeństwo musi trochę potrwać, żebyś zdołała poznać wszystkie wady męża. Szczęście w małżeństwie to głównie kwestia przypadku.

Bernadette najwyraźniej nie rozumiała, że mówią o Sylvii. Sądy Bernadette, trafne w innym układzie, do tego akurat nie przystawały; dobrze, że jeszcze nie ma Jocelyn, więc nic nie usłyszała.

Prudie podsunęła trop:

- Daniel to taki banał.

- Ktoś musi być banalny - odrzekła Bernadette - w przeciwnym razie co za sens miałyby to słowo?

Subtelność zawiodła Prudie donikąd. Więc Prudie wyrzekła się subtelności.

- Jednak to wstyd, ta sprawa Sylvii i Daniela.

- No tak. Ciężka zbrodnia - uśmiechnęła się Bernadette, a pod wpływem jej uśmiechu Prudie musiała się zastanowić: może Bernadette jednak rozumie, o czym tu wciąż mowa.

Zespół zabrał się do *Someone to Watch over Me*. Melodia ścisnęła Prudie za gardło. Matka tak przepadała za Gershwinem.

Obok Prudie usiadła elegancka czarna kobieta w etoli z nerek (w taki upał!), a Prudie musiała wyjaśnić, że cały stół jest zajęty.

- Właśnie widzę - odrzekła zimno kobieta. Wstała, a norki otarły się o włosy Prudie. Może zostać uznana za jakąś rasistkę, najzupełniej niesłusznie, każdy przyzna, zmartwiła się Prudie. Byłaby w siódmym niebie, siedząc przy jednym stole z tak elegancką kobietą. Gdzie, u diabła, podziewa się Jocelyn?

- Niełatwo wybrać człowieka, z którym się spędzi całe życie - powiedziała Bernadette. - Mnóstwo ludzi nie radzi sobie z tym za pierwszym podejściem. Mnie z pewnością za pierwszym razem nie wyszło.

Prudie nie zaskoczyła nowina, że Bernadette nieraz była zamężna. Czyż Allegra nie



narzekła, że Bernadette wciąż się powtarza? (Czyż Allegra wciąż tego nie powtarza?)

Allegra wyciągnęła się na łóżku w pokoju, w którym teraz Sylvia sypiała samotnie. Sylvia przymierzała sukienki, Allegra doradzała. Żadne z domowych lusterek nie obejmowało postaci od stóp do głów, na co radą był doradca. Allegra miała artystyczne oko. Kiedy Allegra była mała, Sylvia już ufała jej sądom.

- Masz zamiar w tym wyjść? - pytała Allegra, Sylvia zaś odpowiadała nie, nic podobnego, po czym wracała do pokoju, żeby się przebrać.

Spóźniały się już trochę, lecz Sylvia bała się tego całego wieczoru; wręcz miała ochotę się spóźnić. Napiłaby się wina, kieliszek lub więcej, miała jednak prowadzić. Tymczasem Allegra popijała schłodzone chardonnay i nawet nie zaczęła się ubierać. Potrafiła narzucić coś na siebie w dwie minuty i wyglądać tak, że dech zapiera. Sylvia nigdy nie miała dość patrzenia na Allegrę.

Było za gorąco, żeby podnieść żaluzje, ale Allegra oświadczyła, że źle widzi Sylvię przy opuszczonych. Promienie słoneczne pocięte listwami żaluzji na wstążki sprawiły, że ściana stała się pasiasta. Oświetlona była połowa rodzinnego zdjęcia, Daniel i Allegra jaśniejący i złośliwi, Sylvia i chłopcy w cieniu. W książce to by coś oznaczało. W książce należałoby się przejąć, że Sylvię i chłopców coś spotka.

- Nie ma co liczyć dziś wieczorem na kogoś w moim wieku - powiedziała Allegra.

Sylvia uznała, że Allegra pyta, chociaż intonacja na to nie wskazywała. Allegra zawsze tak pytała, jeśli sądziła, że zna odpowiedź.

- A Prudie? - przypomniała jej Sylvia.

Allegra spojrzała na Sylvię w sposób wypraktykowany już w wieku dziesięciu lat. Ale nie odezwała się; Prudie niedawno straciła matkę i z Prudie trzeba się obchodzić życzliwie. Niemniej, Allegra miała dość francuszczyzny Prudie. Allegra nie zagaduje po hiszpańsku ludzi, którzy mogą hiszpańskiego nie rozumieć. Kiedy mamy z rozmówcą wspólny język ojczysty, może warto z niego korzystać?

- Zresztą gdzie tu sens, tańczyć na takich imprezach? - spytała Allegra. - Nie mówię w imieniu lesbijek, ale nas wszystkich. W tańcu chodzi o to, z kim zatańczysz. Kto poprosi? Kto powie tak, jeżeli ty poprosisz? Komu będziesz musiała powiedzieć tak. W tańcu chodzi o ten niesamowity potencjał radości lub poczucie katastrofy. Odrzuć to wszystko - zostaw tylko kapelę na imprezie, podczas której mężowie tańczą z żonami - a z całego tańca zostanie tylko taniec.

- Nie pociąga cię taniec? - spytała Sylvia.

- Jedyne jako sport ekstremalny - odrzekła Allegra. - Po odjęciu strachu, nie bardzo.

Grigg zaproponował, że podwiezie Jocelyn do Sacramento; dla niego to wciąż nowe strony, tymczasem Jocelyn przy innych okazjach już odwiedzała Galerię. Jocelyn, która włożyła wieczorowe rzeczy, zaraz poczuła przyływ sympatii do Grigga. Właściwie nie zna Sylvii, ponadto mniej zarabia. Mimo to jest; słono płaci za bilet, w straszliwy letni upał wbija

się w szary garnitur, żeby z dobrego serca spędzić cały wieczór ze zgrają mężatek, lesbijek i starych bab. Co tu gadać, wielkoduszność!

Dokończyła makijaż i nie miała już nic do roboty; trzeba się jeszcze pozbyć psich kudłów, ale dopiero na dworze, w domu sięgać po szczotkę to nonsens. Jocelyn była gotowa do wyjazdu dokładnie w chwili, w której powinni wyruszyć.

Tymczasem Grigga nie było, a w ciągu dwudziestu minut czekania sympatia wobec Grigga zaczęła topnieć. Jocelyn była osobą punktualną. Tego wymaga, jak sądzi, zwykła uprzejmość. Spóźnić się to dać do zrozumienia, że mój czas jest cenniejszy od czasu osoby, która czeka.

Czekając, Jocelyn miała aż za wiele czasu na myślenie o zbliżającym się wieczorze. Nie widziała Daniela, od kiedy się wyprowadził. Rozglądając się po własnym domu, mogła zobaczyć aparaturę stereo, którą pomógł wybrać, suszarkę, którą pomógł zawiesić. Ileż razy tu wpadał przez te wszystkie lata, to z filmem, który wypożyczyli z Sylwią i uznali, że spodoba się Jocelyn, to z chińskimi daniami, kiedy wiedzieli, że wraca z wystawy zbyt skona, żeby coś zjeść, jeśli się jej nie zmusi. Kiedyś nabawiła się paskudnej grypy, a Daniel zjawił się i posprzątał łazienkę, bo podejrzewał, że rozmazana na lustrze pasta do zębów nie da jej spokoju i źle wpłynie na rekonwalescencję.

Jeżyć się na Daniela było tak strasznie trudno, że za jego plecami Jocelyn dawała sobie z tym spokój. Nikomu się nie przyzna, ale dziś będzie to trudne na równi dla niej i Sylvii. Jocelyn nie ma ochoty oglądać nowej przyjaciółki Daniela ani głębiej rozważać, dlaczego jest, jak jest. Była zła na Grigga, że się odwleka otrząśnięcie z tego wszystkiego.

Potem, kiedy się zjawił, nie usłyszała żadnych tłumaczeń ani przeprosin. Wyglądało właściwie na to, że Grigg wcale nie zdaje sobie sprawy ze spóźnienia. Sahara witała się i szalała. Porwała piłkę i pognała między krzesłami, przez sofę, zupełnie nieświadoma bolesnego zawodu, który ją czeka. Co odwróciło uwagę od zimniejszego niż zwykle „dzień dobry” Jocelyn.

- Ładna sukienka! - zauważył Grigg; wprawdzie nie ugłaskał Jocelyn, ale utrudnił napastliwą replikę.

- Idziemy - powiedziała. Starła się, żeby to nie zabrzmiało jak rozkaz ani skarga.

Dodała też prośbę, na wypadek gdyby zawiodły starania o właściwy ton. Ponieważ była to Jocelyn, niewtajemniczone ucho mogłoby wziąć jej prośbę za rozkaz.

- Dzisiaj powinienes zatańczyć z Sylwią - co oznaczało: Daniel musi zobaczyć, jak tańczysz z Sylwią. Jocelyn przerwała i przyjrzała się Griggowi uważniej niż dotąd. Był naprawdę przystojny, w ten jego nienatarczywy sposób. Nadaje się.

Niemniej, wygląda na tanecznego niedorajdę.

- Umiesz tańczyć? - spytała.

- Tak - odrzekł, co nic nie znaczyło, bo nie brak ludzi nie umiejących tańczyć, przekonanych, że umieją.

- Nie wyglądasz mi na tancerza. - Jocelyn nie lubiła dociskać, lecz sprawa była ważna.

- A na kogo wyglądam?

Któż może wiedzieć? Na piosenkarza country and western. Na profesora college'u. Na hydraulika. Na szpiega. Nie miał jakiegoś wyrazistego rysu.

- Na kogoś, kto czyta science fiction - zaryzykowała, lecz najwyraźniej była to chybiona odpowiedź, chociaż zaklinał się, że tak lubi te książki.

- Mam trzy starsze siostry. I umiem tańczyć - w głosie Grigga zabrzmiało najprawdziwsze pod słońcem rozdrażnienie.

*O tańcach na wsi*

*Powab tego wdzięcznego Płasu (wykonywanego dystyngowanym Sposobem) zmaczony bywa niepomernie i w niwecz idzie za sprawą poniekórych Błędów... Jedna lubo dwie Pary z Lekce Ważenia, czy Braku należytych Nauk sprawią, że Szyk cały rozbierze się i w Mętlik zmieni...*

Kellom Tomlinson, *Tancerz zawołany*

- W ubiegły weekend wybraliśmy się z Prudie na szkocki festyn na błoniach hrabstwa Yolo. Nabrała nagle chętki na Szkocję. Byłaś tam kiedyś? - zapytał Dean Bernadette.

- Nie na festynie - odrzekła. - Ale na błoniach i owszem. Kiedy byłam młoda, co lato tańczyłam wszędzie, jak stan długi i szeroki. Rzecz jasna, tamte festyniki po hrabstwach to nie to, co dziś. Kieszonkowego formatu, maleństwa. - Zaczekała ciekawa, czy ktoś chce słuchać dalej. Nikt nie zachęcał. Nikt też nie zmienił tematu. Dean uśmiechał się do niej. Prudie mieszała drinka łądygą selera. Z takich danych trudno coś wyczytać.

Oboje, Dean i Prudie są jednak tacy młodzi. Jeśli trzeba dziś wieczór opowiedzieć coś ciekawego, Bernadette już widzi, że kolej na nią.

- Byłam w zespole, który się nazywał Pięć Papryczek - podjęła opowieść. - Moja matka uważała stepowanie za bilet do Hollywood. Wiązała ze mną nie lada ambicje. Znacznie przedawnione. Już wówczas, z końcem lat czterdziestych, początkiem pięćdziesiątych, stepowanie to było, jak dzisiaj mówią szczeniaki? Siara?

- Tak mówią - przytaknęła Prudie. Błądą twarz zmroziło brzmienie słowa „matka”. Bernadette tak było żal Prudie.

- Jak ci się układało z matką? Dobrze? - spytała Prudie.

- Wolałam ojca - odrzekła Bernadette. - Matka była zołzowata.

Mieszkaliśmy wówczas w Torrance, więc niedaleko Hollywood, chociaż z Torrance do Hollywood jest dziś jeszcze bliżej, bo inne drogi, inne auta. Na stepowanie i taniec chodziłam do panny Olive. Byłam u niej najlepsza, co niewiele znaczyło, ale natchnęło matkę. Tato był dentystą, na tyłach domu prowadził gabinet, gdzie kiedyś miał na fotelu kogoś, kto zna kogoś, kto z kolei zna kogoś w wytwórni filmowej. Matka naciskała, parła, dąsała się, piliła, aż tato gdzieś nas przedstawił komuś z tego łańcucha ktosiów-kogosiów.

Matka zapłaciła pannie Olive za choreografię „Dziewczyneczki z Holandii”, numeru

ułożonego specjalnie dla mnie. Miałam na głowie ten koronkowy czepek, spod którego zerkałam, i musiałam się nauczyć stepować w tych wielkich drewniakach. No i pojechaliśmy. A potem nie zatańczyłam, ani taktu. Ten hollywoodzki gnojek ledwie rzucił na mnie okiem. „Tu trzeba ładniejszych”, powiedział i to już był koniec, wszystko, wyjąwszy uwagę ojca, że dał się upokorzyć nie wiadomo po co, do czego więcej nie dopuści.

Szczerze mówiąc, nie przejęłam się. Nigdy mi nie brakowało pewności siebie, a typ ze studia wydał się obrzydliwy. Zraniło to tylko matkę. Zapowiedziała, że już nigdy nie pójdziemy na żaden film wyprodukowany u tego gościa, więc nigdy nie zobaczyłam *Świątecznej parady*\*, dopiero później, w telewizji, chociaż wszyscy opowiadali, jacy to nadzwyczajni są razem na ekranie Judy Garland i Fred Astaire.

Tymczasem panna Olive opowiedziała matce o takim zespole Pięć Papryczek, że szuka do niego zastępstwa za jedną z dziewczyn. Na przesłuchaniu wystąpiłam w tych idiotycznych sabotach, bo matka, skoro zapłaciła, chciała, żeby inwestycja się zwróciła. W tych cholernych drewniakach nie ma mowy o obrocie na piętach, chyba że ktoś chce się zabić. Mimo to przyjęto mnie do Papryczek, bo idealnie pasowałam wzrostem.

Stepujące Papryczki dobrane były w schodek. Mnie wzięto na pierwszy, to znaczy, że byłam najwyższa. Miałam jedenaście lat, a dziewczynka na piątym tylko pięć.

Z grupą w schodek jest tak, że najwięcej uwagi zwraca najmniejsza, bo po prostu jest mała. Najmniejsza to takie oczko w głowie, niemal zawsze zepsute. Pierwszy schodek też zwraca uwagę, jeśli dziewczyna jest ładna; co do mnie, to mimo odzywek pewnych ktosiów, było na co popatrzeć.

\* *Musical Easter Parade*; w odniesieniu do piosenek przyjęła się też polska nazwa *Parada wielkanocna*.

Występy na pierwszym schodku naprawdę zrobiły ze mnie lepszą dziewczynę. Bardziej uprzejmą, tolerancyjną. Bycie na widoku wyszło mi na dobre. Długo nie potrwało. Nie rosłam, za to urosła ta na drugim schodku, więc następnego lata zamieniłyśmy się miejscami. Dowiedziałam się wtedy, że dziewczęta pomiędzy pierwszym schodkiem a ostatnim, no cóż, to takie dziewczęta pomiędzy.

Najwyższa z dziewcząt pomiędzy jest szczególnie pomiędzy. Na pierwszym schodku byłam najładniejszą Papryczką, a potem, po zamianie, najładniejsza znów była ta na pierwszym schodku. Zabawne, ale tak to działa.

Naszym menedżerem była kobieta o tyrańskich zapędach, do której musiałyśmy się zwracać madame Dubois. Z takim właśnie akcentem na drugiej zgłosce, *madame*. Między sobą nazywałyśmy ją całkiem inaczej. Madame Dubois była naszym menedżerem, naszym mikromenedżerem. Uczyła makijażu, pakowania walizek, jakie czytać książki, co jeść, z kim się przyjaźnić. Nie było sprawy dostatecznie dużej ani dostatecznie małej, żeby ją można

powierzyć naszym niezdarnym łapskom. Po każdym występie wręczała nam notatki, chociaż nigdy w życiu nie tańczyła. W notatkach dla mnie wciąż pisała, jak mam ćwiczyć.

- Nigdy nie będziesz naprawdę dobra, jeśli solidnie nie poćwiczysz - mawiała. I miała rację. Nigdy solidnie nie poćwoczyłam i nigdy nie byłam naprawdę dobra.

Organizacją występów zajmował się tłuścioch nazwiskiem Lloyd Hucksley. Wojnę spędził jako sierżant intendentury, a teraz z wywieszonym jęzorem robił na wyścigi wszystko, co strzeliło do głowy madame Dubois.

Tańczyłam z Papryczkami osiem lat. Inne przychodziły i odchodziły. Przez parę sezonów moją najlepszą przyjaciółką była dziewczyna na trzecim schodku, Mattie Murphy. Ale w pewnym momencie zaczęła rosnać, ja nie, a potem Mattie przestała rosnać, więc stałyśmy się takie same. Wiedziałyśmy, że jedna musi odejść. Okropne uczucie, wiedzieć, co nadchodzi, i nie móc, cholera jasna, nic zrobić. Mattie lepiej tańczyła, ja lepiej wyglądałam. Wiedziałam już, co będzie. Poprosiłam matkę, żeby pozwoliła mi odejść, wtedy nie będzie musiała odchodzić Mattie. No i dlatego, że kiedy już byłam trochę starsza, Lloyd Hucksley robił się wobec mnie coraz słodszy.

Och, mogłam mieć powody, żeby odejść, ale matka nie chciała o niczym słyszeć. Co stanie się z moją karierą filmową, jeśli zabiorę swoje zabawki i rzucę Papryczki? Kiedy Mattie i Lloyd się pobrali, stanęłam jak słup soli.

Po odejściu Mattie wylądowałam na trzecim schodku. Pomyślicie, że poznałam mnóstwo ludzi, bo co tu gadać, jeździłyśmy sporo. Pomyślicie, że takie życie naprawdę emocjonuje. Bylibyście zdumieni, że festyny w hrabstwach objeżdża w zasadzie ta sama paka. Wszędzie te same twarze, wciąż te same rozmowy. Zawsze mnie pociągała większa różnorodność. To wtedy wetknęłam nos w książki.

Matka była zrozpaczona. Kazała mi występować wszędzie, na rodzinnych imprezach, na przyjęciach. Kazała mi nawet tańczyć przed pacjentami taty, ponieważ, jak mówiła, może ten lub ów okaże się nagle kimś, nigdy nie wiadomo. Wyobrażacie sobie? Idziecie wyrwać ząb, a tu czeka was numer z cylindrem i laseczką? Dzięki Bogu, tato w końcu to zlikwidował. Chociaż niektórzy pacjenci patrzyli przychylnym okiem. Ludzie zdołają łyknąć wszystko, byle odwlec wyrwanie zęba.

Sylvia stała w garderobie i spoglądała na pusty pręt, na którym kiedyś wisiały koszule i garnitury Daniela. Może już nadszedł czas, żeby trochę rozgęścić własne rzeczy, nacieszyć się większą przestrzenią.

- Myślę o Charlotte - powiedziała Allegra. Wciąż rozpierała się na łóżku w sypialni. - W *Dumie i uprzedzeniu* to ta przyjaciółka Elżbiety, która wychodzi za nudnego pana Collinsa. Zastanawiam się, dlaczego za niego wyszła.

- O tak - odrzekła Sylvia. - Dręczący przypadek Charlotty Collins.

Jedynym znakiem, który Daniel pozostawił w tej garderobie, były nagromadzone przez lata papiery: spięte oświadczenia podatkowe, gwarancje na różne urządzenia, zaświadczenia

o niezatrudnieniu atmosfery, kwity spłat kredytu hipotecznego. A na najwyższej półce listy, pisane latem 1970 roku, kiedy Daniel z przyjacielem z college'u wybrali się autem w trasę na Wschodnie Wybrzeże i z powrotem. Sylvia powinna te listy zdjąć jak najszybciej i przeczytać na nowo. W ciągu trzydziestu dwóch lat małżeństwa bardzo niewiele czasu spędzili osobno. Już nic nie pamięta, co do siebie pisali. Może w tych starych listach Sylvia znajdzie coś pożytecznego, trop prowadzący ku temu, co stało się dziś i dlaczego się stało. Jakieś wskazówki na życie w samotności.

Jakieś wskazówki na życie w samotności, aż Daniel wróci. Do tego wieczoru Sylvia potrafiła się zachowywać tak, jakby Daniel gdzieś wyjechał, wybrał się w kolejną podróż. Nawet nie próbowała czegoś odgrywać, samo się odgrywało. Dopiero dziś wieczorem, kiedy Sylvia po raz pierwszy zobaczy Daniela z Pam - Allegra już ją poznała, Sylvia nie. - dopiero dzisiaj Daniel odejdzie naprawdę.

Przybrała różną minę i wróciła do sypialni.

- Przepadam za Charlottą - powiedziała Sylvia. - Mogę ją jeść łyżkami. A Jocelyn nie może. Jocelyn ma bardzo wysokie wymagania. Żywi pogardę dla ludzi usatkwanych. Zauważ, Jocelyn nie jest i nigdy nie była mężatką. A Charlotta nie miała wyboru. Widzi dla siebie jedną tylko okazję i sprawia, że okazja nie przepada. Dla mnie to wzruszające.

- Seksowna - powiedziała Allegra. Miała na myśli sukienkę Sylvii z Ignającą do ciała cienkiej dzianiny, z głębokim dekoltem.

- Za duży upał na dzianinę - odrzekła Sylvia. Nie była pewna, czy chce akurat wyglądać seksownie. Nie chciała, żeby Daniel pomyślał, że Sylvia wychodzi z siebie, że ją to bardzo obeszło. Zrzuciła sukienkę i wróciła do garderoby.

- Czy Charlotta naprawdę miała mniejszy wybór niż Elżbieta? - spytała Allegra. - Elżbieta przekroczyła dwudziestkę. A jeszcze nikt jej się nie oświadczył. Nie ma pieniędzy i żyje w małym, ciasnym świątku. Lecz Elżbieta nie zadowoliliby się Collinsem. Dlaczego zadowala się Charlottą?

- Elżbieta jest ładna. Jak świat światem, to zasadnicza różnica. - Z pomocą zamka błyskawicznego Sylvia wpasowała się w ciasną lnianą okrywę i znowu wyszła z garderoby. - Jak myślisz? Za bardzo sportowa?

- Taką zawsze można włożyć - powiedziała Allegra. - Dobierz buty. Biżuterię. Trzeba ją przepasować.

Za duży upał na prasowanie. Sylvia zdjęła sukienkę.

- Naprawdę nie daje mi spokoju myśl, że Austen nie potrafiła wymyślić sensownego mężczyzny, który doceni Charlotte. Siostry Brontë opowiedziałyby tę historię całkiem inaczej.

- Charlotta o Charlotte - powiedziała Allegra. - Dla mnie zawsze najlepsze będą siostry Brontë. Ale to cała ja; lubię książkę z burzami. Właśnie pomyślałam, że Charlotta Lucas może być lesbijką. Pamiętasz, kiedy mówi, że nie jest romantyczką, jak Elżbieta?

Może o to jej chodzi. Może właśnie przez to nie widzi sensu w czekaniu na lepszą okazję? - Allegra przewróciła się na plecy i oparła odwrócony kieliszek o twarz, żeby wysączyć go do ostatka. Przez zakrzywione szkło Sylvia widziała nos Allegrzy. Nawet w czymś takim Allegrze było do twarzy.

- Chodzi ci o to, że Austen ją uważa za lesbijkę? - spytała Sylvia. - Czy o to, że jest lesbijką, lecz Austen nic o tym nie wie?

Sylvii bardziej się podobało to drugie. Jest coś pociągającego w postaci prowadzącej potajemne życie, o którym autor nie ma pojęcia. Która za plecami autora wymyka się, żeby poszukać sobie miłości po swojemu. A potem pokazuje się i z najniewinniejszą miną recytuje kolejny kawałek dialogu. Gdyby Sylvia była postacią z książki, chciałaby być właśnie taka.

Ale nie była.

Grigg i Jocelyn wlekli się za traktorem drogą do autostrady. Grigg parę razy wychylił się zza traktora, ale zawsze się potem chował, chociaż mógł z powodzeniem wyprzedzić, gdyby porządnie dodał gazu. Tak by zrobiła Jocelyn. Klimatyzacja w wozie Grigga słabo sobie radziła z latem Doliny Kalifornijskiej. Jocelyn czuła, że makijaż rozpływa się i ścieka wprost na stójkę.

Deskę rozdzielczą grubo powlekał kurz, pod nogami Jocelyn znalazła okazałą kolekcję kubków, opakowań po różnych przekąskach i po gotowych daniach. Jocelyn nie zaproponowała jazdy swoim samochodem, bo już minęło pełnych pięć dni od ostatniego odkurzania. Okno po stronie pasażera było zapaskudzone psią śliną i odciskami nosa. Nie chciała prosić Grigga, ubranego jak należy od stóp do głów, żeby się zmagął z psimi kudłami i brudem. Grigg najwyraźniej nie miał takich skrupułów.

- Powiedz... - odezwał się Grigg. Już dotoczyli się do autostrady, traktor zniknął za tylną szybą w chmurze śmierdzących spalin. W Sacramento czystość powietrza to dno w skali kraju.

Grigg ściśle przestrzegał ograniczeń; Jocelyn widziała prędkościomierz. Ze znanych jej kierowców tak prowadził tylko Daniel. On jeden.

- Powiedz - powtórzył Grigg - czy w ogóle zajrzałaś do książek, które ci kupiłem? Do tych Le Guin?

- Jeszcze nie. - Jocelyn zakłóło sumienie. Poczucie winy nie poprawiło jej humoru. Podarowanie książek staje się aktem aroganckim i natrętnym, jeżeli potem pada pytanie „jak ci się podobają?” Jocelyn podarowała wiele, bardzo wiele książek i nigdy nikogo nie pytała, czy się spodobały.

Dlaczego ma się tłumaczyć z nieprzeczytania dwóch książek, o które nie prosiła? Naprawdę, nie musi czytać science fiction, żeby wiedzieć, co myśleć o tym gatunku. Widziała *Gwiezdne wojny*. Kiedy Grigg się wreszcie odchrzani od tych cholernych podarowanych książek?

Trzeba uczciwie przyznać, przypomniała sobie, że Grigg napomknął o tych książkach

pierwszy raz. Ale przy innych okazjach dawał odczuć, że nie napomyka. Więc po co się tłumaczyć; Jocelyn ma czyste sumienie, chociaż zakrawa na to, że została zmuszona do obrony. Próbowwała bronić się tak, żeby to nie zabrzmiało jak obrona. Spojrzała prosto na Grigga, on zaś w odpowiedzi też patrzył wprost na nią. Nie spodziewała się tego; nie spodziewała się, że poprzez jego oczy spojrzy wprost - no właśnie, w co? Poczła nagły skurcz w piersiach; fala gorąca rozlała się jej nagle po szyi i twarzy. Tego skurczu i tej fali gorąca nie poczuła od bardzo dawna. Nie zamierza teraz tego doznawać. O czym mówili?

- Lubię książki o prawdziwych ludziach - powiedziała Jocelyn.

- Nie łapię różnicy. - Grigg znowu patrzył na drogę. - Elżbieta Bennet jest osobą prawdziwą, a ludzie z science fiction już nie?

- W science fiction występują ludzie, ale te książki nie są o ludziach. Prawdziwi ludzie są naprawdę skomplikowani.

- I takich pełno jest w science fiction - powiedział Grigg. - Ciekaw jestem, co powiesz, kiedy coś przeczytasz.

Zanim Grigg skończył to zdanie, Jocelyn zdołała dojść do siebie. Grigg mówi tonem niby neutralnym, ale w istocie jakże niegrzecznym. Gdyby Grigg nie był taki niemiły, Jocelyn pokazałaby mu zjazd z autostrady, z którego czasem korzysta, biorąc psy, żeby się wybiegały. Droga w przeciwną stronę prowadzi do ptasiego rajku, po którym włączą w chłodniejszej porze też jest czystą frajdą. Opowiedziałaby mu, jak te brunatne suche pola pokrywa w zimie woda. Człowiek patrzy tuż nad równą jak stół powierzchnią wody i w dali widzi tylko korony drzew. Powiedziała mu, że tylko ludzie urodzeni tutaj mogą pokochać letni krajobraz Doliny Kalifornijskiej, zeschnięte martwe trawy, wyprażone, zbrązowiałe dęby. Może przyłapałaby się na opowiedzeniu czegoś poetycznego, chociaż Bóg świadkiem, że nic dobrego z tego by nie wynikło. I teraz nie wyniknie, nie ma obawy.

Z lewej wyprzedziła ich ciężarówka z pomidorami. Jocelyn poczuła nawet zapach. Parę pomidorów potoczyło się i spadło na pobocze, kiedy ciężarówka gwałtownie wróciła przed nimi na prawy pas. Jak to możliwe, żeby jechać wolniej od ciężarówki z warzywami?

Grigg włączył radio; Jocelyn była za stara, żeby znać i lubić wyśpiewującą grupę. Grigg nie zapytał, czy Jocelyn podoba się muzyka, czy ściszyć albo podkręcić. A potem, zanim się zorientowała, skręcił w zjazd Jefferson Boulevard/Downtown.

- Szybciej jest przez I-5 - powiedziała, ale było za późno.

- Lubię Tower Bridge - powiedział Grigg. - Lubię popatrzeć na rzekę - prawdę mówiąc, widoczną tylko z mostu, zresztą nie najlepiej. Mógł też powiedzieć: lubię tkwić w korku przed meczem bejsbolowym. Lubię się pętać bez końca po bocznych drogach i postać sobie pod światłami. Lubię się spóźnić ile wlezie.

Czy podwiezienie nie powinno na tym polegać, że Jocelyn powie Griggowi którą drogę, a on tak pojedzie? Tego wieczoru Jocelyn nie zachwyła się Griggem.

Nie zalicza się i nigdy nie zaliczała do tych głupich bab, które potrafią nagle polubić



mężczyznę tylko dlatego, że go nie lubiły. Dzięki Bogu.

Samochód zadygotał na moście, przez co w głosie Grigga pojawiła się osobliwa wibracja. Jak z filmów rysunkowych, tych z młodym Elmerem Fuddem.

- Ciekaw jestem, który pisarz zje z nami kolację? Mam nadzieję, że się obędzie bez wdawania w zbyt specjalistyczne historie.

Na wprost przed nimi, na tle złocistego o zmierzchu nieba, pojawiła się w dali kopuła Kapitolu. Grigg znowu stanął pod czerwonymi światłami, chociaż mógł jeszcze przeskoczyć na żółtych.

- Zanim się dotoczymy, będzie po wszystkim - powiedziała Jocelyn.

Zabłyły zielone. Grigg zmieniał biegi powoli, samochód prychnął zirytowany. Przejechali koło fontanny o kształcie dmuchawca; bez wody wyglądała smętnie, nad metalowymi szpikulcami kłębiło się rozgrzane powietrze. Przy K Street koło centrum handlowego samochód trzykroć, raz po raz, dziwnie zakaszał. Potem zgasł.

*Gdyby nie w Takt zaczęli, tysiąc do jednego stawić można, iż dojść do Ładu w Tańcu nie zdołają. Z drugiej strony, gdyby znaczącego w Melodii miejsca doczekali, i Takt na nowo pochwycili, z Chwałą i Brawami zakończyć Taniec mogą.*

Kellom Tomlinson, *Tancerz zawołany*

Griggowi skończyło się paliwo. Udało mu się tylko dotoczyć do krawężnika tak, że od biedy samochód mógł uchodzić za zaparkowany. Jocelyn miała kartę AAA, zostawiła ją jednak w torebce noszonej na co dzień. Zamiast niej miała kopertkę, w której niewiele się mieści. Nie zabrała też komórki; gdyby ją miała, zadzwoniłaby pół godziny temu do Sylvii, że się spóźniła. Biedna Sylvia, zastanawia się, gdzie są, dlaczego Jocelyn wydała ją na pastwę Daniela i Pam, zupełnie samą. Sylvia jeszcze nigdy nie wyszła z domu tak kiepsko przygotowana na stawienie czoła katastrofie.

Grigg nie miał karty AAA.

- Czy jest tu gdzieś stacja benzynowa? - spytał.

- W promieniu paru mil nie.

- O Boże, przepraszam - powiedział. Odpiął pas. - Może poczekaś tutaj. Znajdę jakiś telefon.

- Zajdę na piechotę - odrzekła Jocelyn. - Tymczasem załatw paliwo. - Swego postanowienia nie uznała za nierozsądne, a gdyby nawet, to trudno. Była dumna z własnego spokoju. Musiała czekać, była obrażana, wreszcie pozostawiona sobie. Wszystko to zniosła z nieskazitelnym, lodowatym opanowaniem. Czy to nie powód do dumy?

- To daleko?

- Dziesięć, dwanaście przecznic.

Po drugiej stronie ulicy stał włóczęga. W koszulce z napisem Bay to Breakers, klasyce gatunku, z rybą podobną do buta. Jocelyn miała taką samą, lecz na koszuli włóczęgi gruba warstwa brudu tworzyła Test Rorschacha; do tego facet zawiązał na bicepsie kolorową

chustkę, jak jakiś wzorzysty znak żałoby. Z wielkim zainteresowaniem przyglądał się Griggowi i Jocelyn. Wykrzykiwał do nich coś, czego Jocelyn nie umiała rozszyfrować. Z trudem mogła to skojarzyć ze słowami „chleb prawdziwy”.

- Za duży upał - powiedział Grigg. - I kawał drogi. Zadzwońię po taksówkę. Tak mi przykro. W zeszłym tygodniu oddałem samochód do warsztatu, bo wariował wskaźnik paliwa. Widocznie nie naprawili.

- Nieważne. Po prostu chcę być z Sylwią. Spacer mi nie zaszkodzi.

- Chleb prawdziwy - coraz bardziej natarczywie wykrzykiwał facet po drugiej stronie.

- Tu nie zostanę - powiedziała Jocelyn.

Dziesięć czy dwanaście przecznic; co za problem dla mężczyzny w butach na płaskim obcasie? Grigg zapewnił, że też się przejdzie. Ruszyli. Nie była to najlepsza dzielnica miasta. Rażnym krokiem mijali przecznicę za przecznicą, lawirowali między puszkami, papierami, okazałą plamą wymiocin. Ocierając twarz, Jocelyn wtarła sobie tusz w oczy. Ależ musi wyglądać! Mokre od potu włosy przywarły do skroni. Spódnica klei się do nóg.

Tymczasem Grigg wyglądał pierwszorzędnie. Bez marynarki - została w samochodzie - mimo to jak spod igły. Najbardziej irytowało Jocelyn, że spała cały wieczór. To także mogło jakoś zaimponować.

- Co myślisz o Sylvii? - spytała.

- Wydaje się bardzo miła - odrzekł Grigg. - Czemu pytasz?

- Miła to mało powiedziane. Jest bystra i zabawna. Najuprzejmiej pod słońcem.

- Sylvia kocha Daniela - powiedział Grigg, jakby wiedział, do czego pije Jocelyn; rzecz jasna coś knuła, Grigg zaś domyślał się, co.

- Ale nic jej z tego nie przyjdzie.

- Zauważ, że nie ty powinnaś to mówić. Nie ty powinnaś decydować, kogo kocha. Lepiej przestań na nią wpływać i pozwól, żeby sama sobie wypracowała szczęście.

Idąca za nim Jocelyn zdrętwiała.

- Nazywasz to wpływaniem? - Głos Jocelyn z tym przydźwiękiem niedowierzania mógł zabić. Zawarła się w nim wściekłość z powodu zaliczenia na piechotę - piętnastu? szesnastu? - siedemnastu jak dotąd przecznic w skwarze Doliny, tylko dlatego, że komuś się nie chciało napełnić baku; i oto trzymanie formy w tej sytuacji zostaje nagrodzone obelgą. - Życzenie szczęścia przyjaciółom? Co do Sylvii, to mam nadzieję, że nie przestanę wpływać - powiedziała. - I nikomu nie będę się z tego tłumaczyć.

- Nie masz nic przeciw temu, że dziś nie pójde? - spytała Allegra.

Z Sylvii uszło powietrze. Oczywiście, że mam, powiedziała, ale nie na głos; przecież wciąż jest Sylwią. Jak możesz być taka samolubna? Jak mogło ci przyjść do głowy wysłać mnie samą na spotkanie z twoim ojcem? Jak możesz nie wiedzieć, ile mnie kosztuje ten wieczór? (Po co kupiłyśmy ci bilet za sto dwadzieścia dolarów?) Proszę, chodź, chodź.

Zanim Sylvii udało się coś wykrztusić, zadzwonił telefon. Uznała, że to Jocelyn, która

chce się dowiedzieć, co się z nimi dzieje, ale słuchawkę podniosła Allegra, sprawdziła na wyświetlaczu, kto dzwoni, i odłożyła. Odwróciła się, żeby Sylvia nie mogła zobaczyć jej twarzy.

- „Tu dom Hunterów” - rozległ się głos Daniela. Sylvia nie zmieniła powitania w poczcie głosowej, bo uważała, że lepiej, kiedy obcych wita mężczyzna. Zlekceważyła możliwość, że głos Daniela zrobi wrażenie i na niej; przecież ludzie nagrywają wiadomości, pomyślała, kiedy jej nie ma w domu, więc nic nie usłyszy. - „Nie ma nas w domu. Ale wiesz, co zrobić”.

- Allegra? Musimy porozmawiać. Kiedy przyjdiesz pogadać? - Sylvia rozpoznała Corinne. Głos był smutny, a Corinne, niewykluczone, pijana. - Spotkałam dzisiaj Paco. Powiedział, że zrobiłam dwie niewybaczalne rzeczy. Powinnaś mi to sama powiedzieć. Dać szansę obrony. Nawet ty się zgodzisz, myślę, że to jedyne uczciwe postawienie sprawy.

Najwyraźniej Corinne nabierała rozpędu. Niedawno Sylvia wykasowała taśmę, więc nie brakowało miejsca na nagranie. Czuła się nieswojo, słuchając tych intymności; Allegra, taka otwarta co do zasady swego życia seksualnego, była bardzo skryta, kiedy chodzi o szczegóły.

Może trzeba pogadać z Danielem. Sylvia chciałaby spytać, czy Daniel wie, co porabia Corinne. Sylvia potrzebuje pomocy Daniela, żeby ułożyć się z Allegrą. Potrzebuje pomocy Allegry, żeby ułożyć się z Danielem. Tymczasem w nikim pomocy, w nikim oparcia.

Sylvia zabrała kieliszek Allegry i wyniosła do kuchni. Stała nad zlewem w samej halce i czekała, aż Corinne skończy. Tutaj też było słyhać: głos Corinne szemrał jak odległy strumyk, nie można było rozróżnić słów, tylko falowanie frazy. Sylvia umyła i wytarła kieliszek, ręcznie, jak zawsze uczyła Jocelyn.

Wzbierał w niej coraz większy gniew na Allegrę. Wszystko jedno, co zaszło, co zrobiła Corinne, Allegra była tą, która odeszła. Nie porzuca się kogoś, kogo się kocha. Kiedy ktoś taki zwierza się z głębi swego pijanego serca automatycznej sekretarce, nie siedzi się bez słowa, jakby się go nie słyszało. Kochający się ludzie znaleźli pewien sposób, żeby być razem.

Pomyślała o zmizerniałej twarzy Allegry i zaczerwienionych oczach. Pomyślała, jak trudno Allegrze położyć się wieczorem do łóżka; ileż razy Sylvia budząc się o północy, o pierwszej, drugiej, słyszała odtwarzanie filmu na DVD. Allegra mówiła nawet o ściągnięciu pirackiej kopii *Drużyny pierścienia*, chociaż z zasady potępia piractwo, a kiedy oglądały film w kinie, wciąż narzekała na rolę Gimlego, zagraną pod publiczność, na tani rehot.

Sylvia pomyślała, że wszyscy rodzice pragną dla swoich dzieci życia niemożliwego: o szczęśliwym początku, szczęśliwym środku i szczęśliwym zakończeniu. Zero perypetii. Jacyż nieciekawi ludzie byliby produktem tych pragnień. Allegra zawsze była interesująca, tego rysu nigdy jej nie zabrakło. Czas, żeby była szczęśliwa.

Jak śmiesz, powiedziała, wciąż stojąc w kuchni, do Allegry w sypialni. Jak śmiesz tak

ranić moją córkę. W tej chwili podnieś słuchawkę, moja panno, i daj się przeprosić Corinne. Pozwól jej odpokutować, co tam ma do odpokutowania, te dwie niewybaczalne rzeczy.

Pozwól Allegrze być teraz szczęśliwą. Kochaną.

Kapela zarządziła przerwę. Przy stole Bernadette, Deana i Prudie zjawiał się pisarz nazwiskiem Mo Bellington. Pan Bellington miał nadmiar włosów i niedostatek szyi. Za to ładne zęby. Bernadette zwracała uwagę na zęby. Wszyscy zwracają, chociaż nie wszyscy o tym wiedzą. Jej zębami zajmował się ojciec, z takim skutkiem, że na razie Bernadette, dobrze po pięćdziesiątce, nie straciła nawet plomby.

Z materiałów promocyjnych na stole wynikało, że Mo Bellington pisuje kryminały, których akcja rozgrywa się w maleńkim miasteczku Knight s Landing. Detektywem był cyniczny farmer, plantator buraków cukrowych, którego glebogryzarka nieustrudzenie wydostawała spod ziemi a to kość udową, a to kostkę ręki. Na stole leżała też pocztówka z reprodukcją okłady najnowszej książki Bellingtona. Tytuł brzmiał *Ostatnie żniwa*. Dwoma „t” były noże, z których kapłała krew wprost na rozpościerające się w dole pole uprawne. Bernadette niemal na pewno już widziała takie okładki. Tytuł też się nie zalecał oryginalnością. Grafika nie była szczególnie odkrywczą, niemniej Bernadette doceniła stosunkowo znośną robotę.

- Podejrzewam, że to moja grupa - powiedział pan Bellington, wyraźnie zawiedziony widokiem pustych krzeseł. Znad sąsiedniego stołu dobiegały wybuchy śmiechu. Przy innym ktoś stuknął widelcem w kieliszek, szykując się do toastu. Nie da się ukryć, gdzie indziej towarzystwo było bardziej ożywione.

- Przybędzie nas - zapewniła Bernadette. - Nie mam pojęcia, gdzie się podziewają. Jocelyn to najpункtualniejsza kobieta na świecie. Nie słyszałam, żeby się spóźniła. Sylvia to już co innego. I Allegra. Szkoda mówić!

Pan Bellington nic nie rzekł, ani uspokojony, ani rozbawiony. Bardzo młody jak na kogoś, kto pisze książki. Bernadette mogłaby palnąć, że pan Bellington za krótko żyje, żeby mieć wiele do powiedzenia. Chyba rysuje niepewną kreską swego hodowcę buraków.

Obszedł stół, żeby usiąść koło Deana. W ten sposób miał za plecami resztę sali. Bernadette mogłaby zauważyć, że pisarz winien się wykazywać żyłką obserwacyjną i patrzeć, co się dzieje.

Na wolnym krześle koło Bernadette siedziałby tyłem do jednej z tych ogromnych kolumn i mógłby patrzeć na parkiet taneczny i na podium, i na orkiestrę. Bernadette widziała trzy stoły. Tymczasem sama stała się niewidzialna, zwłaszcza dla młodszych mężczyzn. To się zaczęło po czterdziestce, więc miała czas się przyzwyczaić. W zamian stała się osobą chętniej słuchaną.

- Cała ta impreza kojarzy mi się z Johnem, pierwszym mężem - powiedziała. - Był politykiem, więc już wiem swoje o zbieraniu funduszy! Uczesz się, kochanie, a tu masz listę zdań, które możesz wygłosić, jeśli ktoś cię zagadnie:

Pierwsze: Cóż za urocza impreza!

Drugie: Prawda, że podają tu pyszności?

Trzecie: Czy te kwiaty nie są śliczne?

Czwarte: Czy mój mąż nie jest najlepszym kandydatem na to stanowisko? Teraz uciszmy się i posłuchajmy, co powie! Będę się uśmiechać jak idiotka w ciągu całej przemowy.

Nawet bez muzyki w sali panował taki hałas, że trudno było rozmawiać, zwłaszcza przy dużym stole. Bernadette spostrzegła, że pan Bellington ani myśli próbować. Odezwał się do Deana:

- Ma pan jakieś pytania dotyczące moich książek? Po to tu jestem - oświadczył. - Treść? Proces twórczy? Skąd czerpię pomysły? Przymiotnik „ostatnie” w *Ostatnich zniwach* to taka gra słów. „Ostatnie” jako coś finalnego i „ostatnie” jako najświeższe. Może pan pytać o wszystko.

Znać było w tych słowach jakieś puszenie się, jakieś zadzieranie nosa. Ledwie Bernadette go poznała, a już jej się coraz mniej podobał. Zjawilo się pierwsze danie, doskonała zupa grzybowa, może z kropelką sherry.

- Coś pysznego - powiedział pan Bellington. - Pierwszorzędne.

Opinię zaadresował do Bernadette. O co chodzi? Myśli, że to ona gotowała zupę?

- Czy pan wielbi Jane Austen? - zapytała. Na to pytanie była tylko jedna odpowiedź. Miło będzie pomyśleć, że jakiś piszący mężczyzna uzna ją za prawidłową. Mówiła głośno, żeby nie ryzykować zignorowania, a potem na wszelki wypadek powtórzyła: - Co pan sądzi o Jane Austen, panie Bellington?

- Marketingowo świetna. Zazdroszczę jej tych umów z filmowcami. Proszę mówić do mnie Mo.

- A która z jej książek najbardziej ci się podoba? - Prudie uśmiechała się w ów niefortunny sposób, który ją przyprawiał o zanik warg.

- Podobał mi się film z Elizabeth Taylor.

Ręka Prudie drżała. Bernadette dostrzegła chybotanie w szklaneczce z krwawą Mary.

- Więc twoja ulubiona Jane Austen - wypytywała Prudie - to *Wielka nagroda*?

Prudie nie cofała się przed podłością. Bernadette postanowiła ją powstrzymać. Co żywo. Niemniej, miło było patrzeć, jak Prudie staje do walki. Niespełna pięć minut temu miała wymalowaną na twarzy śmierć matki, jak któraś z tych zdruzgotanych kobiet, tak lubianych przez Picassa. A teraz wydawała się niebezpieczna. Teraz to Picasso musiałby się tłumaczyć, przypomnieć wcześniejszy związek, otrąbić odwrót, wycofać się z budynku.

Dean pośpieszył z pomocą i zakaszlał. W kaszelku kryło się gdzieś słowo „perswazja”. Dean rzucał Mo linę ratunkową.

Ten jednak wolał iść na dno.

- Prawdę mówiąc, nic nie czytałem Jane Austen. Raczej tkwię w kryminałach,

zagadkach, sprawach z wokandy.

Owszem, sprawiało to zawód, lecz nie zasługiwało na potępienie. Oblanie egzaminu z jednej strony, z drugiej mężne przyznanie się. Gdybyż Mo na tym poprzestał.

- Niewiele czytam kobiecych kawałków - powiedział. - Lubię dobrą fabułę.

Prudie dopiła i z rozmachem odstawiała szklaneczkę.

- Austen umie skonstruować taką fabułę, że portki z dupy lecą - zapewniła. -

Bernadette, jeśli pamiętam, opowiadałaś o pierwszym mężu?

- Mogę zacząć od drugiego. Chyba że od następnego - odparła Bernadette. Do diabła z fabułą! Do diabła z Mo!

*Tancmistrz Wilson ubolewał nad pewnymi Figurami, jak „wiedź ku środkowi, a zaś potem od środka” lub „wiedź ku ścianie, a zaś z powrotem”, mniemał bowiem, iż wydadzą się kanciaste i nieciekawe.*

- *Z Linii Prostej - powiadał - płyną Pożytki, wszakże nie Wykwint; kiedy ją bowiem do Postaci Ludzkiej zbliżyć, skutek przynosi niepomierne Wdzięku wyzbyty.*

- Zacznij od polityka - powiedziała Prudie. - Potem zabierzemy się za następnych. Przed nami cały wieczór.

Bernadette była szczęśliwa, kiedy ją proszono o opowieść. Sposobiła się do długiej historii. Dla Prudie zrobi wszystko.

- Nazywał się John Andretti. Wychowany w Atherton.

Był nadzwyczajny, jeśli chodzi o pierwsze wrażenie. Jego urok działał natychmiast; człowiek czuł się najważniejszą osobą w pobliżu. Do chwili, w której wpadł mu w oko ktoś inny.

Poznałam go nad Clear Lake, gdzie stepowałyśmy na Czwartego Lipca. To był mój ostatni rok z Papryczkami, zresztą już wyrosłyśmy z nazwy Papryczki. Byłyśmy Ognistymi Paprykami. Ja zaś byłam najniższa i tańczyłam na piątym schodku, chociaż miałam dziewiętnaście lat.

Tego lata był w planie wyjazd całej rodziny na Hawaje, na pełne trzy tygodnie. Nie mogłam się doczekać. Niestety, ojciec uznał, że nie może na tak długo zostawić pacjentów, więc zamiast bungalowu musiała nam wystarczyć przyczepa, a zamiast oceanu jezioro. I to cholerne stepowanie, jedno za drugim. Madame Dubois ubrała nas tego lata w grochy. Trwał szal na flamenco. Nabiła sobie tym głowę.

Tato przyjechał z nami, bo lubił łowić. Do Clear Lake dostała się rtęć ze starych kopalni, o czym wówczas nie mieliśmy pojęcia. Teraz, po latach oczyszczania, zaleca się jedzenie najwyżej jednej ryby na miesiąc z tego jeziora. Nie lubiłam ryb, grzebałam w talerzu, chociaż mama zawsze nas zameczała, żeby jeść ryby. Nazywała je „odżywką mózgu”; zresztą wówczas wszyscy tak myśleli. Dziś czytam, że do tuńczyka dołączają kartki ostrzegawcze. Za to jajka znowu są w porządku. A człowiek ma dobre i złe tłuszcze.

Swego czasu odgryzłam czubek termometru, zwyczajnie, żeby sprawdzić, czy potrafię.

Co się okazało rozpaczliwie łatwe. Rtęć od razu wypłułam, lecz matka była taka roztrzęsiona, że zaraz dała mi na wymioty. A potem, już po latach, wmuszała we mnie te ryby.

Dużo pływałam, co pewnie było nie lepsze od ryb. Uczylałam się właśnie ślizgać na nartach wodnych. I oto pewnego dnia jestem na wodzie, a John podchodzi za blisko motorówką, przecina kurs i przewraca mnie falą spod dziobu. Podpłynął, przeproszał, wyłowił, wołał do mego ojca, że dostarczy mnie na ląd. Potem mawiał, że wyciągnął mnie na brzeg jak rybę. Jesteś najmniejszym z maleństw, które wyciągnąłem z wody, mawiał. Ktoś mi powinien kazać wrzucić cię z powrotem.

Był dobrym politykiem, przynajmniej do chwili, w której go wybrano. Pamiętał imiona i nazwiska ludzi, a nawet imiona ich żon, mężów, dzieci. Umiał pogadać.

Bernadette uprzejmie poczęstowała Mo skinieniem głowy. - Ludzie nie zawsze rozumieją, jakie to ważne w kampanii. Elektorat przepada za dobrą fabułą. Czymś prostym.

John stawiał na fabułę klasyczną. Czy też stereotyp. Urodził się w biedzie i dbał, żeby od razu człowiek się tego dowiedział. W przemówieniach zawsze się odwoływał do wyrastania z ubóstwa, przewyciężonych przeszkód, pokonanych rozczarowań. Do przyrzeczeń, składanych samemu sobie w chwili upadku. Bóg mi świadkiem, już nigdy nie będę głodny. Chwacka gadka.

Plus napomknienie o jakiejś starej zdradzie, nic więcej. Tkwił w tym kawał talentu. Mało konkretów, za to wyraźna podpowiedź, że John jest za dobry, żeby się wdawać w szczegóły. Nie jest z tych, co to się rozczulają nad sobą i w ogóle. Nie z tych, co mają za złe. Człowiek musiał podziwiać jego wielkoduszność i upór.

W rzeczywistości był jednym z najbardziej mściwych ludzi pod słońcem. Prowadził listę zniewag. Słowo daję, prawdziwą listę, z zapisami sprzed dwudziestu lat. Był na niej ten chłopak, Ben Weinberg. Chodzili razem do szkoły; ojciec Johna pracował u ojca Bena. Ben miał łeb nie od parady, przyjaciół, talenty sportowe i kupę pieniędzy, starych pieniędzy. Zawsze pierwszy. John musiał ciężko walczyć, żeby dochrapać się dziesiątej części tego, co Ben zwyczajnie dostał na tacy. W historii życia Johna, według Johna, John był Olivierem Twistem, Ben zaś Małym Księciem.

Pewnego razu, kiedy John miał szesnaście lat, Ben nazwał go obrzydliwym drobnym karierowiczem; przez co w dwadzieścia lat później Ben zajmował na liście Johna miejsce numer trzy. Miejsca numer jeden i dwa zajmowała matka Johna.

- Łatwo nie być karierowiczem, kiedy człowiek się rodzi na szczycie - powiedział John.

Byliśmy już małżeństwem i zaczynałam coś rozumieć. Wcześniej wszystko brałam za dobrą monetę, jak leci. Nie widziałam tej listy, póki sama nie trafiłam na nią pierwszy raz. Wtedy na pewno nie byłam znawczynią charakterów.

Mam nadzieję, że od tamtych czasów nauczyłam się tego i owego. Nikt rzeczywiście prawy nie próbuje sprzedawać swojej prawości innym. Ludzie rzeczywiście prawi nieczęsto

widzą swą prawość. Człowiek patrzy na kampanię skupioną na charakterze, prawości, sprawiedliwości i już wie, że zaraz musi zadać sobie pytanie: Co też ten typ próbuje ukryć?

Tak to jest. Człowiek świetnie widzi poniewczasie.

- *Tout le monde est sage après le coup* - powiedziała Prudie.

- Otóż to, kochanie - odrzekła Bernadette.

Kiedy Mattie z Lloydem odeszli, żeby się pobrać, madame Dubois zakazała nam randek; występy doznają uszczerbku, oświadczyła, jeżeli przylgnie do nas wiadoma opinia. Pamiętajmy, że jesteśmy damami. Więc John i ja kryliśmy się, aż w końcu cisnęłam w diabły buty do stepowania i uciekliśmy wziąć ślub w Las Vegas; padło na szkocki Kościółek pod Wrzosem. Pracowała tam przemiła kobieta, Cynthia Jakoś-Siakoś. Opowiadała, jak pamiętam, że była wcześniej ekspedientką u Woolwortha i raz nie dostała darmowych końcówek materiału, które zwykle dostawała. Zabawne, że człowiek pamięta takie rzeczy, prawda? Mieli tam przy kaplicy jakieś suknie, które przymierzyłam, wszystkie za duże. Byłam wtedy co się zowie drobniutka, nic gotowego na mnie nie pasowało.

Więc Cynthia przerobiła mi na miejscu spódnice, uczesała mnie i zrobiła makijaż. Przed nami było jeszcze kilka par, musieliśmy poczekać. Cynthia poczęstowała mnie papierosem. Wzięłam, jeden jedyny raz, bo poza tym w życiu nie miałam w ustach papierosa, ale w tej sytuacji wręcz wypadało. Dzięki Cynthii uświadomiłam sobie, że zostanę teraz Nettie Andretti, o czym ani pomyślałam. Wzięłam więc rozbrat z Nettie. To wtedy zaczęłam używać pełnego imienia: Bernadette.

Czesząc mnie, Cynthia opowiadała historię klątwy ciąży nad jej rodziną, bo kiedyś dziadek Cynthii potracił autem mlecznobiałego kota. Dziadek twierdził, że to przypadek, ale mogło być inaczej, bo odtąd widok białego kota wróżył w rodzinie rychłą śmierć. Wuj Cynthii, zaledwie dwudziestosześcioletni, dostrzegł takiego z okna sypialni. Zwierzak przemknął podwórkiem, porwał ze sznurka upraną wujowską skarpetkę, przeskoczył z nią płot i przepadł. Jeszcze tego wieczoru wuj wybrał się do baru; tam w bójce zatłukł go facet, który wziął wuja za kogoś innego. Skarpetki nigdy nie znaleziono.

Cynthia była już w połowie opowieści. Doszła do wątku z matką, która oświadczyła, że nie wierzy ani słowu z tych bzdur; żeby to udowodnić, poszła i sprawiła sobie białego kota. Wiem, że potem zdarzyło się coś niesamowitego, bo to wynikało z tonu Cynthii, ale nigdy się nie dowiedziałam co. Właśnie wtedy poproszono mnie i Johna i musiałam wziąć ślub. Przysięgę składałam w paskudnym humorze, bo chciałam poznać do końca tę historię białych kotów. Zawsze byłam ciekawa, jak się kończy.

Rok wcześniej, zanim poznałam Johna, Mattie błagała, żebym odwiedziła ją i Lloyda. Doznali nawrócenia i zamieszkali w jakiejś komunie na tym ranczu w Kolorado. Moją matkę bardzo złościła myśl, że mogłam bez trudu wyjść za Lloyda, skoro wpierw wlepił te słodkie oczy we mnie. Okazał się teraz taki uduchowiony. Słowo daję, bardzo była mieszczańska. Powinna wiedzieć, że owi zaiste sprawiedliwi nie bywają godni szacunku. Spakowała mnie,



jakbym się wybierała na czterotygodniowy kurs Pisma świętego.

Komuną kierował wielebny Watson. Uznałam, że to megaloman. Lloyd sądził, że dba o ludzi. Lloyd zawsze lubił, kiedy mu rozkazywano.

Nie sądzę, żeby wielebny Watson miał jakieś przygotowanie religijne. Natchnienie czerpał z sekty Ostatniego Deszczu, dowolnie wykrawając z jej nauk to, co mu dogadzało. Głosił, że symbole wiedzy tajemnej - znaki zodiaku, numerologię, te rzeczy - diabeł skradł Bogu, on zaś, wielebny Watson, powołany został do wyrwania ich z diablích łapsk i obrócenia na nowo ku celom świętym. Było też coś o kosmitach, ale już zapomniałam co. Przybywają, żeby nas dorwać, albo już byli i wypięli się na nas. Jedno z dwojga.

Kiedy tam byłam, wszyscy czytali książkę pod tytułem *Ku atomowej mocy przez Boga, post i modlitwę*, z której wynikało, że jeśli się człowiek nauczy panować nad własnymi apetytami, zapewni sobie nadnaturalną potęgę. Uwolni się od grawitacji. Stanie nieśmiertelny. Zatem wielebny Watson powiedział, że mamy wszyscy pościć i żyć w czystości. Dawali przeważnie boxty, irlandzkie ziemniaczane ciasto, bo to tanio, więc post był zbędny, a o czystość nie ja się musiałam martwić, lecz Mattie. Nikt w tej wspólnotcie nie miał stałych dochodów. Miał o nich zadbać Bóg. Chciałam zadzwonić do rodziców, żeby mnie stamtąd zabrali, ale nie działał ani jeden telefon.

Ledwie Lloyd usłyszał, że możliwa jest nieśmiertelność, natychmiast jej zapragnął. Każdy dzień, który mijał bez wniebowzięcia, był dla Lloyda wielkim rozczarowaniem. Podobnie dla wielebnego Watsona, Lloyd zaś przejmował się rozczarowaniem wielebnego bardziej niż własnym.

Próbowali mnie w to wciągnąć, nawet Mattie. Nie winiłam jej; po prostu uważałam, że trzeba ją ratować. Pewnego razu Lloyd poprosił, żebym z nim popracowała nad tabliczką ouija. Był taki zniechęcony. Wciąż nie mógł latać, nie przemawiały też do niego duchy, skądinąd skore słać wiadomości do reszty wiernych. Taki był zgnębiony, że zrobiło mi się go żal; zresztą miałam tego wszystkiego w ogóle dosyć. Chodzi o to, że mój ojciec należał do masonów i byłam któregoś roku królową Cór Pracy. Chodziliśmy do kościoła. Śpiewałam w chórze. Ale z tego powodu nie pomieszało mi się w głowie.

Tak więc pomogłam spirytystycznej tabliczce. Sprawiałam, że powiedziała „porzuć Watsona”. Lloyd tak się poderwał, że przewrócił krzesło. Pognał prosto do Watsona z wiadomością, że między nas wkroczył szatan; wielebny natychmiast przyszedł wypędzać. Odbył straszliwe czary-mary i jakoś byłam zadowolona, bo już nie było tak nudno, niemniej od tej pory wielebny Watson patrzył na mnie innym okiem: podejrzliwym.

We wspólnotcie były tylko cztery kobiety; zaczęliśmy teraz wysłuchiwać mnóstwa rzeczy o Ewie. Nic dobrego. Wielebny był przekonany, że Ewa w raju nie poprzestała na zagadywaniu węża. Był przekonany, że z nim spała. Prawdziwi wyznawcy to potomkowie Adama i Ewy, zapewnił, a potem, patrząc wprost na mnie, objaśnił, że niedowiarkowie to dzieci Ewy i węża. Ponieważ upadek Adama wziął się ze słuchania Ewy, zabrania się teraz

kobietom mówić. Całe zło świata, tłumaczył wielebny Watson, wywodzi się ze słuchania kobiecego głosu.

Mattie bała się sprzeciwiać wielebnemu Watsonowi. A skoro już byłam jej gościem zaproszonym na cztery tygodnie, mogłam mówić tylko wtedy, kiedy nikt mnie nie słyszy, a takie mówienie nie ma sensu. Lecz potem wielebny Watson wybrał się na konferencję do Bostonu, a po powrocie znów pozwolił mówić, przywiózł bowiem nowy plan wyrwania naszego ziemskiego życia z pęt banału i trywialności. Nowy plan przewidywał użycie psychozomimetyków. Ostatni Deszcz z domieszką LSD. Kwaśny Deszcz.

Lloyd był całymi dniami na haju. Wreszcie miał jakieś wizje. Widział, że może latać, ale po prostu nie chce. Co mam udowadniać? - pytał. Sam to wziąłem. To mnie tak uszczęśliwia. Wszystko wokół tańczy. Garnki. Słupy ogrodzenia. Kozy.

Patrzyłam na to skądś z góry, jakby życie było wielkim skeczem Busby Berkeleyya. Byliśmy na ranczu, solidnie odgradzeni od zewnętrznego świata. Zima. Na drzewach naprzeciw kuchni gromadziły się setki wron. Mnóstwo; wyglądało to, jakby drzewa puściły czarne liście. Wyszłam na dwór, a one podrywały się, tworząc jakieś wymyślne wzory, jak słowa zapisywane atramentem w powietrzu. Potem znowu siadały i krakały do mnie.

- Spadaj - mówiły. - Spadaj. Spadaj. Spadaj.

- Po prostu kocham wrony. - Bernadette spojrzała na Mo. - Mam nadzieję, że pakujesz do książek stada wron. Pewnie ich pełno na polach buraczanych. Zwłaszcza kiedy się odkopie jakieś ciało. Możesz mieć wrony, które wytropią ślad. Tu też jest cała chmara, mają gniazda koło parkingu przy uniwersyteckim pasażu handlowym. Widuję je po drodze do fryzjera.

- Robię coś takiego, lecz ze srokami - powiedział Mo. - Dla mnie sroki to znak rozpoznawczy Doliny. Pewien recenzent napisał, że posługuję się motywem sroczym. Sroki występują u mnie w roli zwiastunek złego i w roli tematu. Mogę wytłumaczyć, jak to robię.

- Owszem, kiedy przejdziemy do srok - twardo postawiła sprawę Prudie. - Mów dalej, Bernadette.

Cóż, uważałam, że jeśli wrona coś każe zrobić, trzeba to zrobić. Uciekłam tak, jak stałam. Byle dalej od rancza. Do drogi, którą coś jeździło, miałam całe mile; a nie uszłam jeszcze połowy, kiedy lunęło. Tak gęsto, że z trudem mogłam coś dostrzec przez ulewę.

Buty miałam tak oblepione gliną, jakbym włożyła na nie jeszcze jedne buty. Myślałam, to pamiętam, że naprawdę głęboką sprawą jest myśleć. Tymczasem glina odklejała się, odpadała, potem w miarę marszu lepiała na nowo. Miałam wrażenie, że z tymi ciężkimi jak ołów stopami nigdzie nie zajdę. I pewnie nie szłam prosto. Nie tak, jak leci wrona.

Kiedy w końcu dobrnęłam do szosy, uspokoiłam się. Podwiózł mnie gość mniej więcej w wieku ojca. Pan Tybald Parker. Mój widok nim wstrząsnął. Parker zrugął mnie za zatrzymywanie samochodów, powiedział, że to dla kobiet niebezpieczne. I dał mi chustkę do nosa.

Opowiedziałam mu wszystko, nie tylko o Mattie, Lloydzie i wielebnym Watsonie, lecz o wszystkim, co mi przyszło do głowy. O Papryczkach. Praktyce dentystycznej ojca. To była przyjemność, znowu móc się wygadać; jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się ani przez chwilę nie pomyśleć, co powinnam powiedzieć, co nie. Ależ ulga.

Zamówił mi pokój w hotelu, więc mogłam wziąć prysznic i wyspać się, kupił do jedzenia coś, w czym nie było ziemniaków, i pomógł zadzwonić do rodziców, żeby przysłali telegraficznie trochę pieniędzy, dzięki czemu mogłam wrócić autobusem.

- Nie daj się nigdy nabrać na plewy - powiedział na pożegnanie. To wówczas, pierwszy raz od kiedy wybrałam się do Mattie, poczułam obecność Boga w moim życiu.

Na Boże Narodzenie zawsze dostawałam list od pana Parkera, co trwało ponad dwadzieścia lat, aż umarł. Nadzwyczajne listy, wyłącznie o ludziach, których nie znałam, jak zdobywają dyplomy, biorą śluby, podróżują, rodzą im się dzieci. Pamiętam, jak wnuk pana Parkera dostał się na UCLA dzięki stypendium bejsbolowemu.

Cóż, kiedy poznawałam bliżej Johna, jego humory i listę zniewag, on w tym samym czasie poznawał bliżej mnie. Prochy, sekty. Jasnowidzące wrony. No i John dostał fioła: to fatalnie wpłynie na kampanię. Oświadczył, że nie mam prawa nic nikomu mówić, ani mru-mru. Taka byłam zmęczona tym trzymaniem buzi na kłódkę. Ale siedziałam cicho. Zaszłam w ciążę, co John uznał za murowane przysporzenie głosów. Uśmiechnięta, wciąż i niezmiennie uśmiechnięta, licząca zaś po cichu, że John przepadnie, odzyskałam prawo do gadania.

Pewnego dnia John miał w planie debatę, wszystkich pięciu kandydatów spotykało się z dziennikarzami. Poprawiłam mu krawat.

- I jak wyglądam? - spytał, na co odpowiedziałam, że świetnie. To był przystojniak. Okazało się jednak, że do pleców marynarki przyłgnęły mu moje majtki. Były przedtem w suszarce; chyba się naelektryzowały. Ogromne, bo byłam w *ciąży*, *ale przynajmniej czyste*.

Pojęcia nie mam, skąd się wzięły na tej marynarce. Twierdził, że musiałam je tam przyczepić, kiedy go obejmowałam. Jakbym chciała, żeby wyborcy, prasa i w ogóle wszyscy pooglądali sobie moje majtki! No i znowu trafiłam na tę listę; od tej pory mam tam największą liczbę notowań. „Bernadette mnie zniszczyła”, tak to brzmi.

Jakbym była akurat do tego potrzebna. Bo okazało się, że John też ma przeszłość, takie poboczne wątki, nie dla publiki. Długi hazardowe i nakaz aresztowania. Oskarżenie o napaść.

Uciekł z moją siostrzyczką, nawet się ze mną nie rozwodząc. Tato musiał ich szukać po całym stanie, żeby ściągnąć siostrę do domu. Bo tym, kim jest John, zachłystywały się gazety. Nasza rodzina w tym świetle też nie wypadła najlepiej. Wypłynęły prochy. Sekta. Jedna z Papryk opowiedziała mi, że startują z nowym programem, kiedy jednak poszłam pogadać z madame Dubois, powiedziała, że teraz nie może mnie już przyjąć, bo jestem matką, na dodatek osławioną. Madame Dubois zapewniła, że jakichś reguł należy przestrzegać. Powiedziała, że zhańbiłam Papryczki.

Zapewniła, że już się nikt ze mną nie ożeni, ani z moją siostrą; ale okazało się, że to żaden problem.

*Jeżeli czarujący Obraz, piękne Pola, krystaliczne Strumienie, zielone Drzewa i haftowane Łęgi sprawiają, że Krajobraz bądź sama z siebie Natura dostarczają Oku takiej rozkoszy, o ileż bardziej widok tyluż foremnych, bogato strojnych Panów i Pań doskonale ów Szyk czyniących radować Widzów musi.*

Kellom Tomlinson, *Tancerz zawołany*

Sylvia postanowiła pomówić z Allegrą szczerze. Zamierzała powiedzieć, tego wieczoru potrzebuję cię naprawdę. Chyba nie proszę o zbyt wiele. Chodzi tylko o jeden wieczór; raz spróbuj pomyśleć o mnie.

W holu natknęła się na Allegrę, w dzianinowej sukni Sylvii.

- Obleci? - spytała Allegra.

Sylvia poczuła przyływ ulgi, po części dlatego, że Allegra jednak się wybiera, po części dlatego, że Sylvia nie musi mówić tego, co powinna. Starcia z Allegrą rzadko przebiegały zgodnie z planem.

- Sam seks - odrzekła Sylvia.

Allegra była w znacznie lepszym nastroju. Stąpała lżej, była wyprostowana. Przez ramię przerzuciła ciemnogrnatową sukienkę Sylvii z jasnożółtymi aplikacjami.

- Weź tę - powiedziała.

Sylvia włożyła sukienkę. Allegra dobrała kolczyki i naszyjnik. Przeczesała włosy Sylvii na bok i upięła. Nałożyła cień na powieki, na usta szminke i podała papierową chusteczkę, żeby zetrzeć nadmiary.

- *Pues. Vamonos, vamonos, mama\** - powiedziała. - Jak to jest, że się tyle spóźniamy?

**\* Ruszmy się, ruszmy się nareszcie, mamo.**

Kiedy wychodziły, Sylvia wzięła Allegrę za rękę i wpierv ścisnęła ją, potem puściła. Otworzyła pilotem samochód i wsunęła się w długą gorącą noc.

Podano główne danie: łososia z fasolką szparagową, do tego miejscowy zinfandel. Kiedy wszyscy jedli, mowę główną wygłosił autor kryminałów cieszących się nadzwyczajnym powodzeniem. Z początku były kłopoty z mikrofonem, zgrzyty, sprzężenia, ale szybko się z nimi uporano. Mowa była zwięzła i pełna wdzięku; facet się spisał na medal.

Kiedy skończył, Mo zapewnił Deana, że w książkach autora cieszącego się nadzwyczajnym powodzeniem występują kompletnie popieprzone procedury prawne.

- Większości ludzi to zwisa - powiedział Mo. - Ale ja, osobiście, mam fioła na punkcie ścisłości. - Zaczął Deanowi referować punkt po punkcie błędy innych autorów w ich najświeższych książkach. - Większość ludzi nie ma pojęcia, jak przebiega faza wykrywania - powiedział. Był gotów to wyjaśnić.

Bernadette nachyliła się do Prudie i cicho powiedziała:

- Może tu i ówdzie pokoloryzowałam. Nie wiedziałam, że Mo ma fioła na punkcie ścisłości. Myślałam, że po prostu lubi fabułę. Więc dodałam parę drobiazgów.

Sport. Bieliznę. Seksowne siostrzyczki. Historię z facetem.

- Prochy. Gadające zwierzęta - powiedziała Prudie.

- Och, wron wcale nie wymyśliłam.

Prudie zauważyła, że nie chce jej się dociekać, które fragmenty są prawdziwe, które nie. Może kiedyś. Lecz Bernadette nie jest jej matką. Więc może nigdy.

- Żaden z moich mężów nie był złym człowiekiem. Problemem byłam ja. Małżeństwo wydawało mi się taką ciasną przestrzenią, kiedy w nim tkwiłam. Lubiłam zostawać mężatką. Zaloty mają swoją fabułę. A bycie mężatką już nie. Powtarza się w kółko to samo. Te same przepychanki, ci sami przyjaciele, to samo co sobotę. Człowieka bierze w obroty powtarzalność. Nie potrafiłam dopasować całego swego ja do małżeństwa, wszystko jedno z którym mężem. Były we mnie jakieś części, które podobały się Johnowi, były inne dla innych, ale żaden nie zadawał się ze mną całą. Więc odcinałam jakieś części, potem zaczynało mi ich brakować, chciałam je mieć z powrotem. Naprawdę nigdy się nie zakochałam, póki nie urodziłam pierwszego dziecka.

Znów się odezwała muzyka. Prudie zobaczyła, że tańczy ta czarna kobieta, już bez norek. Zrzuciła nie tylko etolę, ale i buty. Jej partnerem był tęgi i łysy biały. Na parkiecie były jeszcze trzy inne pary, ale uwagę przykuwało tylko tych dwoje. Coś absolutnie dziwnego: te wieczorowe rzeczy i boogie na parkiecie. Trzeba dobrej tancerki, żeby przestało to razić. Prudie zastanawiała się, czy są małżeństwem. Czy jest jego pierwszą żoną? Czy musiała obciąć jakąś część siebie, żeby się dopasować? Jeśli tak, to bez tej części wyglądała na wcale szczęśliwą.

Teraz tańczyło na parkiecie osiem par. Połowę, szacowała Prudie, stanowią bogaci mężczyźni z drugimi żonami. Oceniała na podstawie rozziwu: młodości kobiet i ich powabu na tle tych mężczyzn; co ją gorszyło ze względu na Sylvię. Prudie wyszła za mężczyznę dużo przystojniejszego, niż sama zasługuje, a zarazem sądzi, że tak być powinno.

Dean dostrzegł, że Prudie obserwuje parkiet.

- Zatańcz ze mną, dziecino - powiedział. Najwyraźniej usiłował oszczędzić sobie szczegółowego sprawozdania, co zdołała wypatrzyć.

Od śmierci matki Prudie nie tańczyła, nawet sama w pokoju, nawet do muzyki Smokeya Billa Robinsona. Matka przepadała za kawałkami Smokeya Robinsona. Prudie pomyślała, że dla Deana może jednak zatańczyć.

- Jasne - odrzekła. I uzmysłowiła sobie, że nie może. - Ale za chwilę. Może później.

- A ty, Bernadette?

Bernadette zdjęła kolczyki i położyła obok talerza.

- Za ciężkie - powiedziała i ruszyła za Deanem.

Na Prudie padł cień. Okazał się cieniem przybyłej nareszcie Jocelyn, która schyliła się, żeby pocałować Prudie w policzek.

- I tak tu tkwisz? - spytała. Czuć ją było potem i płynnym mydłem z pojemnika w toalecie. Twarz okalały mokre, sterczące strąki. Makijaż po części zniknął, zostały tylko łaty. Jocelyn padła na krzesło obok Prudie, schyliła się, ściągnęła pantofle i zaczęła masować podbicie stopy.

- Straciłaś zupę i mowę główną. Już się zamartwiałam - powiedziała Prudie. Prawdę mówiąc, wcale się nie zamartwiała, ale to wina Bernadette, która zamieszała jej w głowie. Prudie powinna się martwić. Jocelyn stać było na celową nieuprzejmość, lecz nigdy nie bywała bezmyślna. I nigdy się nie spóźniała. Jocelyn nigdy się nie otarła o niechlujstwo. A tymczasem, coś niesamowitego, Bernadette może wyglądać lepiej niż Jocelyn? - Sylvii ani śladu - powiedziała Prudie. - I ani śladu Daniela. Jak myślisz, co to znaczy?

- Pójdę zadzwonić do niej - powiedziała Jocelyn. Włożyła na nowo pantofel. - Z Danielem to zaskakujące. Miał być na pewno, mówiła Allegra.

- „I to mogłoby stworzyć sytuację nie tylko dla mnie przykrą?”\* - podsunęła Prudie.
- Sylvia nigdy nie robi sceny.
- Sylvia nie, ty tak.

Jocelyn wyszła. Grigg usiadł przy Mo. Między Griggiem a Jocelyn zostało parę wolnych krzeseł. Kapela grała *Twa miłość mnie podźwignie*. Tyle że bez słów. Grigg spytał Prudie:

- Możesz potem podwieźć Jocelyn do domu? Po tańcach? Skończyła mi się benzyna.
- No jasne - powiedziała Prudie. - Ale Dean podjedzie z tobą po paliwo. Gdzie zechcesz.

Jocelyn wróciła do stołu.

- Są o pięć minut drogi stąd - powiedziała. - Prawie na miejscu.

\* Fragment *Dumy i uprzedzenia* w przekładzie Anny Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej. Całe zdanie brzmi: „Przebywać z nim przez tyle godzin w tym samym pokoju, w tym samym towarzystwie byłoby chyba ponad moje siły i mogłoby stworzyć sytuację nie tylko dla mnie przykrą”.

Grigg zajął się kolacją. Obrócił krzesło, żeby mieć przed sobą Mo.

- Więc kryminały. Przepadam za kryminałami. Nawet szablonowymi, bo kocham ten szablon.

- Moje nie są szablonowe - zapewnił Mo. - Pewnego razu obyłem się nawet bez morderstwa, wstawiłem dopiero pod koniec.

Kto nie lubi kryminałów?

- Jak poznałaś Bernadette? - Prudie zapytała Jocelyn.

- Wyszła za mojego chrzestnego ojca.
- Co ją pociągnęło?
- Może jego praca? Spytaj sama.
- Za długo to potrwa - powiedziała Prudie.

- Nie wiem, czy ja akurat potrafię się streszczać. Bernadette nigdy nie skończyła szkoły, więc wciąż próbowała to tego, to owego. W czymś pomagała w podstawówce. Była manikiurzystką. Opowiadała mi, pamiętam, że pracowała przy karnawale, dyrygowała rzucaniem obręczy na stos talerzy. Przez pewien czas była jedną z Królewien Śnieżek w Disneylandzie. Pilnowała zwierząt po domach. A głównie wychodziła za męża. Bardzo w stylu Austen, jeśli pominąć, że było tylu tych mężów. Nie mówię, że wykazała interesowność, nie chcę, żeby to tak zabrzmiało. Wiecie, że jest urzekająca; za każdym razem myślała, że to już ostatni. Kiedyś martwiłam się o jej dzieci, ale tylko dla zasady. Zawsze dobrze wyglądały, a okazały się wspaniałe. Spośród żon Bena ją lubiłam najbardziej. Mieszkali w takim wielkim starym domu w Beverly Hills, z biegnącym dookoła gankiem, z pięknym ogrodem. Był staw ze złotymi rybkami i drewniany mostek. Coś fantastycznego.

- Czyżby Ben Weinberg.

- Słyszałaś o nim? Przez jakiś czas był nawet hollywoodzkim rekinem. Maczał palce w produkcji ładnych paru filmów Freda Astaire'a.

*Świąteczna parada.*

- Mój Boże - powiedziała Prudie. - Jest tej fabuły po samą kokardę!

Odwróciła się i spojrzała na parkiet. Nad szklaną kopułą na czwartym piętrze zapadła już noc, a w środku zaświeciły się teraz łańcuchy żarówek wiszące na balkonach i lśniły jak konstelacje. Orkiestra wydawała się mała i odległa. Prudie zobaczyła Deana: szczupły, przystojny, tańczy trochę nerwowo, lecz z klasą.

Bernadette była tęga, ale zwinna. W ramionach miała to, co trzeba do shimmy, luźne kolana, rozkołysane biodra. Raz stąpa delikatnie, za chwilę wywija nogami. Skromna i elegancka czacza. To pech, że Dean z nią poszedł na parkiet. Najwyraźniej ją obejmuje.

Sylvia zamknęła samochód na podziemnym parkingu i teraz czekały z Allegrą na windę. Czowała ulgę, była odprężona. Zadzwoiła Jocelyn, żeby powiedzieć, że zjawił się Daniel. Sylvia wybaczyła Allegrze otarcie się o dezercję (teraz z kolei czuła się winna, że jednak namówiła córkę na dotrzymanie *jej* towarzystwa). Sylvia nawet wybaczyła Allegrze tę ciężką zbrodnię, że musiała Allegrę unieszczęśliwić.

- Wiesz, chyba nie ma rzeczy naprawdę niewybaczalnych. Nie tam, gdzie wchodzi w grę miłość - powiedziała w pobliżu pierwszego piętra. - Allegra czytała ulokowaną na ścianie windy reklamę DepoProvery i nic nie odrzekła.

Jocelyn mówiła do Prudie, podniosła jednak głos na tyle, żeby mogli usłyszeć Grigg i Mo.

- Czy nie uważasz, że ludzie, którzy dobrze tańczą, nie rozpowiadają zazwyczaj na

wszystkie strony, że tacy z nich tancerze?

- Byle dzikus umie tańczyć - powiedział Grigg. Wstał, podszedł i wyciągnął rękę. Ból w stopach Jocelyn promieniował po kolana, lecz Jocelyn nie mogła dać Griggowi satysfakcji i się skarżyć. Jeżeli Grigg nie jest na tyle zmęczony i może tańczyć, to tym bardziej może tańczyć Jocelyn. Będzie tańczyć do upadłego.

Wzgardziła wyciągniętą ręką i wstała bez czyjejkolwiek pomocy.

Nie patrzyła na niego. On nie patrzył na nią. Patrzyła na nich oboje Prudie, jak razem odchodzą: gniewne plecy, gniewne ramiona, idealnie zsynchronizowany gniewny krok.

Od śmierci matki Prudie cierpiała zmienne nastroje. Jak dotąd wieczór upływał przyjemnie, na słuchaniu opowieści Bernadette i pokpiwaniu z Mo. A teraz poczuła się nagle opuszczona przez Deana i Bernadette, przez Jocelyn i Grigga. Głupio, przecież tylko poszli tańczyć, ale jest, jak jest: zostawili ją samiuteńką. Zawsze się ją tak zostawia. Czuje się jak puszczona luzem, zwierzyła się Mo. „Jakby trzasnęła jakaś lina wiążąca mnie z ziemią”. Tego akurat nie mogłaby powiedzieć Deanowi. Na myśl, że nie jest jej kotwicą, poczułby się zraniony. Mogła to powiedzieć Mo tylko dlatego, że przedtem wypła za dużo, a potem nigdy nie spotka Mo. Ani nie będzie czytać jego głupich książczydeł.

- Najwyższy czas poskakać. - Mo pochylił się nad stołem tak, że stojąca na środku cynia drapała go w podbródek. Z bliska dostrzegł, że Prudie płacze, więc wyprostował się, a w jego ruchu znać było zaskoczenie i bezradność. - Szkoda łez! - powiedział. - Zamiast tego chodźmy potańczyć. Jeśli Dean nie ma nic przeciw temu. - Kapela grała właśnie *Come Together* Beatlesów; z setek ich piosenek ten właśnie kawałek matka Prudie polubiła najbardziej.

Prudie miała na końcu języka odpowiedź „Nie pójdziemy tańczyć, ale opowiemy, że tańczyliśmy”, bo tak właśnie odpowiedziałyby matka.

Ale to było takie miłe ze strony Mo, że tak się właśnie odezwał. Poniekąd zakrawało - nic ważnego, ale zawsze - na sensowną radę. Nawet na plan. „Zamiast tego tańczyć”. Może tkwić tu sama, jeśli nie liczyć Mo, który się nie liczy, albo się zdecydować i dołączyć do całego bractwa. Wytarła oczy serwetką, złożyła ją i ulokowała na stole.

- Okej - powiedziała Prudie.

Co z tego, że wcześniej odrzuciła zaproszenie mężczyzny, którego kocha? Dean zaprosi ją znowu. Tymczasem są te światła i kwiaty, szklane kręgi i lisie pyski z brązu. Mężczyźni bogaci, mężczyźni ładni, mężczyźni, których nie ma, mężczyźni, którzy po prostu lubią dobrą fabułę: dlaczego nie zatańczyć ze wszystkimi?

*Co nam powiedziała Bernadette:*

Pod koniec *Dumy i uprzedzenia* Jane, Elżbieta i Lydia Bennet zostają mężatkami. Z czego wynika, że dwie Bennetówny, Mary i Kitty, wciąż są wolnego stanu.

Jeżeli wierzyć siostrzeńcowi autorki, Austen wydała je za mąż później. Austen opowiadała swojej rodzinie, że Kitty Bennet w końcu poślubi duchownego, mieszkającego w



pobliżu majątku Darcych. A Mary Bennet wyjdzie za urzędnika z biura jej stryja Philipa, dzięki czemu Mary pozostanie w pobliżu domu rodziców i tej jedynej części towarzystwa, w której może się czuć wyróżniona. Obydwa małżeństwa, zdaniem Austen, były udane.

- Zawsze lubię wiedzieć, czym się kończy opowieść - mówi Bernadette.

## MATERIAŁY PROMOCYJNE

nowej powieści z cyklu

TERENCE HOPKINS NA TROPIE pióra

Mo Bellingtona MOCNY MO!

W debiutanckiej powieści

### **MARTWE AKTA**

wstrząsająca sprawa doprowadza

miejskiego policjanta Terrence'a Hopkinsa na wieś,

gdzie Hopkins poświęci się wkrótce

RZECZOM, KTÓRE ROSNĄ.

W najbardziej lubianej książce Bellingtona -

w OSTATNICH ŻNIWACH -

Terrence Hopkins ma nadzieję,

że nigdy więcej nie natrafi na zwłoki.

Weźmy jednak małomiasteczkowego polityka

o pierwszoliigowych ambicjach,

dodajmy tajemniczy kult pustelniczy,

a otrzymamy tegoroczny

### **MORD WRON**

napisał Mo Bellington

*Chyba najlepsza z powieści Bellingtona*

- „Standard Bearer Weekly”

Autor przyjmuje zaproszenia na wieczory literackie i spotkania w klubach czytelniczych, udziela też wywiadów.

## Sierpień

TEMAT: **ODP: Mama**

WYSŁANO: 8/5/02 8:09:45 am PDT

OD: [Airheart@well.com](mailto:Airheart@well.com).

DO: [biancasillman@earthlink.net](mailto:biancasillman@earthlink.net); [Catwoman53@aol.com](mailto:Catwoman53@aol.com)

Czuwaj, drużyno Harrisów,

Rano dzwoniła pani Grossman. Powinnyśmy to wiedzieć, sądzi, że nasza siedemdziesięcioośmioletnia matka, z nowym biodrem, weszła na dach na pierwszym piętrze wyczyścić rynny. Powiedziałam, że do tych kaskaderskich zajęć zatrudniamy Tony'ego, na co pani Grossman, że Tony już wyjechał do college'u, bo ma obóz piłkarski. Więc któraś z nas powinna chyba wpaść i kogoś wyszukać.

(Co porabia nasz mały Grigg? Wczoraj wieczorem dzwonił i mówił tym głosem jak złuszczona farba, którym zawsze mi chce obwieszczać złą nowinę, ale w końcu nie powiedział, co).

Amelia

TEMAT: **ODP: odp: Mama**

WYSŁANO: 8/5/02 11:15:52 am PDT

OD: [Catwoman53@aol.com](mailto:Catwoman53@aol.com)

DO: [Airheart@well.com](mailto:Airheart@well.com); [biancasillman@earthlink.net](mailto:biancasillman@earthlink.net)

Chcę wam tylko uświadomić, że Mamie właśnie o to chodzi. Wie, że pani Grossman zadzwoni, że my, córeczki, wyjdziemy na skandaliczne niewdzięcznice i że ktoś się stawi w mgnieniu oka, z wywieszonym jęczorem. Ktoś musi się do niej wybrać, jasne, ale to szczywana starowinka, dlaczego sama nas nie poprosi? Moim zdaniem trzeba ją zamknąć w przytułku, póki nie przysięgnie, że będzie się trzymać z daleka od dachu.

Co do Grigga: czy tylko ja jedna uważam, że znowu się zakochał? Co na to kalendarz? Ile już czasu minęło od Sandry?

Całusy dla wszystkich, Cat

TEMAT: **ODP: odp: odp: Mama**

WYSŁANO: 8/5/02 12:27:59 pm PDT OD: [Airheart@well.com](mailto:Airheart@well.com) DO:

[Catwoman53@aol.com](mailto:Catwoman53@aol.com); [biancasillman@earthlink.net](mailto:biancasillman@earthlink.net)

Życie miłosne Grigga to nasza wina. Tak ustawiliśmy poprzeczkę, że chyba żadna kobieta nie przeskoczy.

A

TEMAT: **Mama i Grigg**

WYSŁANO : 8/5/02 1:02:07 pm PDT

OD: [biancasillman@earthlink.net](mailto:biancasillman@earthlink.net)

DO: [Airheart@well.com](mailto:Airheart@well.com); [Catwoman53@aol.com](mailto:Catwoman53@aol.com);

Tu się sprawy toczą pomału, więc nie mam nic przeciwko zajęciu się Mamą. (Jesteśmy skandaliczne niewdzięcznice).

Griggowi chyba się spodobała jakaś kobieta z tego klubu czytelniczego. Ale nie jestem taka pewna, czy on się jej spodobał. Do mnie też dzwonił wczoraj wieczorem, strasznie późno i okropnie zdołowany. Boję się, że po Sandrze stał się jeszcze bardziej kruchy. (Jakie jest motto harcerek? - Zostaw obozowisko w jeszcze lepszym stanie, niż zastałaś, prawda? No więc z Sandry żadna harcerka.) Zawsze uważałam, że potrzebowała go tylko do obsługi komputera.

Całusy dla mężów i dzieciarni, Bianca

TEMAT : **ODP: Mama i Grigg**

WYSŁANO: 8/5/02 1:27:22 pm PDT

OD: [Catwoman53@aol.com](mailto:Catwoman53@aol.com)

DO: [Airheart@well.com](mailto:Airheart@well.com); [biancasillman@earthlink.net](mailto:biancasillman@earthlink.net)

Z Sandry to był numer. Pamiętasz, Amelio, Boże Narodzenie u was? Och, tylko z daleka od jemioly. Och, trzymaj ręce na wierzchu, żeby wszyscy widzieli. Próbowaliśmy go ostrzec. Wystarczy ładna buzia, a on już w ogóle przestaje słuchać sióstr.

XXXXXXXXX Cat

TEMAT : **ODP: odp: Mama i Grigg**

WYSŁANO: 8/5/02 5:30:22 pm PDT OD: [Airheart@well.com](mailto:Airheart@well.com) DO:

[Catwoman53@aol.com](mailto:Catwoman53@aol.com); [biancasillman@earthlink.net](mailto:biancasillman@earthlink.net)

Jeżeli Grigg się znowu zakochał, to lepiej, żeby któraś z nas też tam pojechała i wszystkiego dopilnowała. A

## *Rozdział szósty*

w którym czytając *Perswazje*, znowu trafiamy do domu Sylvii

W piątek czy świętek, w Sali Historii Kalifornii czytelnicy zgłębiają przeważnie swe dzieje rodzinne. Sylvia, która w stanowej bibliotece pracowała od roku 1989, uczyła setki ludzi ładować mikrofilmy do przeglądarki, ustawiać ostrość, opanowywać przewijanie. Otwierała spisy panien i panów młodych, rejestry zgonów, zagłębiała się w studni przeszłości, by wyławiać praprapradziadków. Dzisiaj zaczęła pechowo: popularne nazwisko (Tom Burke), duże miasto (San Francisco) i niejasności datowań doprowadziły do stanu wkurzenia potomka, przekonanego, że Sylvia się po prostu nie przykłada. Jej poszukiwania i szczerą chęć, żeby się powiodły, zostały fatalnie ocenione w porównaniu z walorami mormonów.

To wprawiło Sylvię w nastrój filozoficzny. Czy zawsze aż tak się interesowano genealogią, myślała, nawet w latach sześćdziesiątych, kiedy wszystko zakrawało na zaczynanie od zera? Co znaczy to całe indywidualne oglądanie się wstecz? Na co liczą ci ludzie? Że co znajdą? Jaki realny wpływ ma pochodzenie na to, kim są dzisiaj?

Przypuszczała, że sama nie jest lepsza niż inni. Czuje szczególną przyjemność, kiedy ktoś poprosi o zbiór 310, dokumenty hiszpańskie i meksykańskie. Sama przetłumaczyła niedawno „Uroczyste zaślubiny Manuela Rodrigueza z Guadalajary, z rodziców zmarłych, z Marią Valvanora E La Luz, córką żołnierza i mieszkanki Cynaloa”. Dokument nosi datę 20 października 1781 roku. Wiadomość jak wiadomość, sucha. Czy, zakochani, przestali widzieć świat poza sobą? Byli przyjaciółmi? A może noce wlokły im się w lodowatej ciszy, wypełniane irytującym seksem? Czy naprawdę ich ciągnęło do małżeństwa? Czy mieli dzieci? Czy potem jedno porzuciło drugie, może wpierw jakoś ostrzegając, a jeśli tak, to kto rzucał i kogo porzucono?

Były w tym zbiorze, między innymi, zaproszenie na wielki bal na cześć Antonia Lopeza de Santa Anna w rezydencji gubernatora; fotokopia Aktu Kapitulacji Andresa Pico przed Johnem C. Frémontem pod przełęczą Cahuenga; list do Fra José Maria de Zalvidea w sprawie reguł małżeńskich u Indian. Ten ostatni, w przybliżeniu, z roku 1811. Wtedy w innym, dalekim świecie Jane Austen wydała wreszcie *Rozważną i romantyczną*, powieść na podobny temat.

Byliśmy tu pierwsi, zapewniał ojciec Sylvię, chociaż matka tylko od dwóch pokoleń, ale daleko im do tych pierwszych; owszem, zjawili się wcześniej niż niektórzy.

*Bo Kalifornia to wiersz!*

*Romantyczna i wielbiona,*

*Kraina tajemnicy, piękna i pieśni.*

Napisała to Ina Coolbrith; teraz jej słowa wykute w murze widniały koło schodów. Sylvia wolała napis markerem wyżej, na piętrze. „Cisza. Trwa praca”.

W dzieciństwie Sylvia nigdy nie odwiedziła tej biblioteki, chociaż dorastała w pobliżu, w szarym drewnianym domu przy Q Street. Na sporym skrawku ziemi od frontu rosły różane drzewka cytrynowe, a ód tyłu ostra czerwona papryka. Matka zawsze była w ogródku; miała do tego rękę. Szczególne nabożeństwo żywiła do świętej Teresy, która przyrzekła okryć po śmierci świat różami.

Matka pracowała nad swoją częstką. Miała krzaki różane, drzewka i róże pnące na kratownicach. Karmiła je kompostem, owijała na zimę, truła na nich mszyce.

- Skąd wiesz, co robić? - spytała kiedyś Sylvia, a matka odrzekła, że wystarczy uważać, róże same powiedzą, czego chcą.

Ojciec pisał do hiszpańskojęzycznej gazety „La Raza”. Wieczorami schodzili się mężczyźni, siadali na ganku, grali na gitarach, rozmawiali o polityce, farmerstwie, imigracji. Nazajutrz rano Sylvia musiała sprzątać ganek z butelek, niedopałków i brudnych talerzy.

Innym jej obowiązkiem było pomknąć prosto ze szkoły do domu babki, gdzie codziennie tłumaczyła jej na żywo telenowelę *Młody doktor Malone*. Ależ się działo w tym miasteczku Denison! Morderstwo, uwięzienie, pijaństwo, rozpacz. Cudzołóstwo, ślepotą historyczną. Zakrzepica. Rak gardła. Wypadki kończące się kalectwem. Sfałszowane testamenty. Potem dawali drugi odcinek.

Następnie babka Sylvii roztrząsała całe widowisko, cieniowanie postaci, wątki i symbole, pożyteczne nauki moralne. Na analizach schodziła reszta popołudnia. Kobiety miały przygody i ślepy. Pielęgniarki kochały się w lekarzach z cichym poświęceniem, którego nikt od nich nie żądał, otwierały szpitaliki pediatryczne, odwalaly kawał dobrej roboty. Życie składało się z ostrych dyżurów, spraw sądowych, bolesnych romansów i krewnych wbijających nóż w plecy.

Czasami ojciec czytał Sylvii do poduszki europejskie bajki, czyniąc jednak z blond bohaterki brunetki (jakby Sylvię można było omamić, jakby córka Diega Sancheza mogła się utożsamiać z jakąś brunetką, zresztą imieniem Śnieżka) i akcentując zagadnienia klasowe, ilekroć nadarzyła się okazja. Drwale rośli i żenili się z księżniczkami. Królowe tańczyły do upadłego w zakrwawionych pantofelkach.

A w niedziele matka czytywała Sylvii *Żywoty świętych*, o świętej Dorcasie i wszystkich innych, które wyrzekały się majątku i poświęcały dobroczynności. Matka śpiesznie przerzucała kartki, żeby pominąć męczennice: świętą Agatę (której obcięto piersi), świętą Łucję (której wydłubano oczy) i świętą Perpetuę (która własnoręcznie naprowadziła katowskie ostrze na swoje gardło). Sylvia przez całe lata nie miała pojęcia, że w tej książce są i takie historie. Najwyżej się domyślała.

Lecz ani bajki, ani święte nie mogły się równać z nieprzemijającą magią *Młodego doktora Malone'a*. Sylvia łączyła babczyny schyłek z dniem, w którym tę telenowelę zdjęto z

anteny.

O Sylvii dowiedziałyśmy się najwięcej od Jocelyn. Jako jedenastolatki poznały się na obozie skautowskim. Mała Jocelyn Morgan z małą Sylwią Sanchez.

- Mieszkałyśmy obie w czipewejskiej chatce - opowiadała Jocelyn. - W porównaniu ze mną Sylvia wydawała się bardzo dorosła. Nikt by nie przypuszczał, że taka dziewczynka tyle wie. O historii i medycynie. Potrafiła mnóstwo opowiedzieć o śpiączkach.

Zawsze jednak uważała, że wychowawcy coś knują za naszymi plecami. We wszystkim, co robili, zawsze się dopatrywała najwymyślniejszych spisków. Pewnego razu zabrano na wędrowną naszą czteroosobową czipewejską drużynę, a potem zostawiono, żebyśmy same trafiły do obozu. Miałyśmy zdobyć jakąś sprawność, tak w każdym razie wyjaśniał wychowawca. Sylvia żywiła nie lada podejrzenia. „Niby czemu ktoś chce cię zostawić na bezdrożu?” - pytała nas po kolei. Co o tym pomyśli dziewczynka?

W rodzinie Sylvii nikt nie wiedział, że ojciec już nie dostaje czeku z wypłatą; że zaczął ich pieniądze ładować w gazetę, aż się skończyły. Przeprowadzili się potem nad Zatokę, gdzie stryj Sylvii zatrudnił ojca we własnej restauracji. Sylvia z braćmi zamienili piętrowy wiktoriański domek na ciasne mieszkanie, szkołę prywatną na duże szkoły publiczne. Starsza siostra Sylvii była już mężatką i została w Sacramento, gdzie rodziła dzieci; rodzice zaś narzekali, że już nie widują wnuków.

Czasem jeździli z dziadkami na niedzielę do Sacramento. Znacznie częściej ojciec Sylvii musiał pracować, więc nie jechali. Ojciec nieprzyzwyczajony do obsługiwanie, mógł się wydać klientom niezycliwy. Dał się zapamiętać jako ten, który nie uczestniczy w ich pogawędkach; nie wdawał się też w dyskusje o związkach zawodowych z pomocnikami kelnera czy kucharzami. Cała ta procedura napiwkowa zmierza do upokorzeń. Kiedy na urodziny matki ojciec, jak co roku, wyśpiewywał o świcie, o wpół do szóstej rano alboradę, Sylvia zobaczyła światła zapalane w oknach sąsiedniego domu przez tyleż zirytowanych co zaciekawionych Anglosasów.

Córka jednego z kucharzy chodziła do publicznego gimnazjum. Ojciec Sylvii zaaranżował spotkanie, więc z początkiem roku szkolnego Sylvia miała już przyjaciółkę. Dziewczynka, rok młodsza od Sylvii, miała na imię Constance. Używała bezbarwnej szminki, a głowa z tapirowanymi włosami przypominała kłęb pakuł. Na lewej dłoni wyszyła imię chłopaka. Sylvia nie mogła na to patrzeć, chociaż Constance tłumaczyła, że to nie boli; cała sztuka to szyć płytko. Sylvia musiała więc opisać niebezpieczeństwa infekcji, ryzyko amputacji. I powiedzieć, że to naprawdę ohydne. Nie zostały, rzecz jasna, przyjaciółkami od serca. Lecz była Jocelyn. A potem Daniel.

- To katolik? - spytała matka, kiedy pierwszy raz odwiózł ją ze szkoły do domu.

- Ja za niego nie wychodzę! - odpaliła, bo nie był katolikiem, z czym nie chciała się wygadać.

Pewnej nocy po ślubie, po pierwszym poważnym małżeńskim starciu, Sylvia

podjechała pod dom rodziców i zapłakana stanęła pod wejściem z koszulą nocną w torbie, lecz ojciec nie wpuścił jej za próg.

- Wracaj do męża - powiedział. - Teraz tam masz dom. Wyprostuj, co trzeba wyprostować.

Bo z drugiej strony oni, niekatolicy, wierzą w rozwody. Z takiego czy innego powodu mogą się poczuć nieszczęśliwi i zaraz są gotowi odejść, a ich rodzice ani myślą ich powstrzymać; to pierwszy powód, żeby nie wychodzić za niekatolika.

I co, czy po trzydziestu kilku latach Daniel nie postąpił właśnie w ten sposób? Szkoda, że matka Sylvii tego nie dożyła. Tak lubiła mieć rację.

Prawdę mówiąc, nie bardziej niż inni.

Z sali mikroczytników wynurzyła się tęga kobieta i podeszła do biurka. Była w dżinsach i zielonej bluzie Squaw Valley. Za ucho wetknęła ołówek. Nosiła też okulary, więc przestrzeń za uchem wykorzystwała starannie.

- Jest luka w „San Francisco Chronicle” z 1890 roku - poskarżyła się Sylvii. - Między dziewiątym a jedenastym maja. Zajrzałam do „Alta” i to samo. Podobnie „Wasp”. Jakby w 1890 w ogóle nie było dziesiątego maja.

Sylvia zgodziła się, że to dziwne. Ponieważ mikrofisze pochodzą z centrali, podejrzewa, że wizyta w innej bibliotece nic nie wyjaśni. Sylvia posłała do piwnicy Maggie, żeby sprawdziła, czy brakujących numerów nie ma wśród prawdziwych, papierowych gazet.

W zasadzie bibliotekarze lubią specjalne zamówienia. Bibliotekarz z informatorium to ktoś, kto lubi łowy. Kiedy bibliotekarze czytają dla przyjemności, często trafiają na zagadki. Do tkwienia przy katalogu ciągnie ich też z gorzej znanych powodów.

Czarny mężczyzna w szarym golfie chciał w dziale przekazów ustnych znaleźć wypowiedź o polityce społecznej urzędu wicegubernatora między 1969 a 1972 rokiem.

Starszy facet w aksamitnym berecie przywołał Sylvię do stolika, żeby się pochwalić swym dziełem. Pięknie i w wyszukany sposób kaligrafował drzewo genealogiczne swojej rodziny.

Wróciła Maggie; nic nie zdołała znaleźć pod zagadkową datą. Może wysłać zapytanie do Biblioteki Bancrofta w Berkeley, zaproponowała, ale kobieta szukająca „Chronicle” powiedziała, że musi iść; kończy się czas w parkometrze. Może w przyszłym tygodniu, kiedy wróci.

Mężczyzna z brzydką skórą poprosił o pomoc w wydrukowaniu odbitki z czytnika mikrofilmowego. To z kolei należało do Sylvii.

Sala główna była miła i ładna, o zaokrąglonych ścianach i dużych oknach z widokiem na dachy kryte czerwoną dachówką. Zza stolika można było zobaczyć wierzchołek kopuły Kapitolu.

Czytelnia zbiorów specjalnych, z rzędami przeszklonych szafek wypełnionych rzadkimi wydaniem, też była na swój sposób miła. Tu pracowało się za zamkniętymi drzwiami, z dala

od zewnętrznych hałasów. Tylko bibliotekarze mogli kogoś wpuścić lub wypuścić.

Natomiast sala mikroczytników, bez okien, oświetlona była tylko z góry oraz poświatą aparatów. Nie cichło w niej ani na chwilę buczenie; obrazy nieuchronnie wyjeżdżały z kadru to w tę, to w tamtą stronę, trudno je było od razu ująć w całości. W sumie idealny rozrusznik bólu głowy. Trzeba kochać pracę badawczą, żeby pokochać salę mikroczytników. Sylvia właśnie ładowała magazynek, kiedy podeszła do niej Maggie.

- Mąż do ciebie dzwoni - oznajmiła. - I mówi, że to pilne.

Allegra miała fantastyczny dzień. Spędziła pracowicie rano, pchnęła parę zamówień pocztą. Myślała o urodzinowym prezencie dla Sylwii i zastanawiała się, jak go zrobić. Dla rozjaśnienia umysłu wybrała się do Rocknasium, miejscowej hali wspinaczkowej. Kiedy człowiek się wspina, może naprawdę myśleć tylko o jednym, o wspinaniu; ale takie niemyślenie Allegra zawsze uważała za twórcze. Wpięła się w uprząż. Miała się spotkać z Paulem, przyjacielem, z którym przez kilka ostatnich miesięcy asekurowali się wzajemnie. Allegra osiągnęła poziom gdzieś pomiędzy 5,6 a 5,7; Paul był trochę lepszy. Do bywalców zaliczali się tu niemal wyłącznie mężczyźni, lecz te nieliczne przychodzące do klubu kobiety były pokroju Allegrы: mocne i atletyczne. Pomieszczenie wypełniał zapach kredy i potu: wonie Allegrы.

W Rocknasium stało zaledwie dziewięć pełnowymiarowych ścian, z licznymi występami i szczelinami. Chwyty i stopnie oznaczono zaciekami jaskrawych farb, jak z obrazów Jacksona Pollocka. Po każdej ścianie biegły różne trasy: czerwona, żółta, niebieska. Żeby nie zboczyć, należało ignorować najbliższy chwyt, natomiast wypatrywać stosownego koloru. Właściwy chwyt był z reguły mały i odległy. Poprzedniego wieczoru Paul zadzwonił do Allegrы, że właśnie zmieniono trasy. Mówił też o znaczeniu czasu.

Na początku uwieszanej na ścianie Allegrze zdarzało się za długo rozmyślać nad dobraniem się do następnego chwytu. Mdlejące ramiona i palce zaczynały palić żywym ogniem. Zauważyła, że doświadczeni wspinacze poruszają się bardzo, bardzo szybko. Tkwienie w miejscu to cięższa praca niż ruch, a nadmiar myślenia to klęska. Allegra podejrzewała, że udzielono jej nauk. Owszem, szybko się uczy, ale za wykładami nie przepada.

Jeszcze nie była w Rocknasium za dnia. Zniknęła ta pesząca trzeźwość zwykłych wspinaczy, zniknęły ich skupienie i spokój. W zamian ktoś wrzeszczał. Ktoś śpiewał. Rzucali kredą. Śmiechy i nawoływania, wrzawa z powodu urodzin dziesięciolatki, odbijały się od pochłapanych farbą sztucznych skał. Dzieci, jeszcze z mlekiem pod nosem, przywierały na linach do ścian jak pająki. W powietrzu unosiło się tyle kredy, że Allegra zaczęła kichać. To też peszyło, ale inaczej.

Allegra lubiła rolę ciotki. Brat Diego miał dwie córki. Tyle akurat czasu chciała poświęcać dzieciom. Prawdopodobnie. Nic więcej nie chce. W zasadzie. Jest jakiś haczyk w tym kodzie genetycznym, który czyni człowieka lesbijką, pozostawiając w pełni żywotny



instynkt reprodukcji. Kiedyś Allegra ledwie dostrzegała upływ lat.

- Chodź tu! - niecierpliwie wykrzykiwał jakiś szczeniak do kogoś, kto się nie zjawiał.

Czekając na Paula, Allegra zajęła się rozgrzewką na ścianie do wspinaczki solo.

Ścianka była na tyle niska, żeby się obejść bez asekuracji, góra dwa metry i ćwierć. Na dole gruba mata. Allegra stanęła na niebieskim stopieńku. Sięgnęła po niebieski chwyt nad głową. Podciągnęła się. Od niebieskiego do niebieskiego, od niebieskiego do niebieskiego. W górze, za najbliższą plamą niebieską, zobaczyła wabiącą inną, pomarańczową - trzeba by skoczyć - lśniąca na granicy możliwości. Najlepiej wszystko idzie wtedy, kiedy człowiek nie myśli. Wystarczy skoczyć.

Po prawej zjeżdżała w ekspresowym tempie dziewczynka świętująca urodziny, a asekurujący tak manipulował liną, żeby miała maksimum frajdy. Ktoś zawołał:

- Zajebista robota. Ale z ciebie Jet Li!

Na innej ścianie jakiś dorosły podpowiadał:

- Masz purpurowy tuż po lewej. Dasz radę sięgnąć. Nie bój się. Zaasekuruję.

Zaasekuruję.

Nikt nie asekuruje Allegry, ale Allegra nigdy nie potrzebowała asekuracji. Sięgnęła za siebie do sakiewki po kredę. Zastartowała z wyciągniętą ręką.

Sylvia zadzwoniła do Jocelyn z samochodu.

- Allegra miała upadek w szkółce wspinaczkowej - powiedziała. - Próbowała nie wyobrazić sobie, co może się przytrafić komuś, kto spadnie. Wózek. Śpiączka. - Zabrali ją do Sutter. Właśnie tam jadę, ale nic nie wiem. Nie wiem, czy coś poważnego. Nie wiem, czy jest przytomna. Nie wiem, czy złamała paznokiec, czy skręciła kark. - Ostatnie zdanie ledwie wykrztusiła, nie mogła stłumić płaczu.

- Oddzwonię, jak tylko tam dojadę - odpowiedziała Jocelyn. - Na pewno wszystko w porządku. W tych szkółkach nie wolno się wspiąć bez uprząży asekuracyjnej. Niemożliwe, żeby sobie zrobiła coś poważnego.

Jocelyn zawsze uważa, że wszystko jest w porządku. Jeśli w chwili przyjscia Jocelyn nie jest w porządku, to w chwili wyjścia, cholera jasna, na pewno będzie. O sprawach nie do wyprostowania Jocelyn nigdy nie myśli, chyba że musi. Sylvia zaś czasem myśli tylko o czymś takim, całymi dniami. Jocelyn nie ma dzieci; Sylvia ma troje plus dwoje wnuków, a to różnica. Jakim cudem Allegra ląduje w szpitalu, skoro wszystko w porządku?

Nieszczęścia się zdarzają, mimo wszystko. Nie można bez końca liczyć na szczęście. Tego dnia, kiedy zginął brat Daniela, Sylvia i Daniel siedzieli w wozie Daniela, zaledwie o parę przecznic od jego domu. Trochę się całowali, trochę rozmawiali. W pocałunki i w rozmowę wkradło się napięcie. Wciąż rozgryzali na nowo to samo. Czy się zapiszą do tego samego college'u? Czy w tym samym college'u będą tylko po to, żeby pozostać razem? A jeśli chcą być oboje w tym samym college'u, to może któreś powinno iść gdzie indziej, żeby uniknąć bycia razem? Czy ich związek wytrzyma próbę rozstania? Czy należy ją podjąć? Kto

kogo bardziej kocha? Wtedy usłyszeli syreny. I zaczęli się całować.

Brata Daniela potrafił samochód prowadzony przez szesnastolatka. Andy zginął na miejscu, co było niewielką tylko pociechą: Daniel nie musiał spędzić reszty życia na myśleniu, że gdyby wrócił do domu na dźwięk syreny, mógłby się jeszcze pożegnać z bratem.

Sylvia uważała matkę Daniela za kobietę dziwnie chłodną: uprzejmą, lecz zdystansowaną. Jeszcze bardziej się to uwidoczniło, kiedy Sylvii i Danielowi, już małżeństwu, urodziły się dzieci. Czy ktoś słyszał jakieś jej ciągłe narzekania, że nigdy nie widuje wnuków? Czy ktoś słyszał łkanie i widział załamywanie rąk, kiedy się okazało, że Allegra - taka ładna! - jest lesbijką i pewnie nigdy nie urodzi dzieci?

Sylvia też była chłodna w jakiejś mierze, ale w ogólnej wrzawie jej barwnej rodziny nikt tego, łącznie z Sylwią, nie zauważył. Owszem, lubiła matkę Daniela - jak tu nie lubić kobiety nie rzucającej cienia? - lecz uznanie obu za podobne byłoby dla Sylvii obrazą. W dniu śmierci Andy'ego widziała matkę Daniela zmiętą jak papier. Coś, co się zagnieździło na jej twarzy, już jej nie opuściło.

Jane Austen pisze w *Perswazjach* o śmierci dziecka. Zwięźle i lekceważąco. Musgrove'owie, powiada, „mieli nieszczęście posiadać bardzo nieudanego syna, który przysparzał im wiele zmartwień, oraz szczęście stracić go, zanim dożył dwudziestu lat”\*. Dick Musgrove nie był kochany. Kiedy posłano go na morze, nikt za nim nie tęsknił. Na statku pod komendą kapitana Wentwortha umarł w okolicznościach nigdy nie wyjaśnianych i tylko śmierć nadała mu wartość w oczach rodziny.

Tych to rodziców Anna Elliot, bohaterka Austen, przedstawia później w tej książce jako nadzwyczajnych.

\* *Fragmenty Perswazji w przekładzie Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej.*

„Cóż to za błogosławieństwo dla młodych - powiada Anne - znajdować się w takich rękach!”

Na dojazdowej drodze na grobli był korek; jezdni zalana. Sylvia pełzła ze wszystkimi. Złe rzeczy się zdarzają. Teraz na jezdni było szkło, potem roztrzaskany wóz na poboczu, tylne drzwi po stronie kierowcy niemal złożone na dwoje. Ludzi już wyciągnięto, lecz nie wiadomo, w jakim stanie. Minąwszy to miejsce Sylvia już mogła przyśpieszyć i pojechać z szybkością obowiązującą na autostradzie.

Dotarcie do szpitala zajęło Jocelyn zaledwie kwadrans, kolejnych pięć minut zużyła na znalezienie w izbie przyjęć pielęgniarki, która odbierała Allegrę z karetki.

- Czy pani jest krewną? - spytała pielęgniarka, a potem bardzo grzecznie wyjaśniła, że szpital nie może udzielić informacji o stanie Allegry nikomu, kto się do krewnych nie zalicza.

Jocelyn wierzyła w reguły. Wierzyła więc w wyjątki. Nie chodzi o nią, lecz o każdego

w jej sytuacji. Niezwykle grzecznie opisała scenę, którą potrafi urządzić.

- Nie będę się krępować - powiedziała. - A jestem w formie. Jej matka czeka na mój telefon.

Pielęgniarka zauważyła, że Allegra to także nazwa środka antyalergicznego. Było to złośliwe i niestosowne. Kiedy Jocelyn roztrząsała to później, przypominając sobie wszystko z wyjątkiem obaw o Allegrę, ten rozdziałik naprawdę ją złościł. Cóż za arogancja. Żeby w tej sytuacji palnąć coś podobnego.

Pielęgniarka jednak zdradziła, że zrobiono prześwietlenie, że Allegrę włożono w gorset. Są obawy o uraz głowy, ale pacjentka jest przytomna. Wypadkiem zajmuje się doktor Yep. Nie, nie, Jocelyn nie może zobaczyć Allegrę. Prawo do tego mają tylko krewni.

Jocelyn właśnie tłumaczyła pielęgniarce, że ta znowu gruntownie się myli, kiedy przyjechał Daniel. Od miesiący nie rozmawiali, on zaś jak gdyby nigdy nic objął Jocelyn na przywitanie. Pachniał jak zawsze, Danielem.

Przychodzą czasy, kiedy człowiekowi brak czyichś ramion. Jocelyn na ogół lubiła los singla, ale zdarzały jej się chwile namysłu nad tym losem.

- Prześwietlili ją. Niewykluczony uraz głowy. Nic mi tu nie chcą powiedzieć - nowiny słała w ramię Daniela. - W tej chwili muszę zadzwonić do Sylvii.

Zanim zjawiła się Sylvia, Allegra od dwóch godzin była unieruchomiona i wściekła z tego powodu. Sylvia, Daniel i Jocelyn krążyli nad nią ze zbieleńcami twarzami i wymuszonymi uśmiechami. Zgodnie twierdzili, że coś się zawsze musi stać Allegrze, nigdy chłopcom. Pamiętacie, jak dorobiła się pęknięcia w stopie, kiedy spadła z drabinek? Pamiętacie, jak wywichnęła obojczyk, kiedy zleciała z wiazu? Pamiętacie pęknięcie łokcia po tym wypadku rowerowym? Lgną do niej wypadki, uznali, na skutek czego Allegrę ogarniała jeszcze większa wściekłość.

- W ogóle nic mi nie jest - powiedziała. - Spadłam może półtora metra, do tego na matę. W pale się nie mieści, że mnie tu zabrali. Nawet nie zemdlałam.

W rzeczywistości straciła przytomność, co zresztą podejrzewała. Nie pamiętała bowiem samego upadku, dosłownie nic, aż do przyjazdu ambulansu. I na pewno przeleciała więcej niż półtora metra. Skoro jednak nie pamięta szczegółów, może je sobie dobrać. Czy to jest kłamstwo?

A teraz w szpitalu, kiedy tak stoją przy jej łóżku, jak w ostatniej scenie *Czarodzieja z Oz*, zaczęła ich posądzać o zмовę, o wiele hałasu o nic. Zważywszy wszystko - sływy tratwą w kanionach, snowboarding, surfowanie, na Boga, także spadochroniarstwo - Allegra uważa swoje konto za wcale czyste. Tylko dlatego tak to paskudnie wygląda w oczach rodziców, że nic nie wiedzą o tratwach, snowboardingu, surfowaniu ani spadochroniarstwie.

W końcu zjawiła się doktor Yep z kliszami. Allegra nie mogła się obrócić ani o centymetr, żeby popatrzeć; zresztą nigdy nic nie umiała dostrzec w rentgenogramie. Przez teleskop nigdy nie widziała koloru gwiazd, nigdy nie umiała wypatrzeć ptaków przez

lornetkę ani orzęsków pod mikroskopem. Irytujące, ale nie na co dzień.

Doktor Yep rozmawiała z rodzicami, wskazywała coś w żebrach Allegry, coś w czaszce. Było to przyjemne, bo doktor miała bardzo miły głos, a mówiła długo. Po wyliczeniu wielu rzeczy, które mogły się Allegrze przytrafić, lecz się na szczęście nie przytrafiły, doktor Yep przeszła do sedna. Allegrze naprawdę nie stało się nic złego (a co mówiła Allegra?). Niemniej zostanie na noc na obserwacji (chcą ją do reszty wkurzyć). Doktor utrzymywała, że w karetce Allegra udzielała dziwacznych odpowiedzi, pytana o dzień i miesiąc. Allegra stanowczo zaprzeczyła.

- Bo oni to brali całkiem dosłownie - oświadczyła. Swoich odpowiedzi nie pamięta, za to pamięta buczenie tej aparatury, jak chmary komarów; to ją sprowokowało. Może zacytowała coś z Emily Dickinson? Od kiedy to jest zbrodnia? Przynajmniej uznano w końcu, że można ją rozsznurować, więc może się ruszać. Zaraz skorzystała z tej możliwości, ale poczuła się głupio, odkrywając na skroni bandaż, a na policzku krew. Widocznie rąbnęła się w głowę.

Dalsze czterdzieści minut upłynęło na wypełnianiu papierów oraz instalowaniu Allegry na górze. Tymczasem poczuła, jaka jest potłuczona, posiniaczona, sztywna, czaszkę zaczynał rozsadzać straszliwy ból. Podanie paru tylenoli nic nie pomoże. Tu trzeba prawdziwych prochów, mimo że się nie połamala: chyba ktoś jeszcze, oprócz niej, na to wpadnie?

Pielęgniarką dyżurną okazała się Callie Abramson. Chodziły razem do szkoły średniej, chociaż nie do tej samej klasy i należały też do różnych kółek. Callie pracowała nad księgą pamiątkową i udzielała się w samorządzie uczniowskim. Allegra zgłosiła się do hokeja na trawie i kółka artystycznego. Tak czy owak, miło było w tak dziwnym miejscu zobaczyć znajomą twarz. Przynajmniej Sylvia się ucieszyła.

Pomagając Allegrze ulokować się na łóżku, Callie opowiedziała, że Travis Browne został muzułmaninem. Fundamentalistą, powiedziała Callie, obojętnie, co to znaczy. Allegra nie pamiętała, czy zamieniła kiedyś z Travisem chociażby dwa słowa. Brittany Auslander aresztowano za kradzież komputerów z laboratorium językowego na uniwersytecie. Wszyscy zawsze ją uważali za taką dobrą dziewczynę, tylko nie Callie. Sama Callie wyszła za mąż, na pewno go nie znasz, powiedziała, i urodziła dwóch chłopców. A Melinda Pande okazała się lesbijką.

- Fundamentalistką? - spytała Allegra. Pamiętała Callie tak wychudłą, że wszyscy ją uznali za anorektyczkę. Swoją drogą, że też próbowała zostać cheerleaderką, chuda jak kij, w krótkiej spódniczce, z tą ostrą twarzyczką; wykrzykiwała, żeby postawić jej gola, gola z minusem, z dwoma. Na wiosnę, w trakcie końcowych egzaminów, miała odlot, podczas ataku hysterii zabrano ją do pokoju wychowawcy, a potem w jej schowku w szatni znaleziono pigułki; czy na odchudzanie, czy na otrucie się, tego nikt nie wiedział, za to wszyscy dużo gadali.

A teraz tu pracuje, szczupła, lecz nie za szczupła, uśmiecha się jak czyjaś mama i

mówi, jak to przyjemnie znów się spotkać. Allegra bardzo się tym ucieszyła. Spojrzała na zdjęcie chłopców Callie i poczuła wibracje płynące z domu tolerancyjnego, pełnego gwaru i miłości. Pomyślała, że Callie jest pewnie dobrą matką.

Najwyraźniej Callie ledwie pamiętała Allegrę; a przecież tak naprawdę czego oczekujemy od dzieciaków z naszej klasy?

Sylvia z Danielem pojechali razem do domu, żeby zabrać dla Allegrы trochę rzeczy - szczoteczkę do zębów, pantofle. Prosiła o koktajl mleczny, więc zabrali też koktajl.

- Jest osobą bardzo emocjonalną - oznajmiła Sylvii doktor Yep w zaufaniu. Widocznie uznała to za powód do obaw.

Sylvii dodało to otuchy. Ulga przerodziła się w uszczęśliwienie. To jej Allegra, cała, ta, co zawsze. Wolałaby ją zabrać do domu, chociaż i tak Sylvia nie może się na nic skarżyć, naprawdę na nic. Niewiele brakowało. Jeszcze jeden jakże szczęsny dzień jakże szczęsnego życia Sylvii.

- Jak się ma Pam? - spytała delikatnie Daniela. Wciąż jeszcze nie poznała Pam. Allegra opowiadała, że jest twarda i zadufana w sobie, modelowa prawniczka rodzinna.

- Pam? Dobrze. Czy Jocelyn nie wydaje ci się trochę przybita? Rzecz jasna, martwi się. Wszyscy się martwimy.

- Jocelyn jest w formie. Zajęta, bo zarządza światem.

- I chwała Bogu - powiedział Daniel. - Nie chciałbym żyć w świecie, którym Jocelyn nie zarządza. - A co, przecież właśnie to zrobił, rzucił świat zarządzany przez Jocelyn, dla świata, w którym Jocelyn nie ma. Sylvia tylko tak pomyślała, bo czuła zbyt wielką ulgę, zbyt wiele wdzięczności (choć nie wobec Daniela), żeby to palnąć na głos.

Widząc znowu Daniela w domu, Sylvia miała dziwne wrażenie, albo że śni, albo że właśnie się zbudziła - i w sumie nie umie powiedzieć, który to stan. Kim jest naprawdę - Sylwią bez Daniela czy Sylwią z nim? Czuła w jakiejś mierze, że w ciągu minionych miesięcy postarzała się o lata.

W innej zaś mierze stała się znowu córeczką rodziców. Po odejściu Daniela zaczęła sobie przypominać różne rzeczy z dzieciństwa, o których nie myślała od niepamiętnych czasów. Jakby Daniel był jakąś przerwą obejmującą większość jej życia. Nagle zaczęła na nowo śnić po hiszpańsku. Okazywało się, że myśli coraz częściej o matczynych różach, ojcowskiej polityce i mydlanych operach babki.

Rozwód sam w sobie to mydlana opera, trudno i darmo. Role rozpisane są wcześniej, nie da się ich odegrać inaczej, nie da się z nich uczynić czegoś własnego. Mogła się sama przekonać, jak dobija Daniela fakt, że we własnym rozwodzie nie gra czołowej roli.

- Musisz sobie zapamiętać, że cię rzucił nie tylko ten dobry Daniel - uczyła Sylwię Jocelyn. - Odszedł także ten zły. Bywał czasami nieznośny, prawda? Zrób listę wszystkiego, czego nie lubiłaś.

Niestety, kiedy Sylvia tego spróbowała, rzeczy nie lubiane często okazywały się też lubianymi. Chciała się skupić na jakimś nieprzyjemnym wspomnieniu - jak wyznaczyła jednemu z dzieci karę, po to tylko, żeby Daniel ją warunkowo zawiesił. Jak wypytywał Sylvie, co chce pod choinkę, a potem kręcił głową, zapewniając, że Sylvia wcale tego nie chce.

- Wstawisz do kredensu i będzie tam leżeć - przepowiadał, kiedy wspomniała o maszynie do krojenia chleba. - Wygląda jak płaszcz, który już masz - kiedy mu pokazała zimową kurtkę, która się jej podobała. Ileż w tym było samozadowolenia. Tego naprawdę nie mogła wytrzymać.

Potem wspominki skierowały się ku niej. Dzieci pięknie dorosły; ze wszystkich jest dumna. Nawet nie śniła, że stanie się tym kimś, kim się stała; dzięki takiemu właśnie Danielowi. Zwykle to coś cudownego.

Kilka tygodni wcześniej, zanim Daniel zabrał ją na kolację i poprosił o rozwód, obudziła się w nocy i zobaczyła, że nie ma go w łóżku. Siedział w fotelu w dużym pokoju i wpatrywał się w ulewę za oknem. Wiatr tłukł o szyby, kołysał drzewami. Sylvia bardzo lubiła nocne burze. Wszystko staje się proste. Człowiek po prostu się cieszy, że nie moknie.

Widocznie burza działała na Daniela inaczej.

- Jesteś szczęśliwa? - spytał.

Zabrzmiało to jak wstęp do długiej rozmowy. Sylvia nie włożyła szlafroka ani pantofli. Zmarzła. Była zmęczona.

- Tak - odrzekła; nie dlatego, że czuła się szczęśliwa, lecz żeby skrócić dialog. A może jest szczęśliwa. Nie mogła sobie przypomnieć niczego, co ją unieszczęśliwia. Od bardzo dawna nie zadawała sobie tego pytania.

- Nie zawsze to mogę powiedzieć - oświadczył Daniel.

Sylvia to uznała za krytykę. Już narzekał na tę nutę, że Sylvia jest zbyt ustępliwa, zbyt małomówna. Kiedy nauczy się otwierać? Woda lała się z rynien na taras. Sylvia usłyszała samochód na Piątej Ulicy, szszsz opon.

- Wracam do łóżka - powiedziała.

- Idź - odrzekł Daniel. - Wrócę za chwilę.

Ale nie wrócił, a ona zasnęła. Nie pierwszy raz snuła ten sen. Jest w obcym mieście, w którym nikt nie mówi znanymi jej językami. Próbuje dodzwonić się do domu, ale komórka nie działa. Do automatu telefonicznego wkłada niewłaściwe monety, a kiedy w końcu daje sobie z nim radę, w słuchawce odzywa się jakiś obcy człowiek.

- Daniela nie ma - mówi. - Nie, nie wiem, gdzie poszedł. Nie wiem, kiedy wróci.

Próbowała porozmawiać z Danielem rano, ale już mu przeszło.

- Nic ważnego - powiedział. - Już nie wiem, o co chodziło. Nie myśl o tym.

A teraz Daniel jest na dole w pokoju Allegry przy korytarzu i pakuje jej rzeczy.

- Może powinniśmy zawieźć jej książkę? - zawołał. - Co teraz czyta, może wiesz?

Sylvia nie odpowiedziała od razu. Poszła do sypialni, zadzwonić do chłopców i zauważyła, że ma pięć wiadomości. Cztery polegały na odłożeniu słuchawki bez słowa, pewnie agenci telemarketingu, jedną zaś nagrał Grigg.

- Czy moglibyśmy porozmawiać - zapytał. - Może zjesz ze mną lunch w tym tygodniu? Zadzwoń, proszę.

Nadszedł Daniel i dosłyszał jeszcze końcówkę. Był najwyraźniej zaskoczony. Sylvia mniej. Widziała w tym paluszki Jocelyn. Sylvia zawsze podejrzewała, że Grigg ma wobec niej jakieś zamiary. Oczywiście, nie miała na niego ochoty, ale od kiedy takie drobiazgi mogą powstrzymać Jocelyn? Jest o wiele za młody. Sylvia zauważyła, że Daniel nie pyta, kto dzwonił.

- To Grigg Harris - powiedziała. - Z mojego klubu miłośników Austen. - Niech sobie Daniel pomyśli, że Sylwią interesuje się ktoś inny. Mężczyzna odpowiedni. Który czytuje Jane Austen.

Mężczyzna, z którym Sylvia musi się teraz umówić na niechciany lunch. Niech diabli porwą Jocelyn.

- Możemy zabrać książkę dla Allegrzy? - jeszcze raz spytał Daniel.

- Czyta jeszcze raz *Perswazje* - odpowiedziała. - Obie czytamy.

Daniel zadzwonił do Diega; ich najstarszy syn był w Los Angeles prawnikiem od spraw imigracyjnych. Imię otrzymał po ojcu Sylvii i tylko on odziedziczył po dziadku pasję do polityki. Inny rys sprawiał, że Diego był dzieckiem najbardziej przypominającym Daniela, wcześniej dorosły, spolegliwy, odpowiedzialny. Kubek w kubek dawny Daniel.

Sylvia zadzwoniła do Andy'ego, który imię otrzymał po bracie Daniela. Andy był dzieckiem wyluzowanym. Pracował w firmie z Marin zajmującej się architekturą krajobrazu; natychmiast dzwonił z komórki, ilekroć jadł coś naprawdę dobrego lub patrzył na coś pięknego. Te sytuacje zdarzały się w życiu Andy'ego bardzo często.

- Niesamowity zachód słońca! - zapewniał. - Niesamowite zakąski!

Diego zaproponował, że przyjedzie, chociaż nie był przekonany, że to konieczne. Andy'emu nie przyszło to do głowy, chociaż miałby niewiele ponad godzinę drogi. Daniel z Sylwią wrócili do szpitala i siedli przy Allegrze. Zostali na noc, podrzemując na krzesłach, bo w szpitalach zdarzają się pomyłki - lekarze bywają roztargnieni z powodów osobistych, zdarzają się romanse i porzucenia, przyjmuje się ludzi z gorączką, a wypuszcza po amputacji. W każdym razie takie motywy przyświecały Sylvii. A Daniel został, bo chciał tam być. Była to pierwsza noc spędzona z Sylwią, od kiedy się wyprowadził.

- Daniel? - odezwała się Sylvia. Była druga nad ranem, może trzecia. Allegra spała, zwrócona twarzą ku Sylvii. Śniła. Sylvia widziała, jak oczy Allegrzy poruszają się pod powiekami. Znad poduszki dobiegał wyraźny, chociaż krótki oddech. - Daniel? - jeszcze raz odezwała się Sylvia. - Jestem szczęśliwa.

Nie usłyszała odpowiedzi. Może Daniel też spał.

W następną sobotę Sylvia zorganizowała wycieczkę na plażę. Zaproponowała sushi w Osace w Bodega Bay; Allegra na wieść o sushi nigdy nie mówi „nie”, a w Osace jedli najlepsze w życiu. Saharze i Thembe zaproponowała wyścigi po piasku, bo jeśli o to chodzi, nigdy nie powie „nie” Jocelyn. Jest tak niewiele miejsc, gdzie spuszczone ze smyczy ridgebacki mogą się bezpiecznie wyhasać. Nie są to psy przychodzące na zawołanie. Chyba że należą do Jocelyn. Wycieczka na plażę pozwalała się też wyrwać ze skwaru panującego w ciągu dnia w Dolinie.

- I myślę, że zaproszę też Grigga, zamiast wybierać się z nim na lunch - powiedziała do Jocelyn. - Zajęcia grupowe to sposób na uniknięcie niechcianej zażyłości.

Rozmawiały przez telefon; po drugiej stronie zapanowała znamienna cisza. Sylvia nie opowiedziała Jocelyn o lunchu, więc może Jocelyn była po prostu zaskoczona.

- W porządku - odezwała się w końcu Jocelyn. - Chyba uda nam się jeszcze kogoś wcisnąć do wozu. - Co brzmiało dziwnie. Jeśli pojedą vanem Jocelyn, a na pewno nim pojedą ze względu na psy, to można wcisnąć więcej osób.

I całe szczęście, bo Grigg powiedział najpierw, że nie może. Przyjechała w odwiedziny siostra, Cat. A potem zadzwonił znowu i powiedział, że Cat bardzo chce pojechać na plażę, w gruncie rzeczy nawet nalega, więc czy mogą dołączyć oboje? Okazało się, że Cat jest bardzo podobna do Grigga, tyle że grubsza i bez takich rzęs.

Odpływ wytrawił w piasku pełne wdzięku krzywizny. Znad wody dał wiatr, pędząc wzburzone fale. Nie sunęły w porządku, metodycznie, ale - porozrywane - wpadały na siebie, a mieniły się w nich biel, brąz i błękit. Woda wyrzuciła na piasek trochę małych muszli o doskonałym kształcie, wszyscy jednak byli zbyt poprawni ekologicznie, żeby je podnieść.

Allegra wpatrywała się w ocean, odgarniała z oczu powiewające włosy, a jej skroń zdobił delikatny tatuaż: motylkowate szwy.

- Austen w *Perswazjach* zachwyca się marynarzami - powiedziała do Sylwii. - Jakim zawodem zachwyciłaby się dzisiaj?

- Może strażakami? - podsunęła Sylvia. - Jak wszyscy? - Zaraz potem zamilkły, bo zbliżała się Jocelyn; omawianie książki przed spotkaniem, aczkolwiek tolerowane, nie doczekałoby się pochwał.

Psy były w ekstazie. Sahara uganiała po piasku, tarmosząc sznur wodorostów, który upuściła, żeby obszczekać foki wygrzewające się w słońcu na skale, o którą rozbijała się fala. Foki odszczekiwały; wszystko to w przyjaznej tonacji.

Thembe znalazł zdechłą mewę i zaraz wytarzał się w padlinie; Jocelyn musiała go zaciągnąć do lodowatej wody i wyszorować mokrym piaskiem. Stopy Jocelyn tak zbieleły, że przypominały rybi brzuch; Jocelyn szczekała zębami z zimna, co było rzadkim osiągnięciem jak na sierpień. Wyglądała bardzo ładnie, włosy związane z tyłu chustką, skóra wygładzona przez wiatr. Tak to przynajmniej widziała Sylvia.

Sylwii udało się uniknąć sam na sam z Griggem. Niemal te same manewry zauważyła



u Jocelyn. Usiadły razem na piasku, kiedy Jocelyn wycierała się flanelową koszulą, chwilowo służącą za ręcznik.

- Jadąc do szpitala - powiedziała Sylvia - pomyślałam, że jeśli Allegra jest jednak cała, będę najszczęśliwszą kobietą pod słońcem. Była cała, a ja byłam szczęśliwa. Lecz dzisiaj zlew jest zatkany, w garażu karaluchy, a ja nie mam czasu, żeby się uporać chociaż z jednym. W gazetach wyłącznie nieszczęścia i wojna. Już muszę się napominać, że mam być szczęśliwa. Ale, widzisz, gdyby się to ułożyło inaczej, gdyby Allegrze coś się stało, nie musiałabym się napominać, że mam być nieszczęśliwa. Byłabym nieszczęśliwa do śmierci. Dlaczego nieszczęście jest o tyle potężniejsze od szczęścia?

- Jeden wredny typ psuje całą grupę - zgodziła się Jocelyn. - Jedno rozczarowanie rujnuje cały dzień.

- Jedna zdrada przekreśla lata wierności.

- Trzeba dziesięciu tygodni, żeby dojść do formy, i dziesięciu dni, żeby ją stracić.

- W tym rzecz - powiedziała Sylvia. - Nie mamy szans. - Jocelyn zawsze była Sylvii bliższa i droższa niż własna siostra. Kłóciły się o opieszałość Sylvii i apodyktyczność Jocelyn, o uległość Sylvii i zasadniczość Jocelyn, lecz nigdy się nie wdały w poważny spór. Przed laty Sylvia przejęła Daniela od Jocelyn, a Jocelyn po prostu pokochała oboje.

Przysiadła się do nich Cat. Sylvia ją polubiła od pierwszej chwili. Cat śmiała się chętnie i głośno, a jej śmiech trochę przypominał kwakanie.

- Grigg po prostu przepada za psami - powiedziała. - Nigdy nie mogliśmy mieć psa, więc trzyletni Grigg postanowił go zastąpić. Musiałyśmy go poklepywać, głaskać po głowie i mówić, jaki to z niego dobry pies. I dawać smakołyki. A potem była ta książka, którą się zachwyił. *Zielone pudle*. Coś w rodzaju kryminału. Rzecz się dzieje w Teksasie, jest kuzyn z Anglii odnaleziony po latach, jest zaginiony obraz. I całe mnóstwo psów. Amelia, nasza siostra, czytywała nam to do poduszki. Książki i psy, oto nasz Grigg.

Allegra znalazła w zaklęśnięciach skał kałuże po przyptywie i nawoływała, żeby przyjść i popatrzeć. Każda była osobnym światem, maleńkim, lecz pełnym. Te kałuże miały wdzięk domków dla lalek, lecz nie wzniewały chęci przemeblowania. Gęsto wyściełane anemonami, z obfitością mięczaków, trafiał się też jeżowiec, uchowiec wielkości paznokcia, płotka lub dwie. Słowem, zapowiedź lunchu.

W drodze powrotnej Jocelyn pomyliła skrzyżowania. Półgodzinne błądzenie po pustkowiach Glen Ellen zupełnie nie pasowało do Jocelyn. Na przednim siedzeniu

Sylvia wpatrywała się w mapę MapQuest, która teraz, kiedy była potrzebna, wykazywała brak związku z rzeczywistością, zarówno w odniesieniu do dróg, jak i odległości. Z tyłu Cat nagle obróciła się do Grigga.

- Mój Boże! - wykrzyknęła. - Widziałeś ten znak? Do Los Guilicos? Pamiętasz szkołę Los Guilicos, dla niegrzecznych dziewczynek? Ciekawa jestem, czy jeszcze stoi?

- Nasi starzy zawsze straszili siostry szkołą Los Guilicos - wtajemniczał wycieczkę

Grigg. - Taki rodzinny żart. Przeczytali o niej w gazecie. Podobno było tam całkiem ostro.

- Wybuchnął bunt - powiedziała Cat. - Chyba nie było mnie jeszcze na świecie.

Zaczęły jakieś dziewczyny z Los Angeles, chyba dlatego gazety z Los Angeles tak się rozpisywały. Trwał pełne cztery dni. Policja aresztowała dziewczęta, zabierali je i ogłaszali, że teraz wszystko jest pod kontrolą, tymczasem następnej nocy te pozostałe zaczynały wszystko od nowa. Wybijały okna, upijały się, walczyły nożami wywleczonymi z kuchni i kawałkami szkła. Wyrywały w toaletach muszle i wyrzucały przez okno razem z resztą umeblowania. Ruszyły do miasteczka, gdzie też powybijały szyby. Ściągnięto w końcu Gwardię Narodową, ale nawet ci nie zdołali spacyfikować dziewczyn. Cztery dni! Bandy demolujących co popadnie nastolatek. Zawsze sądziłam, że o tym można nakręcić wielki film.

- Nigdy nie słyszałam - przyznała Sylvia. - Kiedy to wybuchło?

- Nie wiem - odrzekła Cat. - O wszystko oskarżono rozjuszone lesbijki.

- No tak - powiedziała Allegra. - Oczywiście.

Sylvia nie miała pojęcia, co w tym oczywistego. O ilu buntach, o które oskarżono rozjuszone lesbijki, słyszała Allegra?

A może w tym „oczywiście” krył się podziw? Może te lesbijskie miotaczki muszli klozetowych wzbudziły w Allegrze skrywany zachwyt?

- Miewałem koszmarne sny - powiedział Grigg. - Te niegrzeczne dziewczynki ścigały mnie z nożami.

- Oczywiście - powiedziała Cat. - Mogły ci się przyśnić. Nie ciągnie cię, żeby pomyśleć, co się teraz z nimi dzieje? Kim zostały?

- Skręć tutaj - Sylvia wskazała Jocelyn tę drogę tylko dlatego, że mogły przejechać koło działki porośniętej różami.

Jocelyn skręciła. Niechaj do domu prowadzi święta Teresa.

Albo niech zaprowadzi do Los Guilicos, tej szkoły dla niegrzecznych dziewcząt. Sylvia przystałaby i na to.

Jocelyn nie była rozmowna. Po części dlatego, że nie słyszała, o czym się mówi na tylnych siedzeniach. Głównie jednak z innego powodu; jeszcze na plaży, kiedy Allegra i Sylvia przyglądały się przyływowym kałużom, a Grigg rzucał psom kawałki drewna wyrzuconego przez fale i przekonywał się, że aportowanie nie jest mocną stroną ridgebacków, otóż w tym momencie Cat nagle, bez wstępów, bez ostrzeżenia wdała się w rozmowę z Jocelyn.

- Mój brat cię lubi - powiedziała. - Zabije mnie, jeśli się dowie, że ci to powiedziałam, ale mam wrażenie, że tak będzie najlepiej. Dzięki temu decyzja należy do ciebie. Bóg mi świadkiem, że Grigg się na to nigdy nie zdobędzie. Sam nie wykona żadnego ruchu.

- Powiedział ci, że mnie lubi? - Jocelyn natychmiast pożałowała pytania. Chyba zabrzmiało jak za czasów licealnych.

- O rany. Znam swego brata - co znaczyło dla Jocelyn, że Grigg nie zna swej siostry. Odwróciła się i spojrzała tam dalej, na plażę, Grigga i psy. Pędzili w jej stronę, galopowali. Zobaczyła, że Thembe jest co najmniej zauroczony, nie może od Grigga oderwać ślepi.

Ridgebacki to psy gończe, co znaczy, że są przyjazne, lecz niezależne. Jocelyn lubiła je, bo stanowią wyzwanie; dobrze ułożony owczarek to żaden powód do chwały. Lubiła też niezależnych mężczyzn. Przed tą imprezą na rzecz biblioteki Grigg się wydawał taki skłonny zadowalać innych.

Potem Grigg dołączył do nich i już nic nie można było powiedzieć. Widać było, że przepada za siostrą; co pociągało. Stali oboje, on obejmował ją ramieniem. Na twarzy zżytej ze świeżym powietrzem Cat miała wypisaną otwartość. Wygląda na swój wiek, może trochę starzej. Lecz stała cała w słońcu; taki test zdoła zaliczyć może jedna kobieta na tysiąc. Co tu gadać, dobra rasa. I brat i siostra mają dobre zęby, zgrabne niewielkie uszy, pojemne klatki piersiowe i długie kończyny.

Wysadzając Sylwię, Jocelyn opowiedziała, co usłyszała od Cat. Grigg i Cat już zostali odwiezieni do domu, Allegra prosto z wozu pomknęła do domu telefonować.

- Wcale nie jestem przekonana, że Cat wie, co mówi - zapewniła Jocelyn. - Tamtego wieczoru solidnie pokłóciliśmy się z Griggim. Były oczywiście przeprosiny, że to, że sio, ale jednak... Poza tym, jakoś kojarzę Grigga z tobą. To ciebie zaprosił na lunch.

- Cóż, nie chcę Grigga - odpowiedziała Sylvia. - Jeszcze w szkole zabrałam ci chłopaka i teraz to się kończy niczym. Drugi raz tego nie zrobię. Podoba ci się?

- Jestem dla niego za stara.

- A ja to nie?

- To by był tylko wyskok, chwilowa fascynacja.

- Ty go fascynujesz.

- Chyba przeczytam te książki, które przyniósł - powiedziała Jocelyn. - Jeśli okażą się dobre, to cóż, kto wie. Może zaryzykuję. - Przynajmniej, dzięki Bogu, nie jest kobietą, która przestaje lubić faceta, bo może on, kto wie, odwzajemnia lubienie.

Ktoś wsunął pod drzwi Sylvii list, który Allegra podniosła i położyła na stole w jadalni.

„Chcę wrócić - brzmiał tekst. - Popełniłem najstraszniejszy błąd, nie powinnaś mi nigdy wybaczyć, ale powinnaś też wiedzieć, że chcę wrócić do domu.

Zawsze miałem wrażenie, że moim obowiązkiem jest uszczęśliwianie każdego; więc odbierałem jako mankament, jeśli Ty lub dzieci nie potrafiliście mi okazywać tej szczęśliwości. Nie wymyśliłem sobie tego sam. Widuję się z psychologiem.

Byłem więc na tyle głupi, żeby Cię winić, że nie jesteś szczęśliwsza. A teraz myślę, że gdybym mógł znowu trafić do domu, pozwoliłbym Ci mieć humory, te twoje urocze i pełne miłości niepokoje.

W zeszłym tygodniu pojąłem, że nigdy nie chciałem być z kobietą, której nie mogę

przyprować do szpitala, w którym leży moje dziecko. Przyśniło mi się to na tych kosztownych krzesłach. Śniłem, że jestem w lesie. (Pamiętasz, jak zabraliśmy dzieciaki do parku narodowego Snoqualmie i Diego spytał: «Tyle było mówienie, że jedziemy do lasu. Czy tu już nic nie ma oprócz drzew?») I nie mogłem Cię znaleźć. Wpadłem w popłoch, coraz większy, aż w końcu obudziłem się i zobaczyłem, że siedzisz naprzeciwko, w tym samym pomieszczeniu. Nie potrafię opisać, co to była za ulga. Pytałaś, jak się miewa Pam. Nie widziałem jej od dwóch miesięcy. Zresztą to kobieta nie dla mnie.

Byłem niesprawiedliwy, słaby, pamiętliwy i zmienny. Lecz w sercu nosiłem zawsze Ciebie".

Sylvia składała i rozkładała list; próbowała rozeznac się we własnych uczuciach. List ją uszczęśliwił. List ją rozgniewał. List naprowadził ją na myśl, że Daniel to żaden miód. Wraca do domu, bo okazało się, że nikt go nie chce.

Nie pokazała listu Allegrze. Nie wspomniała o nim nawet Jocelyn. Wiedziała, że Jocelyn tak zareaguje, jak sobie zażyczy Sylvia; sęk w tym, że Sylvia wciąż się zastanawiała, co odpowiedzieć. Była to chwila zbyt ważna, żeby prosić Jocelyn o przewodnictwo, nie udzieliwszy wpierw tej przewodniczce wskazówek. Sylvia chciała widzieć sprawy prosto, lecz bez uproszczeń. Wszędzie nosiła ze sobą ten list, czytała raz po raz, zdanie po zdaniu i śledziła iście kalejdoskopowe zmiany swych uczuć.

Klub miłośników Jane Austen oficjalnie zebrał się po raz ostatni znowu u Sylvii. Przez cały dzień było niewiele ponad trzydzieści stopni, nieźle, jak na sierpień w Dolinie. Słońce zaszło, nadleciała bryza delta. Siedzieliśmy na tarasie, pod wielkim orzechem. Sylvia zrobiła brzoskwińowe margarity i podawała sorbet domowej roboty z ciasteczkami własnego wypieku. Naprawdę, trudno sobie wymarzyć przyjemniejszy wieczór.

Zebranie zaczęło się od uroczystego odsłonięcia. Zbliżają się urodziny Sylvii. Wprawdzie przypadają za parę tygodni, Allegra jednak coś zrobiła i chce wszystkim pokazać, więc daje prezent Sylvii wcześniej, opakowany w zeszłotygodniowe komiksy. Prezent był wielkości świątecznej kuli serowej. Naszym zdaniem w stylu Sylvii byłoby rozwiązać wstążkę, potem ostrożnie zdjąć i złożyć opakowanie. Tymczasem Sylvia je rozdarła. Do prezentu nie dobrałaby się szybciej Sahara ani Thembe, nawet szarpiąc do spółki.

Allegra kupiła 8-Ball, jedną z tych czarnych magicznych kul, rozwierała, podmieniała odpowiedzi i zapieczętowała. Pomalowała ją ciemnozieloną farbą, a tam, gdzie widniało logo „8”, naniosła reprodukcję szkicu Cassandry Austen, przedstawiającego jej siostrę; owalną ramką Allegra upodobiła szkic do kamei. Portret nie był nadmiernie powabny; na pewno Jane Austen była ładniejsza, ale co do podobizn Jane Austen, wielkiego wyboru nie ma.

Kula była przewiązana wstążką. Czerwony napis zachęcał „Pytajcie Austen”. Allegra skopiowała charakter pisma Austen z faksymile w uniwersyteckiej bibliotece.

- Proszę - powiedziała Allegra. - Pytajcie.

Sylvia wstała i pocałowała Allegrę. Fantastyczny prezent! Niezrównany! Allegra jest

taka pomysłowa. Sylvia nie umiała jednak wymyślić dostatecznie delikatnego pytania jak na dziewczyną przepowiednię czarodziejskiej kuli. Później, już sama, pomyślała, że jednak znalazłoby się parę rzeczy, o które warto zapytać.

- Ja zacznę - zgłosiła się Bernadette. Tego wieczoru była ładnie ubrana, jak spod igły. Nie pasowały skarpetki, ale niby czemu mają pasować? Pasowały buty. Zabójcze. Bernadette spytała Austen: - Czy mam wyruszyć w podróż? - Bernadette zastanawiała się nad wycieczką; mogłaby w Kostaryce oglądać ptaki. Drogo, ale nie najgorzej w przeliczeniu na ptaka. Bernadette potrząsnęła kulą, odwróciła ją i poczekała. Pojawił się napis: „Nie wszyscy dzielają twoją namiętność do zwiędłych liści”\*

- Jedź jesienią - przetłumaczyła Jocelyn.

Potem kulę wzięła Prudie. Było jej bardzo do twarzy z przedmiotem przepowiadającym przyszłość. Śnieżnobiała cera, ostre rysy, ciemne oczy jak studnia bez dna. Pomyśleliśmy, że ta kula w jej rękach wygląda jak uzupełnienie stroju, jakby Prudie zżyła się z nią od dziecka.

- Czy mam kupić nowy komputer? - spytała Prudie. „Jeśli tracę dobre o kimś mniemanie, tracę je na zawsze”\*\* , odrzekła Austen.

- Czyli, że nie - powiedziała Allegra. - Trochę przymknij oczy. To jest doznanie typu zen.

Następny był Grigg. Pod koniec lata jego włosy i rzęsy pojaśniały na czubkach. Widocznie łatwo się opalał; nawet ta krótka wycieczka na plażę przydała mu smagłości. Odmłodził o pięć lat; fatalnie być starszą kobietą, która się zastanawia nad randką z tym facetem.

- Czy powinienem napisać tę książkę? - zapytał Grigg. - *Roman á clef?*

Austen to zlekceważyła; odpowiedziała na inne pytanie, lecz wiedział o tym jedynie Grigg. „Posuwa się cał za całem i nie zaryzykuje nic, póki nie będzie całkowicie pewien wygranej”\*\*\*.

\* Fragmenty *Rozważnej i romantycznej* w przekładzie Anny Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej.

\*\* Fragmenty *Dumy i uprzedzenia* w przekładzie Anny Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej.

\*\*\* Fragmenty *Emmy* w przekładzie Jadwigi Dmochowskiej.

- Założę się, że sprzedałabyś tego na kopy - powiedział Grigg. - Mogłabyś wypuścić całą serię, różnych pisarzy. Kula Dickensa. Marka Twaina. Mickeya Spillane'a. Sporo bym zapłacił za dostęp do codziennych porad Mickeya Spillane'a.

Był czas, kiedy mogliśmy się zjeżyć z powodu przejścia od Austen do Spillane'a. Teraz jednak przepadałyśmy za Griggem. Pewnie żartuje.

Podał kulę Jocelyn. Ona też wyglądała wyjątkowo. Włożyła bluzkę, której nie widziała

jeszcze nawet Sylvia, więc musiała być nowiuteńka. Długa spódnica w jasnym odcieniu khaki. Makijaż.

- Czy powinnam wykorzystać szansę? - spytała Jocelyn.

„Nie wszyscy podzielają twoją namiętność do zwiędłych liści”, odpowiedziała Austen.

- Cóż, widocznie ta odpowiedź nadaje się do wszystkich pytań - zauważyła Allegra. - Niemniej, zawsze powinnaś wykorzystać szansę. Zapytaj Allegrę.

- Przeczytałam te dwie Le Guin, które mi dałeś - Jocelyn zwróciła się wprost do Grigga. - Prawdę mówiąc, kupiłam trzecią. Właśnie czytam *Searoad*. Babka jest zdumiewająca. Jeszcze się nigdy tak nie zachwyciłam nowo poznaną autorką.

Grigg parę razy zamrugął.

- Le Guin to klasa dla siebie - powiedział ostrożnie. Nabrał entuzjazmu. - Napisała furę książek. Ale są inne autorki, które też możesz polubić. Joanna Russ i Carol Emshwiller.

Ich głosy przycichły; rozmowa nabrała intymnej tonacji, niemniej z docierających do nas urywków wynikało, że mówią wciąż o książkach. Zatem Jocelyn została teraz czytelniczką science fiction. Nie zgłaszałyśmy zastrzeżeń. Wiedziałyśmy, jaka groźna może się dla kogoś okazać skłonność do antyutopijnych fantazji, jeśli jednak science fiction nie jest wszystkim, co się czyta, jeśli istnieje taryfa ulgowa dla realizmu, to gdzież tu widać szkody? Miło było popatrzeć na uszczęśliwionego Grigga. Może powinnyśmy wszystkie zacząć czytać Le Guin? Kula wróciła do Sylvii.

- Czy teraz mamy zacząć rozmowę o *Perswazjach*? - spytała. Kula odrzekła: „Nie wszyscy podzielają twoją namiętność do zwiędłych liści”.

- Zapomniałaś potrząsnąć - strofowała ją Allegra. Zadzwoił telefon, Allegra wstała i ruszyła w głąb domu. - Zaczynajcie - powiedziała na odchodnym. - Zaraz wracam.

Sylvia odłożyła kulę, wzięła książkę i przerzuciła kartki, szukając wybranego miejsca.

- Nie dawała mi spokoju różnica - zaczęła - między tym, jak Austen przedstawia śmierć Dicka Musgrove'a, a jak przedstawia śmierć Fanny Harville. Owszem, to służy intrydze, że narzeczony Fanny traci głowę dla Luizy, co kapitanowi Wentworthowi otwiera drogę do małżeństwa z Anną. A przecież można dostrzec, że Austen nie całkiem to pochwała. - Sylvia przeczytała na głos: - „Biedna Fanny! - mówi jej brat. - Ona nie zapomniaby go tak szybko!” Nikt w ogóle nie wylewa łez z powodu Dicka Musgrove'a. Strata syna waży tu mniej niż strata narzeczonego. Austen nigdy nie była matką.

- Austen nigdy nie była narzeczoną - powiedziała Bernadette. - Bo tylko przez jedną noc. Za krótko, żeby się mogło liczyć. Więc nie ma co przeciwstawiać syna i narzeczonej.

Nad taras wleciała mucha i brzęczała nad głową Bernadette. Przeszkadzała, duża, głośna i powolna. W każdym razie nam przeszkadzała. Wyglądało zaś na to, że wcale nie wadzi Bernadette.

- Liczą się tutaj zalety zmarłego - powiedziała. - Dick to był tępy, nieczuły próżniak. Fanny zaś była kobietą wyjątkową. Ludzie zapracowują sobie na sposób, w jaki się ich

żałuje. Całe *Perswazje* są o zapracowywaniu na własną pozycję. Mężczyźni z marynarki, zawdzięczający wszystko sobie, są dużo bardziej godni podziwu niż wysoko urodzeni Elliotowie. Ileż więcej warta od swych siostr jest Anna.

- Lecz Anna zasłużyła na więcej, niż dostała - powiedział Grigg. - Tak jest do końca. Podobnie biedna zmarła Fanny.

- Mam wrażenie, że wszyscy zasługujemy na więcej, niż dostajemy - powiedziała Sylvia - jeśli to coś w ogóle znaczy. Chciałabym, żeby świat umiał przebaczać. Żal mi Dicka Musgrove'a, bo nikt go nie pokochał mocniej, niż Dick na to zasługiwał.

Zamilkliśmy na chwilę, słuchając bzyczenia muchy i pograżając się w myślach. Kto nas kochał? Kto nas pokochał mocniej, niż zasługiwaliśmy? Prudie w nagłym odruchu chciała wstać i ruszyć wprost do domu, do Deana. Nie wstała, ale na pewno mu powie, że chciała.

- W innych powieściach Austen nie ma tylu śmierci - powiedziała Jocelyn. Już bez pytania podgryzała ciastko Grigga. Szybko poszło! - Człowiek się zastanawia, jak dalece miała na myśli własną śmierć.

- Myślała, że umiera? - spytała Prudie, lecz nikt nie odpowiedział.

- To zbyt ponury początek - powiedziała Bernadette. - Chcę pomówić o Mary. Przepadam za Mary. Jeśli nie liczyć Collinsa w *Dumie i uprzedzeniu*, no i lady Katarzyny de Bourgh i jeszcze pana Palmera w *Rozważnej i romantycznej*; oczywiście przepadam też za panem Woodhouse'em z *Emmy*, lecz pominawszy ich, Mary jest moją absolutną ulubienicą, jeżeli chodzi o komiczne postaci Austen. Te jej ciągle narzekania. To podkreślanie, że jest lekceważona i wykorzystywana.

Bernadette wsparła uwagę cytatami: „Ty nie wiesz, co to uczucie matki”, „Wszyscy naokoło uważają, że mój zły piechur!” i tak dalej, i tak dalej. Bernadette przeczytała na głos kilka akapitów. Nikogo nie ciągnęło do polemik, zgadzaliśmy się całkowicie; słuchaliśmy sennie w ów rozkoszny, rześki wieczór. Z czymś cierpkim mogła się wyrwać Allegra - często się tak wyrывała - lecz jeszcze nie wróciła, jeszcze nie skończyła rozmawiać przez telefon, a tutaj wszyscy bez wyjątku kochali Mary. Była dziełem wyjątkowym. Mary zasługiwała na toast. Sylvia i Jocelyn zostały odesłane do kuchni po drugą kolejkę margarity.

Przeszły obok Allegry, która gestykulowała, jakby ktoś mógł ją zobaczyć przez telefon. Właśnie mówiła:

- ...i wyrывały muszle klozetowe i wyrzucały przez okno. - Cóż za marnotrawstwo świetnej gry, tych gestów gwiazdy niemego filmu. Allegra miała twarz stworzoną do wideofonu. Nakryła ręką słuchawkę. - Doktor Yep cię pozdrawia - powiedziała do Sylvii.

Doktor Yep? Jocelyn poczekała, aż Sylvia upora się z mikserem, potem nachyliła się i powiedziała:

- No tak! Której matce nie w smak, że dziecko umawia się z przystojną lekarką?

Coś podobnego! Zapewne Jocelyn nigdy nie widziała ani jednego odcinka *Młodego doktora Malone'a*. A Sylvia wiedziała, czym to pachnie. W każdej chwili ktoś może zapaść w śpiączkę. W kuchni może się przytrafić wypadek z mikserem. Podejrzany zgon, a potem proces o morderstwo. Urojone ciążę, w ślad za nimi niepotrzebne aborcje. Wiele, wiele ogniów splatających się w łańcuch katastrof.

- Bardzo się z jej powodu cieszę - powiedziała Sylvia. Największą margaritę nałapała sobie. Zasłużyła na nią. - Mam wrażenie, że doktor Yep to sam urok - dodała nieszczercze, chociaż doktor Yep to naprawdę był sam urok.

Wróciły, a Bernadette wciąż mówiła. Dała spokój Mary i zajęła się jej starszą siostrą Elżbietą. Nakreślona równie wyraziście, lecz dużo mniej zabawną. Zresztą nie miała być zabawna, skądże. A potem przebiegła panią Clay. Dlaczego jednak pani Clay miałyby być gorsza niż Charlotta z *Dumy i uprzedzenia*, a przecież nikt nie zaprzeczy, że kochamy Charlotte?

Sylvia stanęła w obronie swej ukochanej Charlotty. Lecz filipikę przerwał dzwonek u drzwi. Podeszła; w progu stał Daniel. Sprawiał wrażenie jakos poszarzałego, podenerwowanego, co Sylvii bardziej przypadło do gustu niż ów uśmiech lobbysty, który Daniel natychmiast próbował nakleić sobie na twarz.

- Teraz nie mogę rozmawiać - powiedziała Sylvia. - Dostałam list, ale nie mogę rozmawiać. Mam w domu zebranie klubu.

- Wiem, Allegra mi mówiła. - Wyciągnął rękę z książką; na okładce stała na tle zielonego drzewa kobieta. To był egzemplarz *Perswazji* Allegry. - Przejrzałem to w szpitalu. Zresztą przeczytałem posłowie. Najwyraźniej wszystko dotyczy tu drugiej szansy. Więc chyba to książka dla mnie.

Przestał się uśmiechać, znów wydał się nerwowy. Książka w jego ręce drżała. To ułagodziło Sylvię.

- Allegra sądzi, że masz ochotę przebaczyć - powiedział. - Zaryzykowałem, że może się nie myli.

Skąd Allegra odniosła takie wrażenie? Co takiego Sylvia powiedziała? Sylvia nie mogła sobie przypomnieć; chyba w ogóle mało mówiły o Danielu. Cóż, Sylvia usunęła się, przepuściła Daniela, a potem poprowadziła na taras.

- Daniel chce do nas dołączyć - powiedziała.

- Nie należy do klubu - głos Jocelyn nabrał surowego brzmienia. Zasady są zasadami i nie będzie tu żadnych wyjątków dla rozpustników i dezterów.

- *Perswazje* to moja ulubiona powieść Austen - powiedział Daniel.

- A przeczytałeś? Czy w ogóle czytałeś jakąś książkę Austen?

- Jestem do tego w pełni przygotowany - odrzekł Daniel. - Mogę przeczytać co do jednej. Obojętnie, o czym. Z najwyższej kieszeni dzinsów wystawał pęk róży na krótkiej łodyżce. Daniel wyciągnął go.



- Wiem, że nie uwierzycie, ale ta róża po prostu leżała na chodniku przed domem. Słowo daję. Miałem nadzieję, że uznasz to za znak. Dał różę Sylvii wraz z paroma płatkami, które opadły. - *Te hecho de menos* - powiedział. - *Chula\**.

\* *Tęsknię za tobą, słonko.*

- *Les fleurs sont si contradictoires* - zimno zauważyła Prudie, przypominając Danielowi, że tu nie wszyscy mówią po hiszpańsku. Grigg miał ochotę na jedną tylko margaritę, więc Prudie zabrała mu tę drugą, dzięki czemu piła trzecią. Co dało się dosłyszeć w brzmieniu *sont si*. Zrobiła Danielowi grzeczność i przetłumaczyła; zdobyła się wobec niego na więcej, niż on wobec niej. - To z *Le Petit Prince*. „Nigdy nie trzeba słuchać kwiatów”\*

Nikt nie jest bardziej romantyczny niż Prudie, możecie pytać! Ale z tą różą to tanie zagranie, Prudie nie spodziewała się po Danielu czegoś takiego. A zawinił dodatkowo, bo Prudie wiedziała, czyja to róża, otóż jej. Zerwał ją dla niej Dean, a kiedy zerkała na nią po raz ostatni, jeszcze była wpięta w bluzkę.

Nie wiedziała, czy te *Perswazje* to także tanie zagranie, ale któż by się posłużył Jane w niecnym celu?

- Zapytaj Austen - zaproponowała Bernadette.

- Potrząśnij - powiedział Grigg. - Ale solidnie. - Grigg najwyraźniej kibicował Danielowi. Jakie to łatwe do przewidzenia. Nużące, jak dwa i dwa cztery.

Sylvia odłożyła różę. Łodyga już zwiotczała, ciężki kwiat zwieszał się. Jeśli znak, to niejasny. Wzięła w dłonie kulę i potrząsnęła. Zaczęła się ustawiać odpowiedź: „Straciwszy raz reputację, tracę ją na zawsze”; lecz takiej Sylvia nie chciała. Ukradkiem obróciła lekko kulę i wyłoniło się zdanie: „Kiedy jestem na wsi, nigdy nie mam ochoty z niej wyjeżdżać, lecz kiedy jestem znowu w mieście, również nie chcę go opuszczać

- To znaczy? - Jocelyn spytała Sylvię. - Twoja kolej.

- Znaczy, że może zostać - powiedziała Sylvia i przez moment, ułamek sekundy, dostrzegła na twarzy Jocelyn przeblysłk ulgi.

\* *Przekład Jana Szwykowskiego*

Na taras wróciła Allegra.

- *Hola, papá* - powiedziała. - Zabrałeś mi książkę. Zabrałeś margaritę. Siedzisz na moim krześle. - Co powiedziała podejrzanie lekko. Twarz anioła i oczy współniczki. Daniel posunął się i zrobił jej miejsce.

Sylvia patrzyła, jak siedzą razem, Allegra z ojcem, oparta o niego, z policzkiem na jego ramieniu. Sylvia poczuła zniechęcenie, że rozpaczliwie tęskni za chłopcami. Nie tymi

dorosłymi, na posadach, z żonami i dziećmi, a chociażby z przyjaciółkami i komórkami, ale za malcami, którzy grają w piłkę i siedzą u niej na kolanach, ona zaś czyta im *Hobbita*. Pamiętała, jak kiedyś po kolacji Diego postanowił dosiąść dwukołówki i jeszcze tego samego wieczoru zmusił ich do odkręcenia z roweru dwóch bocznych kółek, i jak odjechał bez jednego zachwiania. Przypomniała sobie Andy'ego, który budzi się ze snu roześmiany, ale nigdy nie umie powiedzieć dlaczego.

Przypomniała sobie wyjazd na narty, w roku wielkich powodzi. Osiemdziesiątym szóstym? Wynajęli domek w Yosemite i cudem wrócili do domu. Interstate 5 zamknięto, kiedy już na niej byli, ale udało im się zjechać na 99. Autostradę 99 zalało w godzinę po ich przejeździe.

W górach wtedy padał bez końca śnieg. Byłoby pysznie, gdyby siedzieli w jakimś drogim domku narciarskim z nogami wyciągniętymi do kominka. Tymczasem utknęli na parkingu na przełęczy Badger z setkami innych rodzin, czekając na autobus, który ich zwiezie w dolinę.

Było to długie czekanie na zimnie, od którego wszystkim nosy opadły na kwintę. Podano komunikat, że jeden z autobusów wysiadł i w ogóle nie przyjedzie. To tylko pogorszyło nastroje. Chłopcy chcieli coś zjeść, Allegra umierała z głodu. Chłopcom było zimno, Allegra już przemarzała do kości. Dzieci oświadczyły, że nie cierpią nart i w ogóle po diabła je tu zabrano?

Kiedy w niespełna pół godziny później przyjechał autobus, jakiś mężczyzna z jakąś kobietą wepchnęli się do kolejki przed Sylvie. Zupełnie bez sensu. Do czoła kolejki było za daleko, żeby się zabrać tym pierwszym autobusem. Ale odepchnęli Sylvie, ona zaś, nie chcąc nadepnąć Diega, upadła w końcu na oblodzoną jezdnię.

- Hej - powiedział Daniel. - Przewrócił pan moją żonę.
- Odpierdol się - odrzekł mężczyzna.
- Co pan powiedział?
- Wypierdol sobie żonę - dodała kobieta.

Dzieciaki miały usta owinięte szalikami. Oczy nad tymi szalikami błyszczały z podniecenia. Będzie bitka! Ojciec zaraz zacznie! Ludzie w pobliżu się rozstąpili, tworząc krąg wokół Daniela i tego mężczyzny.

- Daniel, daj spokój - powiedziała Sylvia. Czymś, co zawsze kochała w Danielu, był brak *machismo*. Wszyscy chłopcy, z którymi się wychowywała, cóż to byli za *caballeros*. Cóż za kowboje. Nigdy jej to nie pociągało. Daniel przypominał ojca Sylvii, obdarzonego taką pewnością siebie, że umiał znieść zniewagę, jeśli ktoś sobie na nią pozwolił. (Z drugiej strony, Sylvie popchnięto i zwyzywano bez powodu. To nie w porządku.)

- Poradzę sobie - odrzekł Daniel. Był w spodniach zjazdowych, miękkich botach apreskach i ogromnej parce. Tak się przedstawiała warstwa wierzchnia, pod spodem było ich więcej. Wyglądał, jakby miał zostać wystrzelony z armaty. Tamten był opatulony podobnie,

przypominał ufarbowaną na niebiesko michelinowską kukłę. Stanęli do walki. Sylvia jeszcze nie widziała tak rozgniewanego Daniela.

Wyprowadził sierpowy, miał jednak pod nogami tyle lodu, że niemal przewrócił się z rozmachu. Mierzył w klatkę piersiową, mimo to solidnie chybił. Ten drugi natarł, lecz Daniel usunął się, mężczyzna przemknął obok, a potem runął na stertę nart i kijków.

Powróciwszy do pionu, stanęli naprzeciw siebie.

- Jeszcze pożałujesz - straszyl mężczyzna. Podszedł do Daniela, ostrożnie stąpając po lodzie.

Daniel znów się zamachnął i chybił. Podjechały pod nim buty i z całej siły gruchnął o lód. Ten drugi podszedł, żeby przytrzymać go na ziemi, przydusić kolanem, lecz tak się śpieszył, że znowu się poślizgnął. Żona złapała go i pomogła mu utrzymać się na nogach. Tymczasem Daniel wstał i pokuśtykał naprzód. Po raz trzeci spróbował sierpowego; zarzuciło nim o sto osiemdziesiąt stopni i oto stał przed Sylwią. Uśmiechał się. Gruby jak Mikołaj w wielkiej ciemnej parce, oto on, walczy o jej honor, lecz nie potrafi zadać ani jednego celnego ciosu. Robi z rąk wiatrak, ślizga się, pada. Śmieje.

- Czy Anna Elliot to rzeczywiście najlepsza z bohaterek Austen? - spytał Daniel. - W każdym razie tak piszą w posłowniu.

- Nieco za dobrodusznna, jak na mój gust - powiedziała Allegra. - Wolę Elżbietę Bennet.

- Kocham je wszystkie - powiedziała Bernadette.

- Posłuchaj, Bernadette. - Zawiana Prudie osiągnęła ów stan sentymentalnej zadumy, który tak cieszy każdego widza. - Dokonałaś tylu rzeczy, przeczytałaś tyle książek. Czy wciąż jeszcze wierzysz w szczęśliwe zakończenia?

- Mój Boże, ależ tak. - Bernadette złożyła ręce jak do modlitwy i jakby ścisnęła w nich książkę. - Chyba powinnam. Zaliczyłam ich około setki.

Bernadette miała za plecami szklane drzwi wychodzące na taras, a za drzwiami krył się ciemny pokój. Sylvia nie należała do osób grzejących się w ciepłe szczęśliwych zakończeń. W książkach, owszem, bywają urocze. Lecz w życiu każdemu pisany jest ten sam koniec, a jedyne pytanie brzmi: Kto pierwszy? Pociągnęła brzoskwiniowej margarity i spojrzała na Daniela, który spojrzał też na nią i nie odwracał wzroku.

Jeśli przytrafia ci się szczęśliwe zakończenie, lecz ty go nie dostrzegasz, to co? - zapytała po cichu Sylvia. Nie przegap szczęśliwych zakończeń.

Nad głową Daniela zakręcił się na orzechu liść, tylko ten jeden. Cóż za precyzyjny, mistrzowski podmuch! Zapachniało rzeką, w tym zbrązowiałym miesiącu zapachniało zielenią. Zaciągnęła się głęboko.

- Czasami biały kot, to tylko biały kot - powiedziała Bernadette.

# Listopad

## Epilog

Klub miłośników Jane Austen zebrał się jeszcze raz. W listopadzie spotkaliśmy się na lunchu w Crepe Bistro i na laptopie Bernadette kolejno oglądaliśmy zdjęcia z jej kostarykańskiej wycieczki. Szkoda, że nie zadała sobie trudu, żeby je przebrać. Ilekroć zobaczyła coś oszalamiającego, robiła dwie lub trzy identyczne fotografie. Były też dwa zdjęcia bezgłowych ludzi i jedno, na którym tylko widniały dwa czerwone placki; Bernadette zapewniała, że to ślepiea jaguara, a my nie mogliśmy udowodnić, że nie. Niemniej, były jakoś bardzo szeroko rozstawione.

Opowiadała, że pewnego dnia autobus nawalił tuż przed plantacją o nazwie Szkarłatna Ara. Właściciel, szarmancki señor Obando, nalegał, żeby cała grupa została aż do przybycia innego autobusu. Przez czternaście godzin, bo tyle to trwało, wędrowali po plantacji. Bernadette zobaczyła strojnoczuba nagoszyjogo, tyranka szarego, piłodzioba ryżego, harpię (natknięcie się na to ptaszysko uczczono imprezą), pręgowane to, czerwonołape tamto.

Señor Obando okazał się wielkim entuzjastą, zresztą niebywale energiczny jak na swój wiek. Postanowił na tej plantacji stworzyć obszar ekoturystyczny, i nie dla siebie, lecz fanów ornitologii. Wymarzył to sobie, jak mówi. Fakt, że nigdzie nie ma plantacji z lepszymi ptakami ani trasami. Sami się mogli przekonać, jak świetne są tam warunki, co za różnorodność upierzonych mieszkańców.

Señor Obando i Bernadette usiedli na werandzie, popijali coś miętowego i gawędzili o wszystkim, co przyszło im do głowy. O jego krewnych w San José ciężko schorowanych. Często piszą, lecz señor Obando rzadko ich widuje. O książkach - Boję się, że nas pociągają odmienne powieści, powiedziała Bernadette - i muzyce. O zaletach Lerner z Loewem na tle Rodgersa z Hammersteinem i na odwrót. Señor Obando zna piosenki z tuzina broadwayowskich musicali. Śpiewali więc *How Are Things in Gloccamora?*, *I Loved You Once in Silence* i *A Cockeyed Optimist*. To zaś pobudziło Bernadette do następnych opowieści, a señor Obando zapewnił, że słuchanie ich doskonali angielszczyznę. Po tygodniu Bernadette wpisała señora Obando na swą Listę Życia.

Znów jest mężatką. Pokazała nam obrączkę z dużym akwamarynem.

- Naprawdę myślę, że to jest to - powiedziała. - Kocham mężczyznę, który ma wizję.

Przyjechała zerknąć na dzieci, wnuki, prawnuki i zlikwidować mieszkanie. Sięgnęła po płaszcz i kapelusz. Jej pocztę wystarczy przeadresować na farmę Szkarłatna Ara.

Ucieszyliśmy się, rzecz jasna, na wieść o niej i szczęsnym señorze Obando, lecz także trochę zasmucili. Do Kostaryki kawał drogi.

Grigg powiedział, że żałuje zwłaszcza naszych zebrań. Wrócili właśnie z Jocelyn ze

Światowego Zjazdu Fantasy w Minneapolis. To poważna impreza, zapewniła Jocelyn. Dla poważnych czytelników. Podobają jej się wszyscy, których poznała; nie zauważyła nic godnego krytyki. Grigg zaś stwierdził, że przyglądała się nie dość krytycznie.

Uważa, że była w istocie skrepowana i wśród tylu nieznajomych czuła się nieswojo. Nie przejęliśmy się. Byle dać Jocelyn czas, żeby doszła do siebie, byle dać czas, żeby zauważyła, co trzeba, a doprowadzi do porządku tę wspólnotę. Samo swatanie może jej zająć całe lata.

- A może przeczytamy co innego - zaproponował Grigg. - Może Patricka O'Briana? W paru książkach są naprawdę austeniańskie klimaty. Nawet się nie spodziewacie.

- Statki to moja słabość - odrzekła Prudie. - Zapytaj każdego. - Powiedzmy, że to zabrzmiało uprzejmiem.

Czegoś Grigg nigdy nie pojął do końca. Gdybyśmy zaczęli od Patricka O'Briana, moglibyśmy przejść do Austen. Lecz chyba nie da się iść w przeciwnym kierunku.

Wprowadziliśmy Austen w nasze życie, a teraz wszyscy jesteśmy albo po ślubie, albo w jakiejś parze. Czy coś podobnego zdoła sprawić Patrick O'Brian? Jak? Jeśli potrzebujemy kucharza na pokładzie, chcemy zagrać na jakimś instrumencie, przemierzyć Hiszpanię przebrani za niedźwiedzia, Patrick O'Brian będzie jak znalazł. A na razie lepiej poczekać. Może za trzy, cztery lata przyjdzie czas, żeby Jane Austen przeczytać na nowo.

Kiedy Jocelyn wybrała się na Światowy Zjazd Fantasy, mieszkali u niej Sylvia z Danielem i doglądali psów. Potem Daniel wrócił do domu. Sylvia powiedziała nam, że zawdzięcza Saharze parę pożytecznych wskazówek dotyczących małżeństwa, a ridgebackom dotyczących matriarchatu. Twierdzi, że jest szczęśliwa, lecz wciąż jest Sylvia. Któż może wiedzieć, jak jest naprawdę?

Znacznie rzadziej widzimy teraz Allegrę. Wróciła do San Francisco i do Corinne. Nikt z nas się nie spodziewa, że to przetrwa. Daniel opowiedział Sylvii o postępowaniu Corinne, Sylvia opowiedziała Jocelyn i w sumie wszyscy z grubsza wiemy. Trudno teraz lubić Corinne i trudno o dobre przeczucia co do tego związku. Trzeba wierzyć w zasadniczą przemianę. Trzeba zaufać Allegrze. Trzeba pamiętać, że nikt nią nie zdoła dyrygować.

Jest też cała historia z udziałem Samantha Yep, lecz Allegra nigdy jej nie opowiedziała ani nam, ani Corinne. Dlatego, że to dobra historia. Allegra ani myśli natknąć się na nią w którymś numerze „New Yorkera”.

Zamówiliśmy po szklance pierwszorzędnego mocnego cydru, specjalności Crepe Bistro, i wzniesli toast za małżeństwo Bernadette. Sylvia przyniosła kulę „Zapytaj Austen” nie po to, żeby zadawać pytania, lecz żeby ostatnie słowo przypadło odpowiedniej osobie.

„Z południa czy z północy czarna chmura to czarna chmura”\*

Lecz Austen chyba nie chciała, żebyśmy na tym skończyli.

„Kobieta samotna i majątna wzbudza zawsze szacunek”\*\*.

Lepiej. Pozytywne uczucie. Niemniej, Austen wypowiadała trafniejsze uwagi. Tu z pewnością mogą przyjść na myśl wyjątki.

„Mam tu na myśli zwyczaj uczenia się kochać”\*\*\*. Otóż to.

Na cześć Bernadette, z najlepszymi życzeniami zdrowia i szczęścia w przyszłości sama Austen powtarza:

„Mam tu na myśli zwyczaj uczenia się kochać”.

JANE AUSTEN, 1775-1817

\* Fragment *Mansfield Park* w przekładzie Anny Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej.

\*\* Fragment *Emmy* w przekładzie Jadwigi Dmochowskiej.

\*\*\* Fragment *Opactwa Northanger* w przekładzie Anny Przedpeńskiej - Trzeciakowskiej.

## Przewodnik literacki

Jane Austen z czarodziejską mocą absorbuje wszystkich. Moraliści, kulturoznawcy od Erosa i agape, marksiści, freudyści, jungiści, semiotycy, dekonstruktywiści - wszyscy znajdują kuszące pole do popisu w sześciu podobnych do siebie powieściach z życia prowincjonalnej klasy średniej. Proza Jane Austen w niewymuszony sposób sama się odnawia na oczach każdego pokolenia krytyków i czytelników.

Martin Amis, *Jane's World*, „The New Yorker”

## Powieści

***Emma***, napisana między styczniem roku 1814 a marcem 1815, została wydana w 1815. Tytułowa postać, Emma Woodhouse, to królowa swej małej społeczności; przystojna i bogata. Nie ma matki; ojciec, chorowity pedant, nie powściąga ani zachowania Emmy, ani jej samozadowolenia. W społecznej hierarchii tej okolicy wszyscy, pełni szacunku, stoją niżej. Tylko pan Knightley, stary przyjaciel rodziny, wciąż sugeruje, że Emma powinna popracować nad sobą.

Emma jest obdarzona zmysłem swatki. Kiedy poznaje bardzo ładną Harriet Smith, „czyjaś nieślubną córkę”, czyni ją zarówno swą przyjaciółką, jak i swym zadaniem. Harriet, posłuszna wskazówkom Emmy, odrzuca oświadczyny Roberta Martina, miejscowego farmera, dzięki czemu Emma może zabiegać dla niej o oświadczyny pana Eltona, miejscowego pastora. Skutkiem nieporozumienia pan Elton sądzi, niestety, że interesuje się nim sama Emma. Nie zniża się do rozważań nad Harriet Smith.

Zwrotem sytuacji okazują się powrót na wieś Jane Fairfax, siostrzenicy gadatliwej

panny Bates, oraz odwiedzi Franka Churchilla, pasierba byłej guwernantki Emmy. Frank i Jane zaręczyli się potajemnie, o czym nikt nie wie i co nie studzi gorączki swatania.

Ostatecznie pary dobierają się same; aczkolwiek niezgodnie z planami Emmy, to przynajmniej ku jej zadowoleniu. Emma, która na początku książki nie myśli wychodzić za mąż, na koniec wiąże się szczęśliwie z panem Knightleyem.

***Rozważna i romantyczna*** została napisana pod koniec lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku, ale uległa znacznym przeróbkom, zanim ukazała się w roku 1811. W zasadzie jest to historia dwóch sióstr, Eleonory i Marianny Dash-wood. Wraz z matką i młodszą siostrą popadają w trudności finansowe po śmierci ojca. Obie zakochane, każda we właściwy sobie sposób: Marianna, nadmiernie popędliwa, nie kryje uczuć; obyczajna Eleonora umie się powściągnąć.

Przedmiotem zainteresowania Eleonory jest Edward Ferrars, brat Fanny Dashwood, jej okropnej i skąpej bratowej. Eleonora dowiaduje się, że Edward od pewnego czasu jest potajemnie zaręczony z młodą kobietą nazwiskiem Lucy Steele, nieszczęśliwie a nierozzerwalnie. Eleonora dowiaduje się tego od Lucy, która zdając sobie sprawę z zainteresowania Eleonory, skądinąd skrywanego, czyni z niej ulubioną powiernicę.

Marianna ma nadzieję poślubić Johna Willoughby'ego, jedyne w tej książce seksownego mężczyznę. John porzuca Mariannę i żeni się dla pieniędzy. Zaskoczona i rozczarowana Marianna przeżywa niebezpieczne załamanie.

Kiedy Lucy Steel porzuca Edwarda dla jego brata Roberta, Edward odzyskuje wreszcie wolność. Wydaje się skończonym nudziarzem, ale przynajmniej jest tym, kogo Eleonora wybiera. Marianna poślubi pułkownika Bran-dona, a nudziarz Eleonorę i to ich dom wybierze na starość jej matka.

***Mansfield Park***, powieść napisana między rokiem 1811 a 1813, ukazała się w roku 1814. Oznaczała powrót Austen do pióra po przerwie trwającej ponad dziesięć lat.

Dziesięcioletnia Fanny Price ze zubożalego domu zostaje zabrana do majątku bogatej ciotki Norris i wuja Bertrama. Ciotka ją dręczy, kuzynostwo Tom, Maria i Julia nie lubi, przyjaźń okazuje tylko kuzyn Edmund. Fanny zajmuje pozycję bliższą służącej niż córki. Mijają lata. Fanny dorasta jako wątła (lecz bardzo ładna) trusia.

Kiedy wuj Bertram wyrusza w podróż w interesach, do pobliskiej plebanii zjeżdżają Henry i Mary Crawfordowie, pełne życia, czarujące rodzeństwo. Henry robi wrażenie i na Marii, i na Julii. Edmund zaś durzy się w Mary.

W planach jest amatorskie przedstawienie, lecz powrót wuja Bertrama oznacza przerwanie przygotowań. Próby stały się jednak zachętą do kilka flirtów o niszczycielskich skutkach. Maria, upokorzona obojętnością Henry'ego, wychodzi za pana Rushwortha, bogatego bufona.

Natomiast Henry pokochał nieśmiałą Fanny. Ta nie przyjmuje korzystnej propozycji małżeńskiej i za karę zostaje odesłana do rodziców. Przez pewien czas Henry nie rezygnuje,

potem wdaje się w przygodę z Marią, dla niej kompromitującą. Edmundowi otwierają się oczy, bo Mary tę kompromitację lekceważy.

Tom Bertram, najstarszy z kuzynów Fanny, jest bliski śmierci z powodu występnego, rozpustnego życia; Fanny zostaje z powrotem ściągnięta do Mansfield Park, do opieki i pomocy. Pod koniec książki Fanny i Edmund biorą ślub. Wydają się parą dobraną, aczkolwiek, zdaniem Kingsleya Amisa, nie należą do ludzi, których się chętnie zaprasza na kolację.

**Opactwo Northanger** powstało pod koniec lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku, zostało jednak wydane pośmiertnie. Jest to historia Katarzyny Morland, bohaterki ostentacyjnie najzwyczajszej. Książka dzieli się na dwie części. W pierwszej Katarzyna podróżuje z Allenami, przyjaciółmi rodziny, do Bath. Tam poznaje dwie pary, zarazem dwa rodzeństwa: Johna i Izabellę Thorpe oraz Henry'ego i Eleonorę Tilneyów. Przyłącza się do nich James, brat Katarzyny, który zaręcza się z Izabellą. Katarzynę pociąga Henry, dowcipny, niekonwencjonalny w obejściu pastor.

Generał Tilney, ojciec Henry'ego i Eleonory, zaprasza Katarzynę do domu Tilneyów; odwiedziny są treścią drugiej części książki. Generał jest troskliwy, a zarazem apodyktyczny. Zauroczona czytając właśnie powieścią gotycką Katarzyna roi sobie, że generał zamordował żonę. Henry to odkrywa i wyjaśnia nieporozumienie w sposób dla Katarzyny upokarzający.

Katarzyna dostaje list od Jamesa; brat pisze, że Izabella zerwała zaręczyny. Po powrocie z Londynu generał Tilney wyrzuca Katarzynę i każe wracać do domu. Okazuje się, że Katarzyna i James wpierw zostali omyłkowo wzięci za bardzo bogatych, a potem sytuacja się wyjaśniła.

Henry jest tak oburzony zachowaniem ojca, że natychmiast wyjeżdża za Katarzyną i proponuje małżeństwo. O ślubie nie może być mowy bez zgody ojca, który udziela jej w końcu, w przystępie radosnego uniesienia, spowodowanego małżeństwem Eleonory z wicehrabią.

**Duma i uprzedzenie** nosiły początkowo tytuł *Pierwsze wrażenia*. Książka została napisana między rokiem 1796 a 1797 i gruntownie przerobiona przed publikacją w roku 1813. Jest najslawniejszą powieścią Austen. Sama autorka scharakteryzowała ją jako „raczej zbyt lekką, radosną, musującą”, podpowiadając, że książce przydałoby się dla kontrastu trochę „wzniosłego, bałamutnego nonsensu”. Kiedy bohater, Fitzwilliam Darcy, poznaje na balu bohaterkę, Elżbietę Bennet, nie prosi jej do tańca; inaczej niż w klasycznej baśni o Kopciuszku.

Elżbieta jest jedną z pięciu sióstr, drugą co do starszeństwa, po pięknej Jane. Majątek Bennetów ma przypaść ich kuzynowi jako ordynacja i chociaż dziewczęta mogą się czuć bezpiecznie, póki żyje ojciec, to wiedzą, że ich przyszła sytuacja finansowa zależy od małżeństwa.

Opowieść obraca się wokół ciągłej niechęci Elżbiety do Darcy'ego i rosnącego



zainteresowania, jakie Elżbieta budzi w Darcym. Elżbieta poznaje podłego Wickhama, który nie znosi Darcy'ego, i sama szybko zaraża się tym wstrętem.

Poboczny wątek dotyczy wielebnego Collinsa; to on dziedziczy majątek po ojcu Elżbiety. Collins prosi Elżbietę o rękę, czym próbuje złagodzić finansowy wstrząs czekający rodzinę. Elżbieta odmawia - jest nadęty i głupi - więc Collins prosi o rękę najlepszą przyjaciółkę Elżbiety, Charlotte Lucas, która oświadczyły przyjmuje.

Darcy oświadcza się Elżbiecie, lecz niegrzecznie. Elżbieta niegrzecznie odrzuca oświadczyły. Wickham ucieka z Lidią, najmłodszą z sióstr Bennet; Darcy, który odgrywa kluczową rolę w odnalezieniu pary, finansuje małżeństwo Lidii. Ten czyn, ponadto niezachwiane uczucie i lepsze już maniere Darcy'ego przekonują Elżbietę, że Darcy mimo wszystko jest odpowiednim dla niej mężczyzną. Jane poślubia pana Bingleya tego samego dnia, w którym biorą ślub Elżbieta i Darcy. Obie siostry zostają bogatymi kobietami.

**Perswazje** - podobnie jak *Opactwo Northanger* - wydano pośmiertnie. Akcja zaczyna się latem roku 1814; nastaje pokój, powraca flota wojenna. Sytuacja finansowa zmusza sir Waltera Elliota, próżnego utracjusza, do wydzierżawienia rodzinnego majątku admirałowi Croftowi. Elliot z najstarszą córką Elżbietą przenoszą się do Bath. Dołącza do nich młodsza siostra Elżbiety, Anna, w pierw odwiedziwszy Mary, siostrę najmłodszą, rozkoszną płakę.

Przed laty Anna była zaręczona z Frederickiem Wentworthem, szwagrem admirała Crofta, obecnie kapitanem. Niechęć rodziny i rada starej przyjaciółki, lady Russell, sprawiają, że Anna nie wychodzi za Wentwortha, chociaż wciąż go kocha.

Wentworth odwiedza jej siostrę, potem składa serię wizyt Musgrove'om, rodzinie męża Mary. Na skutek tego często spotyka Annę, która musi teraz patrzeć, jak Wentworth, polujący na żonę wśród córek Musgrove'a, wyróżnia Luizę. Podczas wycieczki do Lyme Luiza ulega nieszczęśliwemu wypadkowi, a do zdrowia powraca powoli.

Anna dołącza do rodziny w Bath, chociaż tam nikt za nią nie tęskni ani jej potrzebuje. Kuzyn, dziedzic ojcowskiego tytułu, zabiega o jej starszą siostrę, lecz po przybyciu Anny przenosi zainteresowanie na nią.

Przyjaciółka Anny jeszcze ze szkolnej ławy, pani Smith, wyjawia, że ów kuzyn to łajdak. Ogłoszone zostają zaręczyny Luizy, lecz nie z Wentworthem, a z osieroconym marynarzem Benwickiem, z którym Luiza często się spotykała w Lyme. Wentworth jedzie do Bath do Anny; po licznych nieporozumieniach w końcu biorą ślub.

## Oddźwięk

*rodzina i przyjaciele Jane Austen  
komentują Mansfield Park;  
opinie zebrane i zanotowane  
przez samą Jane Austen*

Matka - chwali mniej niż D&U. - Fanny jej zdaniem mdła. - Bawi ją pani Norris.

Cassandra [siostra] - chociaż równie zgrabny, to nie taki błyskotliwy jak D&U. - Lubi Fanny. - Zachwycona głupotą pana Rushwortha.

Najstarszy brat [James] - w sumie wielki entuzjasta całości. - Podziwia scenę w Portsmouth.

Pan i pani Cooke [matka chrzestna] - książka bardzo im się podoba - zwłaszcza sposób potraktowania duchownych. - Pan Cooke uznał ją za „najrozważniejszą powieść, jaką zna” - Pani Cooke chętnie by widziała postać dobrej matrony.

Pani Augusta Bramstone [starsza siostra Withera Bramstone'a] - przyznaje, że D&U - a także R&R - uważała za czysty nonsens, sądzi wszakże, że MP bardziej się jej spodoba & skończywszy 1.t. pociesza się, że najgorsze ma za sobą.

Pani Bramstone [żona Withera Bramstone'a] - czytała z prawdziwą przyjemnością, szczególnie lubi postać Fanny, jako bardzo naturalną. - Uważa, że sama przypomina lady Bertram - Ceni tę książkę wyżej od innych - ale myśli, że to może wynika z jej braku smaku - nie rozumie bowiem humoru. -

*rodzina i przyjaciele Jane Austen komentują Emmę*

Moja Matka - uważa ją za ciekawszą niż M.P. - lecz nie tak zajmującą jak D&U. - Żadna z postaci nie dorównuje Ly Katarzynie & panu Collinsowi. -

Cassandra - lepsza niż D&U - lecz nie taka dobra jak M.P. -

Pan & Pani J.A. [James Austen] - podoba im się mniej od każdej z trzech pozostałych. Język inny niż w tamtych; nie tak łatwo się czyta. -

Kpt. Austenowi [Francisowi Williamowi] - podoba się w najwyższym stopniu, aczkolwiek w D&U jest może więcej dowcipu, a więcej nauki moralnej w MP - to w sumie wszakże, ze względu [sic] na obecną wszędzie, szczególną aurę przyrody, woli tę książkę od pozostałych.

Pan Sherer [pastor] - uważa, że nie dorównuje ani MP - (który lubi najbardziej) ani D&U. - Poirytowany moimi portretami duchownych. -

Panna Isabella Herries - nie podoba jej się - ma zastrzeżenia wobec wyraźnego rysu seksualnego u bohaterki - przekonana, że kreśląc postaci pani i panny Bates miałam na myśli jakieś znajome z jej kręgu - Osoby, o których nigdy nie słyszałam. -

Pan Cockerelle - książka tak mu się nie spodobała, że Fanny nie chce mi przysłać jego opinii. -

Pan Fowle [przyjaciel z czasów dzieciństwa] - przeczytał tylko rozdziały pierwszy & ostatni, słyszał bowiem, że nic ciekawego. -

Pan Jeffrey [redaktor „Edinburgh Review”] nie mógł się oderwać od książki przez trzy wieczory.

*w ciągu dwóch stuleci*  
*krytycy, pisarze i uczestnicy życia literackiego*  
*wyrażają opinie o postaci pisarki,*  
*jej powieściach, jej wielbicielach i przeciwnikach*  
1812 - niesygnowana recenzja *Rozważnej i romantycznej*

Nie będziemy wszakże zaprzętać uwagi naszych miłych pań dłużej, niż wymaga upewnienie ich, iż mogą się wgłębić w te tomy nie tylko z przyjemnością, lecz i prawdziwym pożytkiem; jeżeli bowiem zechcą, mogą w nich znaleźć liczne trzeźwe i pożyteczne maksymy, jak się w życiu sprawować, zilustrowane wielce wdzięczną i zajmującą opowieścią.

1814 - Mary Russel Mitford, recenzja *Dumy i uprzedzenia*

Nie sposób nie odczuwać w każdej linijce *Dumy i uprzedzenia*, w każdym słowie wypowiedzianym przez „Elżbietę”, zupełnego braku smaku, przez co bohaterka tak zuchwała i pospolita jest ukochaną takiego mężczyzny jak Darcy.

Wickham jest równie zły. Och! Otóż oni właśnie pasują do siebie i nie mogą darować, że ów zachwycający Darcy ich rozdzielił. Darcy winien poślubić Jane.

1815 - Sir Walter Scott, recenzja *Emmy*

Ogólnie rzecz biorąc, w wątkach wszystkich powieści tej autorki kryje się jednakowy stosunek do owej sentymentalnej i romantycznej sztancy: pola, wioski i łąki wiodą ku pięknej posiadłości z okazałym dworem bądź ku burzliwemu pięknemu górskiemu krajobrazu. Ta książka ani nie urzeka pierwszym ani nie ma wielkości drugiego; tym, którzy się w nią zanurzą, dostarczy przyjemności związanej z doświadczaniem ich własnych obyczajów i - co w jakiejś mierze ważne - młody wędrowiec może ze swej wyprawy wrócić do zwykłych spraw życiowych z głową zupełnie wolną od wspomnień krainy, którą przemierzył.

1826 - Sir Walter Scott jedenaście lat później; po śmierci Austen jego entuzjazm wzrósł

Na nowo przeczytałem, co najmniej po raz trzeci *Dumę i uprzedzenie*, przepiękną

powieść panny Austen. Ta młoda dama miała niespotykany talent przedstawiania związków, uczuć i charakterów wziętych ze zwyczajnego życia; najwspanialszy, jaki znam. Umiejętność, jak teraz wszyscy, sięgnąć po ton wysokich achów i ochów, lecz nigdy nie było mi dane to wyjątkowe, cudowne pociągnięcie pióra, które poprzez prawdę opisu i uczuć czyni interesującymi najzwyklejsze sprawy i postaci. Jaka szkoda, że tak wcześnie odeszła od nas tak utalentowana istota!

1826 - Prezes sądu najwyższego John Marshall, w liście do Josepha Story'ego

Odczułem niejaki wstyd, widząc, że na liście twych ulubionych autorów brak panny Austen [...] Jej loty nie są wysokie, panna Austen nie szybuje na orlich skrzydłach, pisze wszakże ujmująco, interesująco, z równowagą, poniekąd zabawnie. Spodziewam się po tobie usprawiedliwień z racji owego braku.

1830 - Thomas Henry Lister

Panna Austen nigdy nie była tak popularna, jak na to zasługuje. Skupiona na wierności opisu, przeciwna banalnym sztuczkom pióra, nie otrzymała należytej satysfakcji w tym wieku literackiej szarlatanerii. Zwykłych czytelników stać było na taki tylko osąd, jakim Partridge w powieści Fieldinga kwituje grę Garricka. Partridge nie umie podziwiać walorów człowieka, który na scenie reaguje tylko tak, jak w podobnych okolicznościach życiowych mógłby zareagować każdy. Nierównie wyżej stawia „hałaśliwego jegomościa w podrygującej peruce”, machającego rękami jak wiatrak i na całe gardło perorującego za trzech. Podobnie z licznymi czytelnikami panny Austen. Była dla nich zbyt naturalna.

1848 - Charlotte Brontë, w liście do H. G. Lewesa Jakież dziwny wykład znajduję później w twym liście! Muszę, jak piszesz, oswoić umysł z faktem, że „panna Austen nie jest poetką i nie wie co to ‚sentyment‘ (z pogardą więzisz to słowo między odwróconymi przecinkami), elokwencja czy uniesienia poezji”, potem zaś dodajesz, że muszę „nauczyć się uznawać ją za jedną z największych artystek, jedną z największych portrecistek ludzkiego charakteru i jedną z najlepszych pod słońcem pisarek o tak subtelnym wyczuciu środków prowadzących do celu”.

Mogę przyjąć do wiadomości tylko ostatni punkt.

Czy można być wielkim artystą bez poezji?

1870 - Niesygnowana recenzja książki Jamesa Edwarda Austen-Leigh *A Memoir of Jane Austen*.

Panna Austen była zawsze *par excellence* ulubienicą ludzi pióra. Szczególne walory jej stylu zdoła rozpoznać każdy, niemniej nigdy, chociaż Austen czytana była masowo, nie zapewniło jej to czegoś, co z ręką na sercu można nazwać popularnością. [...] Życia prywatnego panny Austen nie zmąciły, jak wiadomo, żadne wydarzenia ani namiętności, którymi tak chętnie żywi się biograf. [...] Z naszym wyobrażeniem o autorce zgadza się odkrycie, że przed sześćdziesięcioma laty była biegła w wyszywaniu mikroskopijnych wzorów, że nigdy się nie zakochała, że „wcześniej przywdziała strój osoby w średnim wieku,

niż wymagały tego jej lata bądź wygląd". [...]

Ówczesni krytycy [...] pogrążeni byli w mroku [...] Ona zaś nie miała świadomości, że tworzy nową szkołę prozy, zdolną zainspirować nowe kanony krytyki.

1870 - Margaret Oliphant

Książki panny Austen nie zapewniły jej natychmiastowej sławy. Wkradały się w łaski tak powoli i tak stopniowo, że nawet w chwili śmierci panny Austen nie osiągnęły zawrotnych wyzyn sukcesu. [...] Dowiadujemy się, że do chwili jej zgonu przyniosły jej zaledwie siedemset funtów dochodu i tylko odrobinę pochwał. Nie możemy powiedzieć, że to nas co najmniej dziwi; uważamy za fakt bardziej zdumiewający, że z biegiem czasu zdołały się wspiąć na tak wysoką pozycję jak dzisiaj. Od szerokiej publiczności - która tak lubi rozczulać się nad ludźmi poznawanymi na kartach prozy, płakać z nimi, radować się, realnie przejmować się ich wszystkimi obawami - trudno oczekiwać, że książki tak spokojne, chłodne i błyskotliwe, roszczące sobie tak mało pretensji do budzenia wzruszeń, mogą kiedyś zyskać popularność [...] Raczej należą do kategorii, która pociąga konesera, oczarowuje umysł krytyka bądź literata.

1870 - Anthony Trollope

Emma, bohaterka, traktowana jest niemal bezlitośnie. W każdym urywku książki jest winna jakiegoś wybryku, próżności, niewiedzy albo, rzecz jasna, jakiejś podłości [...] Dziś nie ważymy się tak pomniejszać naszych bohaterek.

1894 - Alice Meynell

Jest mistrzynią raczej drwiny niż dowcipu czy humoru [...] Jej ironia bywa czasem wybornie gorzka [...] Brak czułości i animuszu to oznaka obojętności panny Austen wobec dzieci. Rzadko się pojawiają w jej powieściach, zazwyczaj w celu zilustrowania szaleństwa ich matek. Nie są dla niej tematem jako dzieci; są tematem jako dzieci rozpuszczone, zepsute, jako te, dzięki którym matka może usłyszeć pochlebstwo z ust podstępnego znajomego bądź wprowadzić w rozdrażnienie wrażliwych przyjaciół [...] Poprzez ten chłód czy awersję panna Austen przypomina Charlotte Brontë.

1895 - Willa Cather

Niewiele się spodziewam po kobietach powieściopisarkach. Ta ich świadomość płci to coś ohydneho. Ograniczają się do gry na jednej strunie i jakże fałszują. Niewiele jest takich, które naprawdę zdziałały coś godnego uwagi; to wielkie George: George Eliot i George Sand, które były tylko kobietami, to panna Brontë, która okiełznała swój sentymentalizm, to Jane Austen, która z pewnością miała więcej zdrowego rozsądku niż każda z nich i pod pewnymi względami jest spośród nich największa [...] Kiedy kobieta napisze rzecz przygodową, solidną opowieść morską, barwną męską historię wojenną, coś bez kobiet, wina i miłości, wówczas zacznę się po kobietach spodziewać czegoś wielkiego, ale nie wcześniej.

1898 - Niesygnowany artykuł w „The Academy” Miewam niekiedy to szczęście pod koniec tygodnia [...], odkrywszy przytulną starą gospodę na norfolkskim wybrzeżu - gdzie nie

ma pól golfowych, zdarzają się zaś zawody łucznicze i nie brak królików, do których można wygarnąć - w której czekają prosty dobry obiad i wyłożony dębem zaciszny pokój, gdzie potem spędzi się wieczór. Przy sposobności zaproszę przyjaciół [...] Browna i Robinsona [...]

Brown to wzięty dziennikarz, zatem zupełnie pozbawiony czegoś przypominającego ugruntowany pogląd lub zasady [...] Jego sprawą jest trzymać rękę na pulsie, śledzić opinię publiczną i stosownie do tego zajmować pozycje.

Robinson to zapalczywy młodzian, student, żywo oddany żarłocznemu pochłanianiu literatury. [...] To on zaczął mówić o Jane Austen.

- Lubię Di [Vernon] - powiedział student - lecz [sir Walter] Scott nie rozwodzi się nad nią tak, jak nad Lizzie [Elżbietą Bennet]. Nie jest ukazywana w tylu aż odcieniach i nastrojach. Jest zbyt doskonała. Tak to ujmuję Scott. Tymczasem jego bohaterki [...] są zawsze nieskazitelne. Elżbieta ma tysiąc wad [...] często ślepa, zuchwała, bezczelna, nierozważna, mimo to cóż za znakomita postać się z tego wyłania! Żywa do szpiku kości [...]

- Krzepi serce widok młodzieży wciąż zdolnej do entuzjazmu - odrzekł dziennikarz - a jednak, synu, kiedy za dwadzieścia lat zobaczę cię jako, mam nadzieję, zażywnego męża i ojca, który już przestał rozmyślać o heroinach, czy to w życiu, czy w powieściach, okaże się, że twe ideały zupełnie się zmieniły. Bardziej polubisz wtedy panią Norris, która oszczędza trzy czwarte jarda z sukna na kurtynę, a Fanny Price wyda ci się ciekawsza niż Elżbieta.

- Nic podobnego - stanowczo zaprzeczył student. - Dla mnie pani Norris już teraz jest postacią bardzo interesującą [...]

1898 - Mark Twain

Ilekoć czytam *Dumę i uprzedzenie*, chcę wykopać z grobu Austen i przyłożyć jej w czaszkę jej własną piszczelą.

1901 - Joseph Conrad do H. G. Wellsa

O co właściwie chodzi z Jane Austen? Cóż w niej jest takiego? O czym to wszystko?

1905 - Henry James

Niemal niedostrzegana przez trzydzieści czy czterdzieści lat po śmierci, może naprawdę jawi się jako najładniejszy przykład owego korygowania ocen, które następuje dzięki powolnej aprobacie głupoty [...] Po odwróceniu kierunku ów przyływ sięgnął tak wysoko, ponad, jak sędzę, [...] jej rzeczywiste zasługi i horyzonty [...] Odpowiedzialny jest za to [...] krąg wydawców, redaktorów, ilustratorów i producentów tej miłej sieczki dla czasopism; odkryli oni, że ich „droga”, nasza droga Jane, droga Jane wszystkich, świetnie służy ich interesom [...]

Powodzenie, którym Jane Austen cieszy się u potomności, częściowo polega na niezwykłym wdzięku wynikającym z jej łatwości pisania, z jej nieświadomości w gruncie rzeczy, to najwyżej tak, jakby Austen nad swym koszykiem z robótkami [...] w chwili trudności czy zakłopotania [...] popadała czasem w marzycielstwo, a puszczone oczka [...] uznano by później [...] za arcydziełka wyobraźni.

1905 - Niesygnowana recenzja książki G. E. Mitton *Jane Austen i jej czasy*

Panna Mitton [...] ujawnia wiele zalet, przed którymi chylimy czoła. Kocha książki. Ciężko pracuje [...]. Wyraża swe opinie naiwnie i w nadmiarze, jakby przede wszystkim chciała sprawić przyjemność swym oponentom; na przykład we wzmiance o *Rozważnej i romantycznej* niewiele mówi o pani Jennings, a jeśli już, to niepocholebnie; my zaś uchylamy kapelusza przed panią Jennings, jako jedną z nielicznych postaci literackich budzących gorącą radość, kiedy spotykamy je w książce, i równie gorącą radość, kiedy nas to ominie w życiu.

1908 - Niesygnowana recenzja w „The Academy” *Opactwo Northanger* nie jest może najlepszym przykładem pisarstwa Jane Austen, lecz fakt, że akcja toczy się głównie w Bath, jednym z niewielu angielskich miast, które zachowały należyty charakter, czyni tę książkę szczególnie pociągającą dla cudzoziemców. Ma też mocniejszy niż zwykle u Austen rys romantyzmu, co książce zapewnia żywszy oddźwięk wśród młodych.

1908 - Virginia Woolf

Była około roku 1800 kobieta pisząca bez nienawiści czy goryczy, karności czy protestu. Podobnie, jak sądzę, pisał Szekspir [...] kiedy zaś ludzie porównują Szekspira z Jane Austen, może biorą pod uwagę to, że do świadomości obojga musiały przenikać wszelkie przeszkody; z tego powodu nie znamy Jane Austen ani nie znamy Szekspira, z tego też powodu Jane Austen panuje nad każdym napisanym przez siebie słowem, jak Szekspir.

1913 - G. K. Chesterton

Jane Austen urodziła się, zanim więzy pozwalające (jak nam się mówi) skrywać przed kobietami prawdę zostały zerwane przez siostry Brontë bądź zmyślnie rozplątane przez George Eliot. Nie zmieni to faktu, że Jane Austen wiedziała o mężczyznach więcej niż tamte. Może skrywano prawdę przed Jane Austen, lecz przed Jane Austen zdołał się skryć zaledwie jej okruszek.

1917 - Frederick Harrison, w liście do Thomasa Hardy'ego

[Austen] raczej była wyzbytą serca małą cyniczką [...] piszącą satyry na sąsiadów, kiedy monarchowie rwali świat na strzępy i posyłali miliony do grobu [...] Ani jeden powiew tego tajfunu nie otarł się o jej chippendalowską szyfonierę bądź sekretarzyk.

1924 - Rudyard Kipling, epitafium dla „janeitów” Jane spoczywa w Winchester, cieniowi jej chwała! Dzięki niech będą Stwórcy za to, co pisała! Póki trwać będą Milsom Street kamienie Póki murów Winchester wieki nie odmienią Sławy, chwały, miłości Bądź pewna Anglio, ojczyzno Jane Austen.

1924 - E. M. Forster

Jestem austenianinem, zatem osobnikiem nieco skretyniałym na tle Jane Austen. Moja głupkowatość i rys zakamieniałego uporu jakże beznadziejnie wyglądałyby na twarzy, powiedzmy, stevensonianina! Ale Jane Austen jest taka inna. Moja ulubiona autorka! Czytam ją, potem czytam na nowo z otwartymi ustami i mózgiem zamkniętym na kłódkę. [...]

Austenianin niewiele posiada owej bystrości, którą bez namysłu przypisuje swemu bożyszczu. Podobny wciąż chodzącym do kościoła wiernym, ledwie rejestruje, o czym tam mowa.

1925 - Edith Wharton

Jane Austen, rzecz jasna - mądra w swej staranności, przystrzyżona przez swą stateczność - nigdy się nie wyłamie, mimo to, w najlepszym razie, niewiele jest takich jak ona.

1927 - Arnold Bennett

Jane Austen? Obawiam się, że wchodzę na niebezpieczny grunt. Opinii Jane Austen strzegą kohorty obrońców, gotowych zabić dla świętej sprawy. Niemal sami fanatycy. Odporni na słowa. Komuś, kto „naskoczy na Jane”, wszystko się może przytrafić. Niechybnie zostanie wezwany do zrezygnowania ze swych klubów. Ani mi się śni wyrzekać swych klubów [...]

Jest cudowna, odurzająca [... lecz] za mało wie o świecie jak na wielką powieściopisarkę. Nie miała ambicji zostać wielką powieściopisarką. Znała swoje miejsce; natomiast nie znają go jej dzisiejsi „fani”, ich błazeństwa niewątpliwie byłyby podniętą dla morderczej ironii Jane.

1928 - Rebecca West

Naprawdę, czas już skończyć z tym śmiesznym trzymaniem za rączkę Jane Austen. Posądzać ją o ograniczenia skali, dlatego że jej metodę cechuje harmonia, ma tyle samo sensu, co sądzić, iż gładki jak staw Atlantyk rzeczywiście się kurczy do rozmiarów stawu. Są tacy, których zwodzi jej szacowny styl bądź fakt, że jej dziewice tak są dziewicze, że aż nieświadome swego dziewictwa; tym ludziom się wydaje, że Austen nie ma pojęcia o namiętności. Wyjrzyjmy jednak poza to okratowanie ze schludnych zdań, zbite błyszczącymi gwoździkami rzemiosła, wesoło polakierowane dowcipem, a zobaczymy kobiety zmarniałe z pożądania bądź tryumfujące z miłości, ale reagujące na mężczyzn subtelnie; na tle owych kobiet wydaje się, że bohaterki wszystkich naszych późniejszych powieści tylko jedno potrafią, widząc zalecającego się samca: zapalać na przemian dwa światła - czerwone lub zielone.

1931 - D. H. Lawrence

To znowu jest dramat dzisiejszego życia społecznego. W starej Anglii dziwaczny związek krwi spajał klasy. Ziemianie mogli być arogancy, agresywni, brutalni i niesprawiedliwi, a jednak stanowili jakoś jedność z ludem, byli częścią tego samego strumienia krwi. Wyczuwamy to u Defoe czy Fieldinga. A potem u tej małostkowej Jane Austen to znika. Sama ta stara panna stanowi przykład „osobowości” zamiast charakteru, jest to ostre wyróżnianie przez odrębność, zamiast ostrego wyróżniania przez wspólność; w moim z gruntu niechętnym odczuciu Austen jest angielska w złym, małostkowym, snobistycznym sensie, jak Fielding jest angielski w sensie dobrym i wielkodusznym.



1937 - W. H. Auden

Nie ty nią wstrząsniesz, lecz ona mną Jeden Joyce prócz niej jest czysty jak lasy. Cóż to za przykrość: móc widzieć ją, Starą pannę, z angielskiej średniej klasy Gdy opisuje miłość na tle „kasy” I szczerze, trzeźwo, bez roszczeń do męstwa Ujawnia finansową bazę społeczeństwa.

1938 - Ezra Pound, w liście do Laurence'a Binyona Zdesperowany, chętnie mówię: przeczytaj to i wywal wszystkie zdania, które nie mogłyby się znaleźć w prozie Jane Austen. Przyznaję, to niemożliwe. Lecz kiedy człowiek zdoła napisać klarowną linijkę, w doskonale zwyczajnym porządku, czyż nie jest warta dziesięciu innych?

1938 - Thornton Wilder

[Powieści Jane Austen] najwyraźniej wypełnia prawda nędzna. Traktują o wydarzeniach nieznośnie małej wagi; mimo to, wraz z *Robinsonem Cruzoe*, zapewne przetrwają całego Fieldinga, Scotta, George Eliot, Thackeraya i Dickensa. Ta sztuka jest tak doskonała, że jej tajemnica pozostaje w ukryciu; wpatrujcie się w nie do bólu; wstrząśajcie nimi; rozerwijcie; nikt nie zdoła zobaczyć, jak to jest zrobione.

1938 - H. G. Wells, dialog powieściowej postaci, może wyrażający opinię samego Wellsa, może nie. - Angielszczyzna Jane Austen jest najzupełniej typowa. Nazwałbym ją kwintesencjonalną. Ma pewien czar, ginący w sposób nieunikniony. Podobnie jak pewne najpiękniejsze motyle - którym brak trzewi.

1940 - D. W. Harding

Wywnioskowałem, że była subtelnym satyrykiem, który z niepodrabialną lekkością kreski ujawnia komiczne dziwactwa i miłe słabostki ludzi, wśród których żyje i których lubi [...] Co wystarczyło, żebym nabrał niezachwianej pewności, iż ani mi się śni ją czytać. Jest to wrażenie, jak sędzę, niebezpiecznie bałamutne [...]

Aby bezproblemowo cieszyć się jej książkami, ci, którzy zachowują utarty pogląd na jej dorobek, zawsze musieli podczas lektury trochę opacznie odczytywać, co napisała.

1940 - MGM reklamuje film *Duma i uprzedzenie* Pięć uroczych sióstr podczas najweselszej, najradośniejszej obławy, w której schwytano oszołomionego kawalera! Dziewczęta! Uczcie się od tych łowczyń mężów!

1944 - Edmund Wilson

Ostatnim stuleciem, i ćwiercią literatury angielskiej, wstrząsały liczne rewolucje upodobań; po nich zaledwie dwa nazwiska nigdy nie zostały nadwątlone przez zmienność mody: Szekspir i Jane Austen [...] Zmusiła pisarzy najróżniejszych odmian do zadziwiającego zachwyty; powiedziałbym, że dzisiaj Jane Austen i Dickens dość podejrzenie uchodzą za jedynych angielskich powieściopisarzy [...] należących do tej absolutnie najwyższej kategorii wraz z wielkimi prozaikami Francji i Rosji [...] To, że ów duch mógł zagościć w umysłowości dobrze wychowanej starej panny, córki pastora z prowincji - która widziała zaledwie to, na co pozwoliły krótkie wizyty w Londynie i kilkuletni pobyt w Bath,

która swą tematykę odnalazła w problemach dziewcząt z prowincji rozglądających się za mężem - wydaje się jedną z najdziwniejszych anomalii, skądinąd licznych w historii angielskiej literatury.

1954 - C. S. Lewis

W najgorszej z opowieści Kiplinga ktoś opisuje [Austen] jako matkę Henry'ego Jamesa. Odnoszę dużo mocniejsze wrażenie, że jest córką doktora Johnsona: dziedziczy jego zdrowy rozsądek, moralność, a zwłaszcza styl. Nie jestem na tyle dobrym jamesistą, żeby ocenić ów cudzy pogląd. Jeżeli jednak coś zostawiła mu w spadku, musi to dotyczyć wyłącznie zagadnień struktury. Jej styl, system wartości, temperament wydają mi się wręcz przeciwieństwem tego samego u Jamesa. Jestem przekonany, że Isabel Archer, Spotkawszy Elżbietę Bennet, zawyrokowałaby, iż Elżbieta jest osobą „mało wyrobioną”, Elżbieta zaś, obawiam się, dostrzegłaby u Isabel niedostatek zarówno „powagi”, jak i wesołości.

1955 - Lionel Trilling

Zwierzęcy wstręt Marka Twaina wynika zapewne z samczej odrazy wobec społeczeństwa, w którym kobiety najwyraźniej znajdują się w centrum zainteresowania i władzy, z panicznego strachu, jaki w mężczyźnie budzi fikcyjny świat, w którym zasada męskości, przedstawiona jako nieodzowna i godna podziwu, jest wszakże kontrolowana przez kobiecy umysł. Profesor Garrod w szkicu *Jane Austen; deprecjacja*, stanowiącym *summę* przyczyn, dla których nie lubi się Jane Austen, wyraża obrzydzenie niemal równie dzikie jak Twain, bo sugeruje, że autorka-kobieta jest zwykłą zniewagą seksualną dla mężczyzn.

1957 - Kingsley Amis

Oboje, Edmund i Fanny, są chwiejni moralnie; wsparcie przez autorkę ich uczuć oraz zachowań [...] czyni *Mansfield Park* książką amoralną.

1968 - Angus Wilson

Jeżeli chodzi o garstkę krytyków wrogich Austen, to począwszy od czasów wiktoriańskich, byli bądź pozbawieni z natury słuchu na tę tonację, jak Charlotte Brontë, Mark Twain czy [D.H.] Lawrence, bądź niedostatecznie poinformowani jak profesor Garrod, bądź też nieprzychylni tylko częściowo, jak pan Amis, pochopnie przeciwny zaproszeniu na kolację państwa Bertramów; wysokiej pozycji Austen bardziej zagrażają niezbyt inteligentni lub popadający w przesadę wielbicielowie niż wrogo nastawieni krytycy.

1974 - Margaret Drabble

Są pisarze, którzy piszą za dużo. Są tacy, którzy piszą w sam raz. Są jeszcze inni, którzy napisali dalece za mało, żeby zaspokoić wielbicieli; Jane Austen na pewno należy do tych ostatnich. Pewnie żadne wyobrażalne odkrycie literackie nie wzbudziłoby tak szczerzej radości, jak odnalezienie nowej kompletnej powieści Jane Austen, chyba że odnaleziono by nową tragedię Szekspira.

1979 - Sandra M. Gilbert i Susan Gubar

Historia Austen szczególnie pochlebia męskiemu czytelnikowi, przedstawia bowiem poskromienie nie jakiejś tam kobiety, lecz buntowniczej dziewczyny o bogatej wyobraźni, z miłością ujarzmianej przez rozważnego mężczyznę. Podobnie jak bibuła leżąca na biurku z jej rękopisem, sama Austen stanowi przykrywkę dla potrzeby milczenia i uległości, a do takiej podległej pozycji zmusza kobiety kultura patriarchalna [...] Lecz jednocześnie [...] pod tą przykrywką Austen zawsze każe czytelnikom „dodać to, czego zabrakło” [to cytata z Virginii Woolf].

1980 - Vladimir Nabokov

Książka panny Austen to nie tryskający życiem majstersztyk [...] *Mansfield Park* [...] jest dziełem damy i rozgrywką dziecka. Jednak z tego koszyczka wyłania się robótka wyjątkowa i oto widzimy w dziecku niezwyklej promyk geniuszu.

1984 - Fay Weldon

Myślę też [...] że Crosby nie wydał *Opactwa Northanger* z tego samego powodu, dla którego nikt się nie ożenił z Austen. Pod tą pianką wesołości pomrukuje coś, co budzi prawdziwy lęk; co zdoła złapać świat za gardło i potrząsnąć.

1989 - Katha Pollitt, z wiersza *Czytanie na nowo powieści Jane Austen*

Ów czas dokoła,

A oni nie wydają się tacy zabawni.

Mama głupia, ciemna albo nie żyje.

Tato - jakiś genialny rozpieszczony lunatyk.

Tylko jedno im w głowie: klasa.

1989 - Christopher Kent

Pewien wychowawca z Oksfordu, H. F. Brett-Smith, służąc podczas pierwszej wojny światowej w szpitalach, doradzał, co dawać do czytania rannym żołnierzom. „Dla ludzi w poważnym szoku po ostrzale - wspomina były student - wybierał Jane Austen” [...]

Kiedy szalała rewolucja francuska, Jane Austen ledwie podnosiła wzrok znad literackiej grządkki. Któż lepiej może koić dusze wykolejone nad Sommą czy pod Passchensdaele? W terapeutycznym spokoju jej stronic ofiary historii mogły ujść swemu przeznaczeniu.

1993 - Gish Jen

Myślę, że kolejna postać pióra, która wywarła na mnie naprawdę duży wpływ, to była Jane Austen. *Duma i uprzedzenie* to jedna z książek, które czytałam tam i z powrotem, od przodu i tyłu. Naprawdę chciałam być Elżbietą Bennet. Rzecz jasna, nie brak dziś ludzi, którzy powiedzą „Och, to takie anglo”; uważają, że raczej powinnam ulec wpływom opery pekińskiej albo jeszcze czegoś.

1993 - Edward W. Said

O *Mansfield Parku* trzeba powiedzieć dużo więcej [...] Może wówczas Austen, i w

ogóle powieści preimperialne, okażą się w swych przesłankach bardziej nasycone imperia-  
listycznym ekspansjonizmem, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

1995 - Artykuł o szkicu Terry'ego Castle'a

Czy Jane Austen była lesbijką? Pytanie, postawione przez szacowny zazwyczaj „London Review of Books”, to tytuł szkicu Terry'ego Castle'a, profesora Uniwersytetu Stanforda, w którym autor subtelnie docieka „nieświadomego wymiaru homoerotycznego” w listach Austen do jej siostry Cassandry. Sugestia wywołała spory zamęt wśród austenian.

1996 - Carol Shields

Bohaterki Austen fascynują, ponieważ w społecznym i ekonomicznym systemie, który sprzyścił się, żeby je upośledzić, sprawują prawdziwą władzę [...] Wglądając w powieści Jane Austen [...], widzimy, że jej kobiety nie tylko wiedzą, czego chcą, ale wypracowały także wyrazistą strategię osiągnięcia celu.

1996 - Martin Amis

Jane Austen z czarodziejską mocą absorbuje wszystkich. Moraliści, kulturoznawcy od Erosa i agape, marksiści, freudyści, jungiści, semiotycy, dekonstruktywiści - wszyscy znajdują kuszące pole do popisu w sześciu podobnych do siebie powieściach z życia prowincjonalnej klasy średniej. Proza Jane Austen w niewymuszony sposób sama się odnawia na oczach każdego pokolenia krytyków i czytelników.

Każde stulecie wniesie sobie właściwe uwydatnienia; podczas obecnego festiwalu Austen nasze własne niepokoje ujawniają się w całej okazałości. Lubimy tarzać się w akcencikach i szczegółikach ze świata Jane, ale nasz oddźwięk brzmi na ogół posępnie. Przede wszystkim zwracamy uwagę na zdławienie kobiecych możliwości: jakże krótko trwała pełnia ich kobiecości, a mimo to jak wolno i w jakim odrętwieniu upływał ów czas. Zwracamy uwagę, jak liczne były sytuacje społecznie raniące i jak dotkliwie zadawane były te rany. Widzimy, jak niewiele mógł zdziałać człowiek bezsilny wobec tych, którzy mogli go znienawidzić. Zastanawiamy się, któż na Boga poślubi biedne dziewczyny? Biedni mężczyźni nie mogą. Bogaci mężczyźni nie mogą. Więc kto?

1996 - Anthony Lane

Na barkach pisarza nie ma większego ciężaru niż bycie bardzo kochanym; ale u Austen coś niedosiężnego zrzuca ten ciężar.

1997 - Artykuł wstępny w „Forbes”

„Druker nie jest teoretykiem zarządzania w wąskim akademickim sensie” - powiada Lenzner [...] - „Strategiczne przymierza korporacji porównuje do przymierzy matrymonialnych w powieściach Jane Austen”.

1997 - Susan M. Korba

Pisząc o *Emmie*, krytycy przez całe lata krążyli wokół jawnie kłopotliwego zagadnienia, mianowicie seksualności bohaterki [...] Claudia Johnson odkrywa, że [...] „z krytycznym wobec niej stosunkiem wiążą się oczywiście podteksty mizoginiczne, niekiedy

wręcz homofobiczne". Johnson cytuje niepokojące aluzje Edmunda Wilsona i gniewne napomknienia Marvina Mudricka o durzeniu się Emmy w innych kobietach; są to przykłady niepokojów wzbudzanych przez tę właśnie bohaterkę Austen.

1999 - David Andrew Graves

Przez dwa ostatnie lata posługiwałem się oprogramowaniem komputerowym jako narzędziem do analizy tekstów pod kątem wzorców sekwencji słownych i częstotliwości występowania słów [...] Jeżeli chodzi o częstotliwość występowania słów w ich funkcji semantycznej, *Emma* jawi się jako najłżejsza i najpogodniejsza z powieści Jane Austen, wyraźnie pozytywna, z najniższym wskaźnikiem uczuć negatywnych, właśnie tak, jak przyrzeka autorka już w pierwszym zdaniu.

1999 - Andy Rooney

Nie przeczytałem nic pióra Jane Austen. Nigdy nie wziąłem do ręki *Dumy i uprzedzenia* ani *Rozważnej i romantycznej*. To chyba jakieś Bobbsey Twins dla dorosłych.

1999 - Anthony Lane

Nagość, nadużycia seksualne, lesbijki, szczypta kazirodztwa - czy nigdy nas nie znudzi Jane Austen?

2000 - Nalini Natarajan „Zdroworozsądkowe” postrzeżenie popularności Austen w Indiach wskazywałoby na przekładalność sytuacji z powieści Austen na sytuacje wynikające z wyłaniania się indyjskiej klasy średniej [...] Zagadnienia poruszone w mojej metakrytyce, bądź wynikające z lektury najświeższych uwag austeniańskiej córki, aczkolwiek oderwane od szczegółów reformy kobiecej i jej opisowego przedstawienia w kolonialnym Bengalu, podsuwają paradygmat, w którego obrębie można dyskutować o zazębianiu się dwóch kultur.

2002 - Shannon R. Wooden, o filmowaniu powieści Austen

Nadzór nad odżywianiem jako wszechobecny kulturowo, normatywny rys „kobiecości” zdominował zarówno *Rozważną i romantyczną* Anga Lee, *Perswazje* Rogera Michella, *Emmę* Douglasa McGratha i *Nieodgadnioną* Amy Heckerling [...] Bohaterki, co do jednej, nie jedzą [...] Rzucające się w oczy spożywanie potraw nieodmiennie wskazuje kobietę „złą” lub śmieszna.

2002 - Elsa Solender, była przewodnicząca Północnoamerykańskiego Stowarzyszenia Jane Austen

Zobaczyłam wszystkie możliwe filmy oraz - w wyspecjalizowanych bibliotekach Londynu, Los Angeles i Nowego Jorku - ich recenzje; w trybie błagania, kupna lub pożyczki zgromadziłam całą bibliotekę książek i artykułów poświęconych filmowym adaptacjom literatury, by wreszcie dojść do ostatecznego wniosku w sprawie wiernego i wiarygodnego odtworzenia „świata Jane Austen” w filmie, satysfakcjonującego janczyków. Wniosek ten można zamknąć w dwóch słowach: „Dajcie spokój!”

2003 - J. K. Rowling

Nigdy nie pragnęłam sławy i nigdy o niej nie marzyłam [...] Widać tu lekkie oderwanie

się od rzeczywistości, co często mi się przytrafia. Wyobrażałam sobie, że być sławną pisarką, to być kimś podobnym do Jane Austen. Móc siedzieć w domu, na plebanii, wiedzieć, że książki stają się bardzo sławne, i móc od czasu do czasu korespondować z sekretarzem Księcia Walii.

## Pytania do roztrząsania

### *Pytania Jocelyn*

1. Po przeczytaniu tych książek człowiek często się zastanawia, czy każda para skojarzona przez Austen to dobry pomysł. Na liście niepokojących związków mogą się znaleźć: Marianna Dashwood i pułkownik Brandon, Lidia Bennet i Wickham, Emma i pan Knightley, Luiza Musgrove i kapitan Benwick. Czy w *Klubie miłośników Jane Austen* jest jakaś para, która budzi niepokój?
2. Czy podoba ci się któraś z filmowych adaptacji książek Austen? Czy w ogóle lubisz filmowe adaptacje powieści? Czy kiedyś w filmowych adaptacjach powieści Austen widziałaś/łeś tę gwiazdę, terriera Jacka Russella wabiącego się Wishbone? Czy chciałabyś/łbyś go zobaczyć?
3. Czy to grzecznie, podarować komuś książkę, a potem wypytywać, czy się podobała? Czy kiedyś tak się odezwałaś/łeś do kogoś?

### *Pytania Allegrzy*

1. Rzadko chodzimy na eleganckie bale, natomiast licealne końcoworoczne bale wciąż grają wielką - zbyt wielką - rolę w naszych osobistych historiach. Zwłaszcza kiedy nie poszliśmy na nie. Dlaczego każdy film o nastoletnich romansach kończy się szkolnym balem?
2. Czy jakiś fragment twej odpowiedzi wiąże się jakoś z tańcem?
3. W *Klubie miłośników Jane Austen* dwa razy spadam i dwa razy ląduję w szpitalu. Czy wciąż cię ciekawi, jakim cudem kobietę utrzymującą się z wyrobu biżuterii stać na ubezpieczenie zdrowotne? Czy sądzisz, że kiedyś w tym kraju doczekamy się powszechnego ubezpieczenia?

### *Pytania Prudie*

1. O ironii napomknęłam tylko dlatego, że, owszem, na zakończenie *Emmy* wszyscy lądują na odpowiednim pułapie społecznym, co jednak nie świadczy o aprobachie samej Austen. U Austen, jak u Szekspira, bardzo trudno poznać jej prawdziwe zdanie o tym czy owym. Czy można to samo powiedzieć o Karen Joy Fowler?
2. *Il est plus honteux de se défier de ses amis, que d'en être trompé?\** Zgadzasz się czy nie?

\* Nieufność wobec przyjaciół hańbi bardziej niż bycie zdradzonym.

3. Która z kobiet z *Seksu w wielkim mieście* najbardziej podoba się Danielowi naprawdę?

#### *Pytania Grigga*

1. Wydawca początkowo nie umieszczał na książkach Jane Austen jej nazwiska, drukował natomiast etykietkę „Ciekawa książka”, oznajmiając czytelnikowi, że chodzi o romans. Gdyby dziś wydawano Austen, czy uznano by ją za autorkę romansów?

2. Miłośnicy Austen i czytelnicy science fiction czują głęboki związek z książkami. Czy znasz inne wspólnoty czytelnicze, równie oddane swej pasji? Skąd się biorą takie właśnie wspólnoty, a nie inne?

3. Wielu czytelników science fiction przepada też za Austen. Jak sądzisz, dlaczego? Czy wielu czytelników Austen przepada za science fiction?

#### *Pytania Bernadette*

1. O Austen moglibyśmy wiedzieć więcej, ale jej siostra, Cassandra, zniszczyła wiele listów Jane; uważała je za zbyt osobiste, bądź miała wrażenie, że przedstawiają Jane w złym świetle. Jakie uczucia, na skutek tego, budzi w tobie Cassandra?

2. Jak sądzisz, czy wiedza o autorce coś przydaje samej książce? Czy brak zdjęcia autorki ma dla ciebie znaczenie? Czy uważasz, że autorka i tak wygląda całkiem inaczej niż na zdjęciu?

3. Czy wierzysz w szczęśliwe zakończenia? Czy trudniej uwierzyć w szczęśliwe niż w smutne? Kiedy właściwie czytasz zakończenia? Po przeczytaniu początku i środka czy najpierw? Uzasadnij swój wybór.

#### *Pytania Sylvii*

1. O ile pokoleń wstecz zdołasz zejść po swym drzewie genealogicznym? Czy interesujesz się genealogią? Dlaczego? Albo: dlaczego nie?

2. Czy druga miłość jest lepsza? Czy dobra książka jest lepsza za drugim razem? Czy twoja najulubieńsza książka jest też tą, do której najczęściej wracasz? Czy z osobą, którą kochasz najbardziej, chcesz spędzać najwięcej czasu?

3. Czy czasem pragniesz, żeby twego partnera czy partnerkę napisał jakiś inny autor, obdarzył lepszym dialogiem i większym wdziękiem w cierpieniach? Jakiego wybierzesz pisarza?